

EWA ORNACKA

ZROZUMIEĆ ZBRODNIĘ

DR JERZY POBOCHA

ZDRADZA TAJEMNICE ZBRODNICZYCH UMYŚLÓW



EWA ORNACKA

ZROZUMIEĆ

ZBRODNIĘ



Dom Wydawniczy REBIS

Podziękowania

Dla Katarzyny Kolasińskiej, wspaniałej psycholog, za bezcenne rady w starciach z psychopatami, nie tylko na kartach tej książki.

Ewa Ornacka

Pierwowzór seryjnego zbrojcy Buffalo Billa z *Milczenia owiec* nazywał się Edward Gein i zjadał swoje ofiary. Z ludzkiej skóry zrobił abażury do lamp i obicie fotela, z sutków – pasek, a z czaszek – miski kuchenne. Morderca nie trafił do celi śmierci, lecz do pilnie strzeżonego szpitala psychiatrycznego. Był chory na schizofrenię, mówiąc kolokwialnie – po prostu zwariował.

Zrozumienie takiej zbrodni wydaje się niemożliwe. Trudno pojąć ekstremalne okrucieństwo. Są jednak ludzie, którzy potrafią zagłębić się w nawet najbardziej mroczną psychikę człowieka i naukowo ją zinterpretować. Mowa o biegłych sądowych z zakresu psychiatrii. To od nich zależy los takich ludzi, jak Edward Gein, Mariusz Trynkiewicz – zabójca dzieci czy Stefan W. – morderca prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza. Wprawdzie na całym świecie to sądy ogłaszają wyroki, ale w rzeczywistości właśnie biegli decydują, co stanie się ze sprawcą: czy trafi do szpitala psychiatrycznego, więzienia czy do celi śmierci.

Jeden z najlepszych w Polsce biegłych sądowych, orzekający w takich sprawach już od 40 lat, doktor Jerzy Pobocho, najbardziej rozpoznawalny i medialny psychiatra w Polsce, którego wiedza i doświadczenie są filarem tej książki, pomoże nam zrozumieć nie tylko mechanizmy zbrodni, ale też znacznie więcej.

Media co rusz bombardują nas wiadomościami o wydarzeniach, które zdrowym ludziom nie mieszczą się w głowie. Wspomniany Mariusz Trynkiewicz, sadysta i pedofil, który zwabił do siebie i zamordował czterech chłopców, staje się obiektem westchnień wielu kobiet. Piszą do niego listy, rozgrzeszają go i ofiarowują mu swoje uczucia. Jedna z nich wychodzi za niego za mąż. W wywiadzie prasowym oznajmia, że tamte dzieci same sobie były winne.

Troskliwy ojciec zabiera czteroletniego syna do sali zabaw, w toalecie podaje mu śmiertelną truciznę, a chwilę potem popełnia samobójstwo. Dlaczego tacy jak on nie chcą umierać sami? Dlaczego odbierają życie tym, których kochają najbardziej?

Lekarz psychiatra, na co dzień chroniący społeczeństwo przed szaleńcami, sam wpada do sądu z siekierą i atakuje pracownika ochrony.

Ma ze sobą kanistry z benzyną. Chce podpalić cały budynek, wymierzyć sprawiedliwość. Udaje niepoczytalnego, a może zaraził się szaleństwem od swoich pacjentów?

Obecnie coraz trudniej ocenić, kto jest normalny, a kto „psychiczny”. Człowiek łapie się za głowę, bo zło eskaluje i... fascynuje. Nie od dziś wiadomo, że ulubionymi bohaterami bestsellerów są seryjni mordercy.

Przyjrzymy się niektórym wstrząsającym doniesieniom medialnym, spróbujemy dotrzeć do istoty zła, zrozumieć jego przyczyny.

– Ludzki umysł to jedna z największych zagadek, lecz nawet „niepojęte” zachowania mają swoje wytłumaczenie – mówi psychiatra. – Błąd naszego społecznego myślenia polega na tym, że sądzimy innych według siebie. „Jeżeli ja bym czegoś nie zrobił, bo coś takiego nawet nie przyszłoby mi do głowy, to każdy, kto to zrobił, musi być chory”.

Przez takie podejście dajemy się omotać oszustom, ulegamy psychopatycznym przełożonym, budujemy bliskie relacje z ludźmi, których powinniśmy unikać jak ognia. Tracimy czujność, a to już prosta droga do zatracenia.

Czas się obudzić.

Autorka

Rozdział 1

Automatyzm sędziego i zagadki ludzkiego umysłu

Pod koniec listopada 2018 roku do Wrocławia zjechały autorytety medycyny: światowej sławy neurolog, wybitni kardiolog i psychiatrzy z Japonii, Szwecji, Kanady i Polski. Zaczęło się wymieniać swoje doświadczenia w ramach międzynarodowej konferencji poświęconej psychogeriatrji.

Gromkie brawa zebrała nasza pani kardiolog. Po zakończonej prelekcji, wyraźnie zadowolona z reakcji sali, ustąpiła miejsca kolejnemu prelegentowi. Wykład po niej miał wygłosić profesor neurologii z Poznania.

Neurolog rozłożył swoje notatki na pulpicie ze sprzętem do prezentacji multimedialnych. Długo czegoś szukał.

Sala przyjęła to ze zrozumieniem.

– Przepraszam – powiedział w końcu lekko zdezorientowany. – Mam pytanie do organizatorów. Gdzie znajdę laserowy wskaźnik do zmieniania slajdów?

– Musi być na pulpicie, przed chwilą pani profesor z niego korzystała – usłyszał odpowiedź.

Neurolog jeszcze raz poprzekładał swoje materiały do prezentacji w nadziei, że wskaźnik leży pod nimi, jednak po chwili bezradnie rozłożył ręce.

– Ale tu go nie ma. Pewnie pani profesor zabrała – zażartował.

Oczy sali skierowały się na panią kardiolog. Ta uśmiechnęła się szeroko, bo żart jej się spodobał. Zerknęła jednak do torebki i... uniosła wzrok z zażenowaniem. Wśród swoich rzeczy faktycznie odnalazła przedmiot nienależący do niej.

– Przepraszam pana, profesorze, i szanowne grono za zamieszanie – powiedziała, oddając laserowy wskaźnik.

Nikt nie miał do niej pretensji. Przecież takie rzeczy się zdarzają.

– To roztargnienie, zwykłe roztargnienie – komentował ktoś z sali.

Doktor Jerzy Pobocho, który krótko potem stanął za pulpitem ze swoim referatem, prelekcję rozpoczął słowami:

– Dzięki pani profesor nadarzyła się okazja, aby przybliżyć państwu zagadnienie z psychiatrii sądowej zwane automatyzmem. Niedawno polski sędzia miał z tego powodu spore problemy. Został oskarżony o przywłaszczenie 50 złotych i dopiero Sąd Najwyższy oczyścił go z zarzutu. Laserowy wskaźnik, automatycznie schowany przez panią profesor do torebki, jest wart znacznie więcej niż 50 złotych...

Co jest kradzieżą, a co roztargnieniem

Zobaczyła to cała Polska. Kamera monitoringu na stacji benzynowej pod Sochaczewem w marcu 2017 roku zarejestrowała, jak mężczyzna (ówczesny wiceprezes Sądu Rejonowego w Żyrardowie) płaci za butelkę wody mineralnej, chowa resztę, którą podała mu kasjerka, a następnie zabiera banknot leżący na ladzie. Pieniądze nie były jego. Zostawiła je starsza kobieta, która w tym samym czasie płaciła za paliwo i na moment odwróciła się od kasy. Szukała w torebce drobnych, a gdy podniosła wzrok, jej banknot był już w portfelu sędziego.

Wybuchła afera. Zdjęcia z monitoringu pokazywano w głównych programach informacyjnych. W postępowaniu dyscyplinarnym sędzia został uznany za winnego i usunięty z zawodu. Tymczasem Sąd Najwyższy zmienił wyrok sądu dyscyplinarnego pierwszej instancji, argumentując, że sędzia zabrał banknot bezwiednie, zatem jest niewinny.

– Zebrany w sprawie materiał świadczy o tym, że do zaboru pieniędzy doszło w wyniku błędu, przez roztargnienie, a nie celowy zamiar – uzasadniała sędzia Sądu Najwyższego Agnieszka Piotrowska. – A to oznacza, że w tym konkretnym przypadku nie doszło do przewinienia dyscyplinarnego, lecz fatalnej pomyłki wywołanej wysokim stopniem roztargnienia.

Polska pękała ze śmiechu i... oburzenia.

Wyrok Sądu Najwyższego (Izby Dyscyplinarnej) jest prawomocny, zatem sędzia mógł wrócić do wykonywania obowiązków służbowych. „Od dzisiaj każdy złodziej może tłumaczyć swoje nikczemne czyny stresem

i wysokim stopniem roztargnienia” – kpił w Internecie komentator przedstawiający się jako Stetinesis. „Po prostu wzięło się czyjeś pieniądze i już – nie ma co drażnić tematu”.

„Solidarność zawodowa w najbardziej obrzydliwym wydaniu” – wtórował mu internauta Jan Nowak. „Problem w tym, że żaden zwykły obywatel nie zostałby z tego uniewinniony”.

O sprawie sędziego chętnie dyskutowali też politycy. Tadeusz Cymański z Prawa i Sprawiedliwości, gość audycji *Rozmowy pod krawatem* Radia Szczecin, stwierdził po prawomocnym wyroku: „Kardynalne i elementarne argumenty niestety są po stronie oburzonej opinii publicznej. Jeśli sędzia przez roztargnienie ukradł 50 złotych, to jak on rozstrzyga sprawy w sądzie, mając taką cechę osobowości?”.

– **No właśnie. Panie doktorze, czy sprawa sędziego to precedens? Każdą odruchową kradzież będzie można teraz tak tłumaczyć?**

– Zaczniemy od tego, że to naprawdę nie była kradzież. Komentarze w Internecie zazwyczaj są złośliwe. Bazują na emocjach, a nie na wiedzy. Owszem, w telewizji źle to wyglądało, ale przed wygłaszaniem „sądów ostatecznych” zalecałbym przynajmniej odrobinę umiaru. Przecież każdy z nas wykonuje pewne czynności odruchowo, automatycznie: ubierając się, myjąc ręce, poruszając się, kierując samochodem. Automatyzm, bo z takim zjawiskiem mamy do czynienia, już dawno został opisany w psychologii i psychiatrii sądowej. Są to stany zaburzeń świadomości, w których człowiek zachowuje się jak automat i wykonuje niezamierzone działania bez możliwości kontroli swojego zachowania. Czynności automatyczne wykonujemy stale.

– **Ani razu publicznie nie padło to słowo.**

– A powinno. Automatyzm jest znany i uznawany w orzeczeniach sądowych na całym świecie, tylko nie u nas. W amerykańskim podręczniku psychiatrii sądowej można znaleźć cały rozdział na ten temat. Nasi studenci znajdą szczegółowy opis zagadnienia w materiałach do egzaminu, np. w Wyższej Szkole Psychologii Społecznej. Studenci prawa powinni się tego

uczyć na zajęciach z psychiatrii sądowej. Tymczasem powszechne reakcje są takie, jakbyśmy o tym słyszeli po raz pierwszy. Nie dziwię się zwykłym ludziom, ale jestem zdumiony, że biegli ani razu w swojej opinii nie odnieśli się to tego. W języku potocznym istnieje szereg wyrazów, które oddają istotę takich zachowań, np. bezwiednie, machinalnie, mimowolnie, rutynowo, nieświadomie, z rozpędu, samoistnie, niechcący, niecelowo, bezmyślnie, odruchowo. Każdy człowiek wie, że jest coś takiego, tylko nie biegli.

– Skąd wiadomo, że przypadek sędziego to automatyzm, a nie kradzież z premedytacją?

– W przypadku automatyzmu działania są szybkie, natychmiastowe, podejmowane bez zastanowienia. Wszystko dzieje się przy świadkach i pod czujnym okiem urzędów rejestrujących. W grę wchodzi kwota lub przedmioty niestanowiące większej wartości, których posiadanie nie jest adekwatne do ryzyka. Czy przywłaszczenie 50 złotych można uznać za wartę utraty autorytetu sędziego, a nawet wydalenia z zawodu? Postawienia zarzutów i wszczęcia procesu karnego?

W tym konkretnym przypadku ważne były także okoliczności poprzedzające zaistniałą sytuację. Jedną z nich było zmęczenie sędziego spowodowane przepracowaniem.

Na potrzeby dochodzenia opiniował go psycholog. Ustalił, że sędzia znany jest ze swojego roztargnienia. Gubił różne rzeczy, pozostawiał w nietypowych miejscach, i to wielokrotnie, chociaż na sali sądowej jest zorganizowany i dokładny. W czasie poprzedzającym zdarzenie miał zwiększoną ilość obowiązków. Prowadził wielowątkową sprawę karną, wymagającą maksymalnego skupienia. Widać było po nim, że jest przemęczony i niewyspany.

Ten zawód – podkreśla nasz rozmówca – wymaga dużej podzielności uwagi. Sędzia wykonuje wiele czynności naraz: wertuje akta, słucha świadków, patrzy na monitor, kontrolując zapis protokołantki z przebiegu przesłuchania. Po pracy przychodzi psychiczne zmęczenie. Rutynowe czynności mogą być wtedy słabiej kontrolowane przez mózg. Tamtego dnia sędzia wracał z prokuratorem i pracownikiem sądu z przesłuchania świadka

incognito w sprawie karnej. Kasjerka ze stacji PKN Orlen przekazała mu resztę w bilonie bezpośrednio do ręki. Zabrał drobne i automatycznie wziął banknot, który do niego nie należał (myśląc, że jest jego). Był zamyślony. Biegły uznał, że wszystko działo się poza jego świadomością, zatem były to działania mimowolne, odruchowe.

– Ciekawa jestem, doktorze, czy biegli wykazaliby taką wyrozumiałość w stosunku do bezrobotnego montera ze stoczni. On też mógłby padać z nóg ze zmęczenia.

– Gdyby ten bezrobotny monter stał przy ladzie, za nic nie płacił, sięgnął po czyjś banknot i schował go do kieszeni, to byłaby kradzież. Nie dlatego, że jest bezrobotny, lecz z powodu diametralnie różnych okoliczności. Kradzież generuje inne zachowania. Złodziej wchodzi np. do sklepu jubilerskiego, rozgląda się na lewo i prawo, sprawdza, gdzie są kamery. Dopiero gdy ma pewność, że nie jest obserwowany – wyciąga z gabloty precjoza. Wszystko dzieje się równie szybko jak w automatyzmie, z tą różnicą, że działania są celowe, więc pod pełną kontrolą świadomości.

– Często zdarzają się przypadki automatyzmu?

– W naszym orzecznictwie, jak już wspomniałem, termin ten jest praktycznie nieużywany, a jeśli nawet, to niezwykle rzadko. Uważam, że to wstyd, ponieważ zjawisko, o którym mowa, tłumaczy wiele ludzkich zachowań. W państwie europejskim nie powinno się udawać, że czegoś takiego nie ma. W opinii psychologicznej sędziego z Żyrardowa, liczącej 70 stron, ani razu nie użyto określenia automatyzm. Biegły pisał o różnych rzeczach, ale nie użył nawet synonimów automatyzmu.

Rozmawiałem przez telefon z sędzią Sądu Najwyższego, która uniewinniła bohatera skandalu ze stacji benzynowej. Przedstawiłem się i odniosłem wrażenie, że pani sędzia natychmiast nastawiła się do mnie z dystansem, spodziewając się ataku. Moje intencje były skrajnie różne. Wyjaśniłem, że chcę jej pogratulować odważnej i sprawiedliwej oceny w tej sprawie. Zaskoczyłem ją, więc musiała być wcześniej wielokrotnie krytykowana. Nie tylko opinia publiczna, ale też prawnicy odsądzali ją od czci i wiary.

Cyganka prawdę ci powie

Przed sądami różnych instancji przewija się mnóstwo spraw przeciwko złodziejom i chociaż ich wina wydaje się ewidentna – czasami trzeba powoływać biegłych psychiatrów. Linia obrony bywa bowiem tak zaskakująca, że trudno uchwycić granicę między fantazją a ewentualną chorobą psychiczną.

– Opiniowałem kiedyś Cygankę – opowiada doktor Pobocho. – Była kieszonkowcem. Jednym z jej ulubionych rewirów była Moda Polska. Młodzi czytelnicy zapewne nie pamiętają tamtych sklepów, zatem przypomnę, że w Modzie Polskiej sprzedawano ekskluzywne towary. W dniu dostawy zawsze były kolejki. Policjanci otrzymywali wówczas lawinową liczbę zgłoszeń o kradzieżach kieszonkowych. Powszechnie wiadomo, że kobiety noszą torebki przy boku lub wręcz z tyłu. Dla zawodowca to żaden problem, aby je okraść. Sposobem na kieszonkowców z Mody Polskiej miało być wysłanie do kolejki funkcjonariuszy w cywilu. Jeden z nich złapał za rękę Cygankę, którą miałem zdiagnozować.

– Jak to było? – zapytałem, a ona chętnie opowiadała.

– Panie doktorze – zaczęła egzaltowanie – stałam sobie spokojnie w kolejce, aż tu nagle jakiś facet szarpie mnie za rękę. Cały się trzęsie i wmawia mi, że ukradłam portfel kobiecie, która była przede mną. Mówię mu, że ja niczego nie ukradłam, a on mnie straszy policją!

– Z akt sprawy wynika, że działała pani w grupie. Było tam kilka Cyganek, zrobiły „kotarę” ze swoich płaszczy, aby mogła pani niepostrzeżenie włożyć rękę do czyjejś torebki.

– Pan taki kształcony, a w takie brednie wierzy. – Spojrzała na mnie z politowaniem.

– Mam rozumieć, że nie trzymała pani cudzego portfela?

– Trzymałam, ale on sam mi się w rękę wepchał.

– Jak to? – Oniemiałem ze zdziwienia.

– Wyskoczył z torebki, więc go złapałam i już chciałam oddać, gdy ten nachalny facet zaczął mnie szarpać.

– Ach tak. – Pokiwałem głową ze zrozumieniem. – Przecież to oczywiste, że portmonetki czasami wyskakują z torebek. Jakiż mogła mieć pani wpływ na to powszechne zjawisko!

– Jak to dobrze doktorze, że pan tak rozumie ludzi – powiedziała wzruszona.

Teoria wyskakującej portmonetki – mówiąc kolokwialnie – nie „chwyciła”, więc Cyganka niespodziewanie straciła pamięć. Nagle i nieodwracalnie. Zdiagnozowaliśmy ją na naszym oddziale i opisaliśmy jej przypadek: klasyczna symulacja.

Pomroczność czy pijaństwo

– Kolejny przypadek alibi z pogranicza science fiction dotyczy złodzieja radioodbiorników samochodowych – opowiada psychiatra. – Ten młody człowiek dawał się we znaki właścicielom pojazdów i stróżom prawa, którzy długo nie mogli wpaść na jego trop. W końcu szczęście przestało mu sprzyjać. Złapano go na gorącym uczynku, w samochodzie. Jak się tłumaczył? Otóż on uciekał, bo go gonili. Nieważne, kto i z jakiego powodu, ale gonili. Był w strachu, drżał o własne życie. Obawiał się, że jeśli nie zdoła uciec, tamci obedrą go ze skóry.

W tak dramatycznych dla siebie okolicznościach zobaczył otwarty samochód. Nie wierzył własnym oczom, ale widać opatrność nad nim czuwała. Tylko głupi nie skorzystałby z takiej okazji.

Młody człowiek wśliznął się do środka, przycupnął. Czekał na odpowiedni moment, aby wyjść. Na pewno by to zrobił, gdyby tamci pobiegli dalej i stracili go z oczu. Przecież on niczego nie chciał kraść! To potwarz, że nazywają go złodziejem. On się tylko schował, a bezduszny prokurator zarzuca mu włamanie. Po co miałby się włamywać, skoro auto było otwarte?!

Nie on jeden miał taką fantazję. Niebawem trafił do nas na obserwację kolejny złodziej, którego kariera legła w gruzach w podobnych okolicznościach. Płądrował czyjeś mieszkanie i wpadł. Niedorzeczną linię obrony przedstawił bez mrugnięcia okiem:

– Kochani, mylicie się – przekonywał. – Czy ja wyglądam na złodzieja?! Ja po prostu zabłądziłem i szukałem drogi wyjścia. Miałem pecha, że ta droga prowadziła przez czyjś dom. Okno było otwarte, przypadkowo wszedłem. Przecież ludzie błędzą. Jak można za coś takiego karać?!

– **Fantazja niektórych adwokatów też nie zna granic. „Mój klient nie był członkiem zorganizowanej grupy przestępczej, lecz grupy towarzyskiej”** – usłyszałam w mowie obrońcy pewnego gangstera, który przyznał się do wielu przestępstw.

– „Mój klient działał w stanie pomroczości”, przekonywał inny adwokat w procesie złodzieja, który włamał się do Pewexu. Kiedyś, podobnie jak Moda Polska, sklepy Pewexu były synonimem luksusu. Włamywacz wypił co nieco, ale działał precyzyjnie. Ukradł dużą wieżę, aparat fotograficzny, lampę błyskową i obiektyw.

– **Gdzie w tym pomroczość?**

– No właśnie. Wszędzie były kamery, więc złodziej nie mógł liczyć na anonimowość. Pewnie dlatego adwokat przekonywał, że czyn był niezrozumiały i bezsensowny. Ale to nie tak, że złodziej zamknął oczy, a zrabowane przedmioty same „włożyły się” do torby. Człowiek w pomroczości nie wie, co robi – bałagani, jego działania są chaotyczne. Pozostawiłby totalny rozgardiasz. Tymczasem po jego wizycie w Pewexie panował porządek. Złodziej dokładnie wiedział, po co przyszedł, skompletował sobie cały sprzęt fotograficzny jednej firmy. W jego przypadku upojenie alkoholowe było zwykłe, a nie patologiczne, gdzie świadomość byłaby wyłączona.

– **Rozumiem prawo do obrony, ale czemu ma służyć opowiadanie na sali sądowej takich bzdur?**

– A to już nie do mnie pytanie. Oskarżony i jego adwokat korzystają z prawa do obrony.

Złodziejka czy kleptomanka?

W Hollywood wybuchł skandal, gdy będąca u szczytu sławy Winona Ryder została przyłapaną na kradzieży. Gwiazda znana z ról m.in. w *Draculi*

Francisa Forda Coppoli, *Edwardzie Nożycorękim* Tima Burtona czy *Domu dusz* Billego Augusta połasiła się na luksusowe ubrania ze sklepu Saks Fifth Avenue w Beverly Hills. Na nic zdały się jej tłumaczenia, że w ten sposób przygotowywała się do roli. Stała przed sądem, a cały filmowy świat osłupiał na widok zapisu z kamery przemysłowej – aktorka upychała rzeczy w torbach po zakupach. Musiała za karę odpracować 480 godzin prac społecznych i zapłacić kilka tysięcy dolarów grzywny, lecz niewiele ją to nauczyło. Sześć lat później Winona Ryder usiłowała wynieść kosmetyki z perfumerii w Los Angeles. Utknęła na bramce z alarmem. W jednej z gazet napisano, że wyglądała na przerażoną i zdezorientowaną, gdy ochroniarz znalazł w jej kieszeniach skradzione towary. „Nie wiem, jak to się stało” – miała powiedzieć. Media okrzyknęły ją najsłynniejszą kleptomanką na świecie.

– Doktorze, kleptomania to choroba psychiczna?

– Nie choroba, lecz zaburzenie kontroli impulsu – wyjaśnia Jerzy Pobocho. – Mania oznacza patologiczny popęd do wykonywania jakiejś czynności, niemożność jej powstrzymania. Jest cała grupa takich zachowań, np. trichotillomania – natrętne, niepohamowane wyrywanie włosów, dromomania – pęd do wędrowania, piromania czy właśnie kleptomania, czyli trudna lub niemożliwa do powstrzymania potrzeba kradzieży.

Pojęcie manii wprowadziła psychiatria francuska. Przypadłość obśmiał Tadeusz Boy-Żeleński: „Takiej dostał dziwnej manii, że chciał tylko od Stefanii”. Myśmy też, tzn. polscy psychiatrzy, sceptycznie patrzyli na omawiane zaburzenia. Sądziłyśmy, że kleptomania to w ogóle jakaś bzdura. Myliliśmy się, po prostu mieliśmy wtedy za małą wiedzę w tym zakresie.

– Kleptoman jest niepoczytalny?

– Poczytalny, odpowiada za swoje czyny, chociaż z uwagi na zaburzenie kontroli impulsu wymiar kary jest łagodniejszy. Kleptomania powoduje co najwyżej znaczne ograniczenie, a nie zniesienie świadomości i rozumienia znaczenia czynu, w sensie prawnym. Zwiększona potrzeba robienia czegoś nie może skutkować „rozgrzeszaniem” za to.

Miałem w swojej praktyce lekarskiej do czynienia z różnymi ciekawymi przypadkami, kiedy osoby publiczne, z autorytetem (także sędzia), kradły ze sklepu kielbasę albo inne rzeczy bez wartości.

– Dlaczego to robią?

– Ich mózg tak pracuje. Nagle odczuwają potrzebę posiadania jakiegoś przypadkowego przedmiotu. Nie jest to cel upatrzony, wartościowy, niepowtarzalny, tylko właśnie przypadkowy. Taka osoba autentycznie nie może się pohamować. Zachowania kleptomana nie przypominają kradzieży w sklepie według klasycznego schematu: widzi, planuje, zabiera. To jest impuls.

– Jak stwierdzić, że ktoś ma takie zaburzenie?

– Czyn jest bezkrytyczny, a lęk przed konsekwencjami właściwie żaden. Zobrazuję to klasycznym przykładem z podręcznika psychiatrii sądowej, chyba jeszcze z XIX wieku. Człowiek w ostatnim stadium kiły, czyli z uszkodzonym mózgiem, ukradł beczkę piwa sprzed sklepu i toczył ją do domu. Po drodze napotkał patrol policji. Był strudzony, więc poprosił funkcjonariuszy, aby mu pomogli. Dalej toczyli tę beczkę razem. Kompletny bezkrytycyzm sprawcy, nieliczenie się z niczym i nikim.

Do zaburzeń kontroli impulsu zalicza się także coraz powszechniejszy shopoholizm. Jedna ze znanych mi osób nie potrafiła się powstrzymać przed kupowaniem kosmetyków. Miała w łazience sześćset kremów, a w szafie sto sukienek i tyleż nowych par butów.

– Widać poprawiała sobie nastrój.

– Właśnie na tym polega mechanizm tego zaburzenia: najpierw poprawiamy sobie zakupami samopoczucie, dobry nastrój z tym związany trwa dzień lub dwa, ale życie znów nas czymś zaskakuje, więc ponownie trzeba sobie coś kupić. Później taka osoba nie czeka już na nowe wydarzenia w życiu, tylko kupuje i kupuje. Tamta kolekcjonerka kremów miała akurat spore dochody i mogła sobie pozwolić na ekstrawagancję. Ale

kolejna osoba z zakupoholizmem, znana mi osobiście, puściła w ten sposób 200 tysięcy złotych, które „pożyczyła” z banku, w którym pracowała. Sfałszowała parę umów, zorganizowała sobie pieniądze z kredytów i wpadła.

Czy można to wytłumaczyć? Jak najbardziej. W uzależnieniach behawioralnych kluczową rolę odgrywa układ nagrody w mózgu, powodujący, że człowiek ma potrzebę robienia sobie przyjemności. Zresztą nie tylko człowiek, gdyż zwierzęta też mają w mózgu układ nagrody. Przypomnę w tym miejscu słynny eksperyment, gdy małpę podłączono do prądu i dano do łapy urządzenie z przyciskiem, generujące przyjemne bodźce, aby sama je uruchamiała według potrzeb. Co robiła małpa? Stale ten przycisk naciskała.

My też lubimy robić sobie przyjemności, a zakupy są jedną z nich. I nic w tym złego, gdy kobieta kupuje sobie pięćdziesiątą parę butów czy sześćsetny pierwszy krem, pod warunkiem że wydatki nie demolują jej życia i konta w banku.

– Można to jakoś leczyć?

– Okazało się, że na układ nagrody w mózgu działa lek stosowany w alkoholizmie – Anticol wywołuje uczucie duszności, gorąca, ale też tłumi potrzebę – mówiąc kolokwialnie – robienia sobie przyjemności. Skoro człowiek pije i alkohol kojarzy mu się z przyjemnością, to trzeba stłumić tę potrzebę. Aplikuję go swoim pacjentom uzależnionym od hazardu, bo to kolejny rodzaj przyjemności rujnującej życie i oszczędności. Do tego trzeba dodać leki antydepresyjne, żeby wytłumić emocje. Pacjenci mówią: „Jeszcze mnie ciągnie, ale już znacznie mniej”.

Dla osób postronnych tego typu zachowania, jak kleptomania, uzależnienie od zakupów czy hazardu, bywają trudne do logicznego wytłumaczenia. Uruchamia się typowa cecha myślenia ludzi – że jeśli ktoś okrada znajomych lub wydaje wszystkie pieniądze w kasynie, to musi to być wyraz choroby psychicznej. Chorego trzeba otoczyć opieką i leczyć, a nie karać. Stąd współczucie, a nie potępienie.

Zagadki ludzkiej psychiki

Ludzki umysł to wciąż obszar nieodgadniony. Zdaniem naszego eksperta jednym z największych fenomenów psychiki człowieka w ubiegłym wieku była histeria.

– W XVIII i XIX wieku panowało przekonanie, że dotyczy ona tylko kobiet – opowiada doktor. – Już w starożytności uważano, np. Hipokrates, że histeria to wścieklizna macicy (*histerus* po łacinie oznacza macicę). Mężczyzna, jako że nie ma tego narządu, nie może popadać w histerię. Oczywiście widywano mężczyzn z charakterystycznymi dla tego stanu objawami, ale zaprzeczano faktom.

Kiedyś, a było to dawno, dawno temu, napady hysterii budziły zainteresowanie i współczucie, co było mechanizmem napędzającym zjawisko. Tymczasem w latach 60. i 70. XX wieku nastawienie społeczne w tej kwestii uległo radykalnej zmianie. Kiedy w 1968 roku zaczynałem pracę w klinice psychiatrycznej, w tygodniu przywożono nam na noszach nawet do dziesięciu pacjentów z porażeniami na skutek hysterii, niedowładem, afonią – gdy człowiek nie mógł mówić – albo ślepotą histeryczną.

Podawaliśmy im wtedy na izbie przyjęć „cudowny, zagraniczny lek ABD”, który – tak mówiliśmy – mieliśmy w Polsce tylko my, na naszym oddziale. Po tym zastrzyku pacjenci wstawali z noszy i o własnych siłach opuszczali szpital. Wszystkie objawy ustępowały jak ręką odjął.

Imponowałem tym mojej żonie, która przyszła do nas na praktykę i widziała tamte cudowne ozdrowienia. Nie mogła uwierzyć, że jesteśmy w stanie tak spektakularnie kogoś wyleczyć ze ślepoty czy głuchoty.

- Co to za lek? – spytała.
- Bardzo dobry, amerykański – odpowiedziałem enigmatycznie.
- No tak, ale jaki jest skład tego ABD? – drążyła temat.
- Musiałabyś dochować tajemnicy.
- Dochowam – zapewniła.

W końcu jej powiedziałem, że to... woda destylowana. *Aqua b destillata*, czyli ABD. Trudno w to uwierzyć? A jednak! Siła sugestii czyni cuda. Uzdrowia, ale też zabija, np. w plemionach, w których klątwa rzucona przez czarownika potrafi doprowadzić do śmierci.

W dzisiejszych czasach histeria praktycznie nie istnieje.

Kolejnym fenomenem ludzkiej wyobraźni, który zaskoczył psychiatrów i psychologów około 70 lat temu (i zaskakuje do dziś), jest tzw. osobowość mnoga, występująca głównie w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych Ameryki, najczęściej u kobiet. Objawia się tym, że człowiek nagle, zupełnie poza świadomością, staje się kimś innym: podaje nieprawdziwe dane, ma inny wiek, iloraz inteligencji, preferencje seksualne, zapis EEG, a w przypadku kobiet – inny cykl miesięczkowy. Takich wcieleń w jednym człowieku jest nawet kilkanaście, a w najgłośniejszych, opisywanych w prasie medycznej przypadkach – ponad 20 (!)

Pacjentka (lub pacjent) z zaburzeniami tożsamości nie jest świadoma, że żyje równocześnie więcej niż jednym życiem, jej prawdziwa osobowość nie wie o istnieniu pozostałych. Często te wcielenia są skrajnie różne. Mają odrębne wspomnienia, życiorysy, a także upodobania, choroby i talenty.

W latach 50. ubiegłego stulecia, kiedy amerykańska psychiatria zaczęła analizować i opisywać pierwsze takie przypadki, policja odkrywała sekrety kilku tajemniczych zaginięć. Okazywało się bowiem, że w oddalonych od swoich domów miastach i stanach przebywały osoby od dawna uważane za zmarłe. Jedna z nich wróciła do męża i dwóch dorosłych córek po 19 latach. Zachowywała się tak, jakby nic się nie stało, tymczasem wszyscy dookoła niej byli w szoku. Nie mogła zrozumieć zdziwienia rodziny i znajomych, ale też nie potrafiła pojąć, dlaczego jej córki tak szybko urosły i wyszły za mąż. Jeszcze rano były małe, chodziły do przedszkola, a teraz jechały do pracy. Lekarze podejrzewali schizofrenię, ale ostatecznie wykluczyli chorobę psychiczną. Niestety, kobieta nie potrafiła sobie przypomnieć, gdzie spędziła wszystkie te „zgubione” lata.

– Doktorze, na czym polega to zjawisko?

– Takie osoby doświadczyły w przeszłości silnego urazu psychicznego, głównie na tle seksualnym. Były gwałcone i maltretowane albo przeżyły tragiczną śmierć kogoś bliskiego. Po traumie ich psychika „uciekła” od realnego bytu, zepchnęła dramatyczne wydarzenia do nieświadomości i osoba zaczęła prowadzić zupełnie odrębne życie.

W Europie wielu lekarzy kwestionuje istnienie osobowości mnogiej, ale jest ona faktem. W Kanadzie i USA powstało wiele książek i filmów z bohaterami cierpiącymi na te zaburzenia, co nie pozostało bez wpływu na nowe przypadki. Zachowania postaci filmowych i literackich zostały przez część odbiorców nieświadomie skopiowane.

Mechanizm w mózgu włącza i wyłącza wspomnienia, także prawdziwe imię i nazwisko, dlatego osoby z osobowością mnogą podają inne dane.

– **Posługiwanie się fałszywymi danymi to przecież oszustwo.**

– Nie w tym przypadku, bo wszystko dzieje się poza świadomością i kontrolą, mamy do czynienia z automatyzmem, działaniem wbrew woli. Oni wcale nie chcą być kimś innym. Niczego nie udają, nie symulują. To mechanizmy obronne, ich psychika ucieka w inną osobowość. „Przecież ty jesteś Merlin z Chicago” – mówią kobiecie znajomi. „Nie, nie, ja jestem Kristin z Nowego Jorku” – zaprzecza faktom.

– **Ale przecież to nie jest normalne. Taka osoba musi być chora.**

– Tak, w międzynarodowej klasyfikacji chorób osobowość mnoga została określona jako jedno z zaburzeń psychicznych.

– **Do czego można to zaburzenie porównać?**

– Do ciąży urojonej, czyli stanu, gdy kobiecie rośnie brzuch, nabrzmiewają piersi, odczuwa zawroty głowy i wiele innych objawów, jakby spodziewała się dziecka. Teoretycznie wszystko się zgadza, z jednym wyjątkiem – ciąży nie ma.

W 1957 roku ukazał się film *Trzy oblicza Ewy*, oparty na prawdziwej historii 25-letniej Chris Sizemore – pierwszej pacjentki z osobowością mnogą zdiagnozowanej i opisanej przez amerykańskich lekarzy. Pięć lat wcześniej kobieta zgłosiła się do terapeuty, mówiąc, że znajduje w domu mnóstwo nowych rzeczy, których nie kupiła ani ona, ani jej mąż. Podczas sesji terapeutycznych okazało się, że żyją w niej dwie obce sobie istoty.

Pierwsza to szczęśliwa mężatka, stateczna gospodyni domowa i świeżo upieczona matka zdrowej dziewczynki. Druga zaś to bezdietna, rozrywkowa dziewczyna, która sporo pije, spędza czas na zakupach i nie ma męża. Ta druga traktowała partnera tej pierwszej jak zupełnie obcego człowieka. Z czasem okazało się, że w Chris Sizemore ukrywają się... 22 osobowości. Każda miała swój odrębny życiorys i pojawiała się znienacka. Jedna z nich chciała zabić jej niemowlę, i to był sygnał, aby zgłosić się do psychiatry.

Pierwsze zaburzenia zauważono u niej, gdy była jeszcze dzieckiem. Zachowywała się tak, jakby w jej ciele obecnych było kilka dziewczynek. Nikt z tym nic nie zrobił. Dopiero w dorosłym życiu przyszedł czas na leczenie. Okazało się, że kobieta nie cierpi na schizofrenię, co początkowo podejrzewano, lecz zaskakujące zaburzenia tożsamości. Laik nie widzi różnicy, ale jest ona oczywista – w przypadku schizofrenii chory jest świadomy, że „ktoś siedzi w jego głowie”, natomiast tutaj kobieta nie uświadamiała sobie innych postaci, które w niej żyły.

Rozpoczęła się wieloletnia terapia Chris Sizemore. Szukano przyczyn tej – niezwyklej w jej przypadku – ucieczki od prawdziwej osobowości. Odpowiedź kryła się w dzieciństwie pacjentki. Lekarze wydobyli z jej nieświadomości dramatyczne wspomnienia, od których wszystko się zaczęło.

Miała zaledwie kilka lat, gdy bawiąc się w tartaku, zobaczyła, jak piła tarczowa przecięła w pół jej wujka. Krótco potem znalazła na polu rozkładające się ludzkie zwłoki. Tego psychika dziecka już nie wytrzymała, tamte wydarzenia odmieniły ją na zawsze. Lekarze opisali stan kobiety jako zaburzenia dysocjacyjne i nazwali jej przypadek osobowością mnogą.

Dwadzieścia lat później media w USA rozpisywały się o 23-letnim kryminaliście, który po raz pierwszy w historii Stanów Zjednoczonych został uniewinniony od popełnionych przestępstw właśnie z powodu osobowości mnogiej. Nazywał się Billy Milligan. W 1977 roku aresztowano go za gwałt i napaść z bronią w ręku. Psychiatra odkrył w nim ponad 20 osobowości – mężczyzn i kobiet. Każda miała odrębne życie i nie podejrzewała „sąsiedztwa” kolejnych. Jedna z tych postaci dokonywała gwałtów, inna napadów, a pozostałe prowadziły uporządkowany żywot, z poszanowaniem prawa.

Chociaż prokuratorom i biegłym trudno było w to uwierzyć, to badania psychiatryczne potwierdziły istnienie w nim wielu osobowości. William Milligan był jako dziecko maltretowany przez ojczyrna. Podobnie jak u Chris Sizemore, traumatyczne dzieciństwo spowodowało u niego późniejsze zaburzenia. Daniel Keyes we wstępie do swojej książki *Człowiek o 24 twarzach* napisał:

„W odróżnieniu od innych ludzi cierpiących na osobowość wieloraką, opisywanych w literaturze psychiatrycznej i popularnej, którzy początkowo zachowywali anonimowość, Milligan stał się kontrowersyjną osobą już od chwili, gdy został aresztowany i oskarżony.

Jego zdjęcia pojawiały się na pierwszych stronach gazet i okładkach czasopism. Wyniki badań przeprowadzanych przez psychiatrów omawiano w wieczornych programach informacyjnych, pojawiały się też one w tytułach prasowych na całym świecie.

Po raz pierwszy spotkałem go w Ośrodku Zdrowia Psychicznego w Athens w stanie Ohio wkrótce po tym, jak go tam umieszczono na polecenie sądu. Gdy poprosił mnie, żebym napisał historię jego życia, odpowiedziałem mu, że moją zgodę uzależniam od tego, czy dowiem się o nim więcej, niż opublikowano w mediach. Zapewnił mnie, że głębsze tajemnice dotyczące jego poszczególnych osobowości nigdy nie zostały nikomu ujawnione, nawet adwokatom i psychiatrom, którzy go badali. Pragnął, żeby świat zrozumiał jego chorobę.

Kiedy rozmawiałem z nim na osobności, podczas wizyt w szpitalu psychiatrycznym, bardzo różnił się od opanowanego człowieka, którego poznałem podczas naszego pierwszego spotkania. Mówił z wahaniem, kolana mu nerwowo drżały. Pamięć miał słabą, nie pamiętał długich okresów ze swojego życia, głos często mu drżał pod wpływem bolesnych wspomnień. Po daremnych próbach wydobywania z niego informacji na temat przeszłości doświadczeń byłem gotów zrezygnować.

Wtedy stało się coś zaskakującego.

Pewnego dnia w Billym Milliganie po raz pierwszy dokonała się całkowita integracja, ujawniła się nowa osoba, amalgamat wszystkich

jego osobowości. Zintegrowany Milligan w sposób jasny i niemal doskonały przypomniał sobie wszystkie swoje wcielenia od chwili ich powstania. Wszystkie ich myśli, czyny, związki z innymi ludźmi, tragiczne doświadczenia i komiczne przygody”¹.

Bohater książki Daniela Keyesa spędził w szpitalu psychiatrycznym 10 lat. Po wyjściu na wolność trafił na długie lata do domu opieki społecznej, gdzie zmarł w 2014 roku w wieku 59 lat.

Prasówka:

—
„Kolejny przypadek osobowości mnogiej: znany gracz futbolu amerykańskiego Herschel Walker w dzieciństwie miał problemy ze zbedną wagą. Wtedy to właśnie w tłuściutkim Herschel u zamieszkały dwie osobowości – «wojownik», który zdobywał sukcesy sportowe, i «bohater», który bawił się na imprezach. Dopiero po upływie wielu lat, zmęczony chaosem we własnej głowie, udał się do lekarzy.

29-letnia Karen Overhill z Chicago skarżyła się psychiatrze na bóle głowy, depresję, amnezję. Po jakimś czasie lekarz zrozumiał, że w jego pacjentce żyje 17 różnych osobowości. Wśród nich – 2-letnia Karen, czarnoskóry nastolatek Jensen i 34-letni ksiądz Holden. Każda miała własny głos, charakter, umiejętności, styl zachowania. Na przykład tylko jedna z osobowości umiała jeździć samochodem, dlatego wszystkie inne musiały cierpliwie

czekać, gdy ona je gdzieś odwiezie. Niektóre z nich były leworęczne, inne praworęczne.

Okazało się, że w dzieciństwie ojciec i dziadek gwałcili Karen. Później oferowali ją za pieniądze innym mężczyznom. Aby jakoś poradzić sobie z tym horrorem, dziewczynka stworzyła wirtualnych przyjaciół, którzy pomagali jej poradzić sobie w trudnych sytuacjach.

Leczono ją ponad 20 lat, w końcu udało się zintegrować wszystkie osobowości w jedną.

Kim Noble – malarka z Wielkiej Brytanii, przez całe swoje życie cierpi na rozdwojenie jaźni. W jej głowie mieszka 20 osobowości – małeńki chłopak Diabalus, który zna język łaciński, dziewczynka Judy, która ma anoreksję, 12-letnia Ria, która odtwarza w głowie okropne sceny gwałtu. Każda osobowość może się pojawić w dowolnym momencie, zazwyczaj codziennie.

Lekarze obserwują kobietę już od kilku lat, ale na razie nie mogą jej pomóc. Malarka ma córkę, która przyzwyczała się do dziwnego zachowania swojej matki. Kim Noble nie wie, kim jest ojciec dziewczynki, nie pamięta okresu ciąży i porodu. Wszystkie jej osobowości dobrze traktują dziecko.

Z kolei Truddi Chase z Nowego Jorku miała koszmarne dzieciństwo, znęcali się nad nią matka i ojczym. Aby jakoś poradzić sobie z okrutną realnością, dziewczynka stworzyła w swojej głowie ogromną ilość nowych osobowości, które przechowywały różne wspomnienia. Truddi Chase zdobyła popularność po opublikowaniu swojej książki *When Rabbit Howls* i udziale w talk show Oprah Winfrey”.

(źródło: <http://womanadvice.pl/10-najbardziej-znanych-przypadkow-rozdwojenia-osobowosci>).

1. Daniel Keyes, *Człowiek o 24 twarzach. Billy Milligan – najcięższy przypadek rozszczepienia osobowości w dziejach*, przeł. Anna Bartkowicz, Wielka Litera, Warszawa 2015. [[wróć](#)]

Rozdział 2

„Umrę, ale nie sam”, czyli samobójstwo rozszerzone

– Wyobraźcie sobie osamotnionego, przestraszonego człowieka, siedzącego w ciemnym pokoju, z którego nie ma wyjścia – proponuje czytelnikom tej książki Katarzyna Kolasińska, doświadczona psycholog i biegła sądowa. – W pomieszczeniu jest coraz mniej powietrza, trzeba podjąć próbę ucieczki. Przestraszony człowiek tylko wciska się w kąt i zamyka oczy. Poczucie beznadziejności i niemocy skutecznie odbiera mu chęć do jakiegokolwiek działania. On zwyczajnie nie ma sił, by boksować się ze światem.

Człowiek w „ciemnym pokoju” jest przekonany, że tylko śmierć jest sposobem na rozwiązanie jego problemów.

– Właśnie tak czuje się ktoś, kto już nie chce żyć – porównuje psycholog, z której doświadczenia zawodowego i rad korzystać będziemy na kartach niniejszej książki jeszcze nie raz.

Jeżeli samobójca nie pozostawi listu pożegnalnego z wyjaśnieniem „dlaczego”, jego najbliżsi, a także policja i prokuratura dociekają przyczyn desperackiej decyzji. Niektórych popycha do śmierci zawiedziona miłość. Wielu samobójców rozstaje się z życiem w wyniku nieuleczalnej choroby (także psychozy) lub głębokiej depresji. Coraz częściej przyczyną samobójstw jest strach przed przyszłością – szczególnie gdy brakuje środków do życia, z powodu utraty pracy, przedłużającego się bezrobocia i braku perspektyw na poprawę losu.

Często słyszymy, że ktoś, kto nosi się z zamiarem popełnienia samobójstwa, zachowuje się inaczej niż zazwyczaj. Osoba z natury otwarta i towarzyska nagle zamyka się w sobie, a człowiek dotychczas powściągliwy i małomówny zaczyna opowiadać o swoich problemach. Nawet gdy zmiany w zachowaniu są wyraźne, mało kto kojarzy je ze śmiertelnymi planami.

Znawcy ludzkich dusz podkreślają, że człowiek planujący śmierć „wysyła sygnały”: porządkuje swoje rzeczy, rozlicza się z bankiem, oddaje

przyjaciołom najcenniejsze przedmioty. Czasami mówi, że się zabije, ale nikt nie traktuje tego serio.

Samobójstwo jest procesem trwającym latami: to nie tylko końcowy czyn, ale stan, który go poprzedza. Ten proces zaczyna się w momencie, gdy człowiek po raz pierwszy trafia do „ciemnego pokoju” i wyobraża sobie swój pogrzeb. Z czasem, gdy zabraknie pomocy ze strony bliskich i terapeutów, myśli o śmierci nasilają się, a definitywna ucieczka od problemów staje się pragnieniem. Na tym etapie pomoc jest jeszcze możliwa, jednak gdy nie nadejdzie w porę – człowiek podejmuje pierwsze próby samobójcze. Nie zawsze są one skuteczne, ale w końcu dopina celu.

Dramat staje się koszmarem, gdy desperat decyduje się na tzw. samobójstwo rozszerzone – zanim sobie odbierze życie, zabija swoich najbliższych, aby uchronić ich przed niesprawiedliwością tego świata.

Pod koniec lat 90. niedaleko Limanowej w beczkach z wodą natrafiono na zwłoki czterech chłopców. Najstarszy miał osiem lat, najmłodszy rok. Ich 33-letnia matka nie zdążyła odebrać sobie życia. Ktoś ją powstrzymał, gdy próbowała się powiesić. Zatrzymana przez policję trafiła najpierw do aresztu, a potem do szpitala psychiatrycznego. Tłumaczyła, że bardzo kochała swoich synów. Nie chciała, by ktoś skrzywdził ich w życiu, tak jak ją skrzywdzono. Kiedy funkcjonariusze wprowadzali ją do radiowozu, uzbrojeni w kije sąsiedzi krzyczeli: „Morderczyni! Powiesić ją!”. Nie znajdowali wytłumaczenia dla tego, co zrobiła swoim synom. „Chciała do piekła – mogła się powiesić, a nie dzieci do piekła posyłać!”

Kiedyś takie przypadki należały do rzadkości. Ostatnio słyszymy o nich raz za razem.

Fiolka z trucizną

Sala zabaw na warszawskim Bemowie tętniła życiem. Była handlowa niedziela, w sklepach już grali *Last Christmas*, chociaż do świąt Bożego Narodzenia pozostawał jeszcze miesiąc. Któreś z dzieci obchodziło urodziny, mali goście szaleli z balonikami i trąbkami.

Krótko przed osiemnastą w toalecie utworzyła się kolejka. Jedna z kabin przez długi czas była zajęta, oczekujący zaczynali się niecierpliwić. Ktoś

się pochylił i dostrzegł pod drzwiami dziecięcą rączkę. Ktoś inny wyważył zamek i otworzył drzwi. Na podłodze leżeli mały – czteroletni, jak się wkrótce okazało – chłopiec i mężczyzna po trzydziestce, jego ojciec. Przed chwilą obaj byli jeszcze w sali zabaw, trzymali się za ręce. Teraz obaj leżeli bez śladów życia.

Sześcioletnia siostra chłopca, która przyszła razem z nimi, błąkała się po sali zabaw, niczego jeszcze nie rozumiejąc. Jej ojciec był już martwy, a braciszek zmarł w szpitalu.

Policja od pierwszych chwil była oszczędna w komentarzach, zasłaniała się „delikatnością sprawy”. Ktoś w toalecie zobaczył na podłodze fiolkę, którą funkcjonariusze natychmiast zabezpieczyli. Zrodziły się podejrzenia, że była w niej trucizna. „Ojciec zaprowadził syna do toalety, a następnie podał mu trującą substancję i sam ją zażył” – takie były pierwsze oficjalne informacje w tej sprawie.

Pięć dni wcześniej w programie TVN *Uwaga!* wyemitowano reportaż, którego bohaterką była żona desperata. Opowiadała, że mąż wielokrotnie tracił panowanie nad sobą, miał sprawę w prokuraturze o uporczywe nękanie bliskich i tzw. porwania rodzicielskie (wywoził syna za granicę i prosił o azyl). Małżonkowie byli w trakcie burzliwego rozwodu, kobieta wręcz drżała o bezpieczeństwo dzieci. „Jak mam je dawać pod opiekę człowiekowi, który groził samobójstwem i trzy razy wchodził z synem na dach w środku nocy?” – mówiła przed kamerami świadoma zagrożenia.

Sąd ograniczył jej mężowi prawa rodzicielskie, a w kontaktach z synem i córką ustanowił nadzór kuratora.

– To był dla mnie taki szok – mówił w reportażu *Uwaga!* TVN-u przyszły samobójca. – W nocy wsiadłem z synem w samochód i pojechałem przed siebie. Dojechałem do Monachium [...]. No nie zakończyło się to dla mnie zbyt przyjemnie. Zostałem zatrzymany, a syn zabrany do jakiegoś punktu opieki.

W tamtą niedzielę po raz pierwszy – zgodnie z zaleceniami sądu – spotkanie ojca z dziećmi odbywało się pod okiem kuratora sądowego. Nic nie zapowiadało tragedii. Kurator – cichy uczestnik wydarzeń – był kiedyś policjantem. Miał spore doświadczenie w pracy z tzw. trudnymi przypadkami, cieszył się zaufaniem podopiecznych i przełożonych. Obowiązki służbowe wykonywał sumiennie, tamtego dnia również. Nie należało przypisywać mu winy za to, co się stało.

Śledczy od początku mówili o samobójstwie rozszerzonym i podkreślali, że takim dramatom trudno zapobiec. W obliczu depresji, bo to ona jest przyczyną, nieistotne jest wykształcenie i wykonywany zawód. Tu nie ma mądrych. Wobec choroby wszyscy jesteśmy równi. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej w Lublinie pediatra specjalizujący się w medycynie rodzinnej zabił z broni myśliwskiej swoją żonę i córkę, a potem strzelił sobie w głowę. „Był cenionym lekarzem, doświadczonym samorządowcem i radnym Platformy Obywatelskiej. Broń posiadał legalnie, ponieważ był myśliwym” – informowała lokalna prasa. Sąsiedzi i znajomi opowiadali policjantom, że lekarz troszczył się o rodzinę. Chcieli racjonalnie wytłumaczyć sobie i innym, dlaczego tak postąpił. Spekulowali, że być może miał długi związane z hazardem, ale to i tak – ich zdaniem – nie tłumaczyło czegoś tak strasznego.

Prasówka:

– „Rodzina pochodziła ze Świdnika, ale do Lublina przeniosła się na czas remontu swojego mieszkania. 72-letni Wojciech B. był lekarzem i radnym miejskim w Świdniku. Należał do Platformy Obywatelskiej, był jedynym reprezentantem tej partii w Radzie Miasta Świdnik. Radnym w mieście był kilka kadencji.

– To ogromna tragedia rodzinna. To był lekarz o wielkim doświadczeniu, gotowy nieść pomoc o każdej porze, w dzień i w nocy. Nie szczędził czasu, aby pomóc innym – mówi wicestarosta Waldemar Białowąs, szef świdnickich struktur

PO. – To dla nas wielki smutek i żal. Trudno cokolwiek więcej powiedzieć.

– Jestem w szoku – mówi Janusz Królik, przewodniczący Rady Miasta Świdnik. – To był bardzo uczynny i pomocny człowiek, nie tylko dla mnie, ale też innych osób. Mam o nim jak najlepsze zdanie”.

—
(Agnieszka Antoń-Jucha, Paweł Buczkowski, Rodzenna tragedia w bloku w Lublinie. Ciała trzech osób, „Dziennik Wschodni”, 7.04.2018).

W podobnych zdarzeniach ludzie na siłę szukają powodu. Bez tego nie potrafią zrozumieć, a tym bardziej wybaczyć. Szczególnie wtedy, gdy samobójstwo dorosłej osoby poprzedza zabójstwo dzieci. Tak jak przed laty w Chwarstnicy (woj. zachodniopomorskie), gdy młody mężczyzna poderżnął gardła trzem synom. Ułożył ich ciała w swoim samochodzie dostawczym, otulił kocem, a potem rzucił się pod pociąg. Nikt nie mógł pojąć przyczyn tragedii. „Był przecież porządnym człowiekiem, bez zgubnych nałogów” – mówili autorce jego znajomi. „Poświęcał synom wiele czasu, okazywał im miłość, dbał o żonę”. Mężczyzna od paru miesięcy miał problemy ze znalezieniem pracy, nie był w stanie zapewnić rodzinie stałych dochodów. Chodził przygnębiony, ale nikomu się nie żalił, wszystko tłumił w sobie.

– Nigdy nie zapomnę pogrzebu w Chwarstnicy – widoku małych białych trumien i płaczu matki nad grobem. Doktorze, jak to możliwe, że samobójcy zabijają tych, których kochają?

– Myślenie w depresji jest takie, że bliską osobę czekają same złe rzeczy, ból, cierpienie, nieszczęście i że nie ma ona perspektyw na przyszłość. Życie na ziemi jest piekłem, więc trzeba je przerwać. Jedynym sposobem na wyzwolenie się z bólu jest śmierć. Nie ma innego rozwiązania niż

samobójstwo, a że nie można zostawić w tym piekle ukochanej osoby, za którą jest się odpowiedzialnym, chory uznaje, że najrozsądniejszym, a zarazem najbardziej humanitarnym wyjściem z sytuacji jest zabicie również tej osoby, najczęściej dziecka. Stan totalnego zmęczenia życiem jest nie do zniesienia, śmierć naprawdę wydaje się ukojeniem.

– Zabijają prewencyjnie? Żeby uchronić osoby ukochane przed złem tego świata?

– Samobójstwo rozszerzone popełnia się z miłości, z prawdziwej troski. U chorego motywem może być chęć chronienia bliskich przed sytuacją bez wyjścia, prześladowaniem, wyśmiewaniem, dręczeniem.

Na taki ostateczny krok częściej decydują się kobiety, ponieważ mają zwiększoną emocjonalność, są bardziej wrażliwe i częściej zapadają na depresję. Statystycznie co dziesiąta kobieta i co piętnasty mężczyzna ma depresję, czyli kobiet jest aż o połowę więcej. Ryzyko samobójstwa rozszerzonego wzrasta, gdy jest to samotna matka, a dziecko niepełnosprawne, ponieważ szanse takiego dziecka na przetrwanie bez matczynej opieki drastycznie maleją. Pamiętam samotną matkę, która popełniła samobójstwo rozszerzone, odkręcając kurki z gazem. Dzieci umarły w jej ramionach, wcześniej przywiązała je do siebie i tuliła do serca. Inna samotna matka wsiadła z córką do samochodu, rozpędziła się i umyślnie uderzyła w drzewo. Dziewczynka zginęła, a kobieta miała sprawę karną, którą ostatecznie umorzono. Uznaliśmy, że była niepoczytalna.

Kobiety poprzez instynkt macierzyński związane są z dziećmi w sposób szczególny, dlatego „zabierają” je ze sobą. Do dziś wspominam pielęgniarkę z Koszalina, która samotnie wychowywała opóźnioną w rozwoju córkę. Dbała o nią jak tylko mogła, pracowała po godzinach, aby sfinansować korepetycje wyrównujące oczywiste różnice na tle klasy. Prowadziła szkolny sklepik, żeby być bliżej dziecka, a popołudniami dorabiała jako pielęgniarka. Miała problemy finansowe, zachorowała na depresję. Była leczona, niestety nieskutecznie. Lekarze często przepisują zbyt małe dawki leków, potem tego nie kontrolują, nie korygują. U pielęgniarki nie było żadnej poprawy. Któregoś dnia kobieta podcięła żyły córce, potem sobie – i to dużo głębiej, do tego stopnia, że poprzecinała

sobie ścięła. Straciła przytomność, tymczasem dziewczynka zdołała wykręcić numer na pogotowie. Przyjechała karetka, podjęto skuteczną reanimację, obie przeżyły. Córka wróciła do domu, matka trafiła do więzienia, na nasz oddział psychiatrii sądowej.

Brednie naukowopodobne

– Badałem ją osobiście – kontynuuje psychiatra.

– Dlaczego to zrobiła?

– Śmierć córki postrzegała jako drogę do jej szczęścia, bo tu na ziemi czekało ją wyłącznie nieszczęście. Dziewczynka była opóźniona w rozwoju, czyli inna. Nigdy nie wyrównałyby różnic w szkole. Dzieci bywają okrutne, dawałyby jej odczuć na każdym kroku, że jest od nich gorsza. Z miłości do dziecka podjęła taką decyzję i to w momencie, gdy doprowadziła córkę do szkoły średniej, co według prognoz lekarzy miało być niemożliwe. Była wykończona. Zdała sobie sprawę z tego, że nie ma już sił dalej walczyć. Gigantyczna praca, jaką przecież wykonała, zmagania ze stresem i dotkliwym brakiem pieniędzy nadwątlily jej odporność.

W opinii napisałem: „samobójstwo rozszerzone”. W szpitalu na chirurgii ręki przeszła skomplikowaną operację – z pozytywnym skutkiem, a u nas w areszcie, na oddziale psychiatrii – wielomiesięczne leczenie depresji. Także z pozytywnym skutkiem.

Wielu psychiatrów uważa, że w warunkach więziennych depresji wyleczyć się nie da. „Bo takie mury, kraty, strażnicy na wieżyczkach i taka sytuacja życiowa, że wszystko jest traumatyzujące, stresujące”. To są brednie, fantazje naukowopodobne. Mamy do czynienia z paradoksem: w warunkach pozbawienia wolności depresję można wyleczyć! Pielęgniarka z Koszalina jest tego najlepszym przykładem. Zresztą nie tylko ona. Pracując w więzieniu 31 lat, widziałem, jak ten proces wygląda, i proszę mi wierzyć, że bardzo dobrze leczy się depresję za kratami.

„Nasza” pielęgniarka, z racji wykonywanego zawodu, została otoczona przez funkcjonariuszki-pielęgniarki nad wyraz troskliwą opieką. Spotkała

się ze współczuciem i zrozumieniem, wręcz oazą serdeczności. Do tego doszły leki i dobre informacje: że córka przeżyła i ona sama też będzie żyć. Była u nas blisko rok. Bardzo żałowała tego, co zrobiła. Po zakończonym leczeniu miała siłę stawić czoło losowi. W karcie choroby i opinii psychiatrycznej, która przesądziła losy śledztwa, napisałem zgodnie ze stanem faktycznym, że w trakcie popełniania czynu była niepoczytalna. „Nie wymaga leczenia w szpitalu psychiatrycznym” – dopisałem w karcie choroby.

Pacjentka [osadzona – przyp. aut.] została zwolniona do domu, a sprawa przeciwko niej umorzona. Po latach zadzwoniła do mnie dziennikarka „Gazety Wyborczej” z Warszawy i pytała o jakiś ciekawy przypadek z tego typu spraw. Opowiedziałem jej o pielęgniarce z Koszalina. Dziennikarka do niej dotarła, a następnie opisała dalsze losy. Kobieta wróciła do pracy, znalazła sens życia. Nadal opiekuje się córką, chociaż ta jest już dorosła. Radzą sobie, co mnie cieszy jako lekarza i człowieka.

Nie dostaniesz się do raju

– Kolejna historia, tym razem bez happy endu – uprzedza psychiatra. – Po pierwsze, dlatego że dwójki dzieci nie udało się odratować, po drugie – ich matka, podopieczna ośrodka pomocy społecznej spod Szczecina, wciąż myślała o samobójstwie. Jej dzieci były w widoczny sposób upośledzone umysłowo, a ona nie miała pracy i męża, bo uciekł od problemów jak ostatni tchórz. Miała wsparcie od siostry, matki oraz pomocy społecznej. Podziwiano ją za siłę psychiczną i za to, jak dbała o dzieci: były czyste, radosne, wpatrzone w matkę jak w obrazek.

Trzymała się dzielnie, niestety do czasu. Zdrowie zaczęło jej szwankować. Łudziła się, że to ogólne zmęczenie i niegroźne zaburzenia przewodu pokarmowego. Nie przypuszczała, że zachorowała na depresję, która w początkowej fazie rzeczywiście może się objawiać bólem brzucha i w klatce piersiowej. Depresję trudno rozpoznać właśnie z uwagi na objawy somatyczne, z tego powodu jest tak niebezpieczna.

Z czasem kobieta zaczęła podejrzewać u siebie wrzody żołądka. Lek przepisany na te dolegliwości nie zadziałał. Któregoś dnia wystraszyła się,

że sama będzie niesprawna albo przedwcześnie umrze. Ogarnęło ją przerażenie. Pomyślała, że po jej śmierci dzieci pozostaną bez opieki. Nie mogła pozwolić na to, by cierpiały, tułały się po domach dziecka lub – co wydawało jej się najgorsze – trafiły do zakładu dla upośledzonych. Podała im środki nasenne w takiej dawce, by już się nie obudziły. Dla niej nie wystarczyło tabletek, więc podcięła sobie żyły. Rany okazały się niezbyt głębokie, a pomoc przyszła niespodziewanie (jej matka miała przeczucie, wezwała karetkę). Kobieta przeżyła, dzieci umarły. „Niepotrzebnie mnie odratowaliście” – powiedziała lekarzom. „Ja tu jestem tylko przez chwilę, muszę dołączyć do dzieci” – powtarzała.

Prokuratura rozpoczęła śledztwo i skierowała ją do nas na psychiatrię.

– Moje dzieci są już szczęśliwe – powiedziała z cieniem uśmiechu.

– Gdzie?

– W niebie. Nie widzi pan, doktorze, że otacza nas ocean rozpacz?

– A tam go nie ma?

– Tam jest raj. Nie ma biedy i cierpienia, nie ma upośledzenia umysłowego, zmęczonych matek i bezradności.

– Kiedyś same trafiłyby do raju.

– Ale po co miałyby tak długo czekać, skoro mogłam im pomóc? Pan by nie pomógł swoim dzieciom, doktorze?

Nie było chwili, w której nie myślałaby o śmierci. Uznaliśmy ją za osobę niepoczytalną, dlatego prokuratura nie postawiła jej zarzutów karnych. Kobieta wróciła do pustego domu i miała nawroty depresji. Jeszcze raz próbowała targnąć się na swoje życie. Ponownie trafiła do szpitala.

– Muszę się z nimi spotkać – tłumaczyła coraz bardziej bezradnym lekarzom.

Wiedzieliśmy, że jest osobą głęboko wierzącą, dlatego poprosiliśmy o pomoc księdza. Przyszedł do aresztu i postawił sprawę jasno.

– Ależ ty się z nimi, drogie dziecko, nie spotkasz – powiedział, przysiadając przy jej łóżku.

– Jak to?! – Zamarła.

– Popełniłaś ciężki grzech, i to jeszcze Pan Bóg mógłby ci wybaczyć, bo jesteś chora, tak orzekli lekarze. Ale ty chcesz popełnić samobójstwo, a tego Pan Bóg już ci wybaczyć nie może. Ty nie dostaniesz się do nieba. To cię całkowicie dyskwalifikuje. Ty trafisz do piekła.

Trudno powiedzieć, na ile skuteczne okazały się argumenty duchownego. Wiem, że myśli samobójcze wciąż do niej powracały. „Wszystko, co kochałam i co nadawało sens mojemu życiu, zniszczyłam własnymi rękami” – mówiła, gdy lekarze i bliscy usiłowali ją wspierać.

Z zimną krwią

Dramat rodzinny w Lubinie (woj. dolnośląskie), o którym głośno było na początku 2018 roku, mógłby nasuwać skojarzenia z poprzednim przypadkiem. Matka dwóch dziewczynek w wieku 13 miesięcy i 12 lat zabiła je nożem, a następnie sama się pocięła. Jej rany nie były śmiertelne. Podobno wcześniej przechodziła załamanie nerwowe, dostała skierowanie do poradni zdrowia psychicznego, jednak nie podjęła leczenia. Dziennikarze „Super Expressu” przeszledzili jej profil na Facebooku. Ostatni wpis brzmiał niepokojąco: „Przyjdzie taka chwila, gdy stwierdzisz, że wszystko się skończyło. To właśnie będzie początek”.

Psychiatrzy orzekli, że kobieta była poczytalna, zatem prokuratura postawiła jej zarzut podwójnego zabójstwa.

– Rozumiała znaczenie czynu i zdawała sobie sprawę z konsekwencji swoich działań, stąd taka kwalifikacja prawna i akt oskarżenia skierowany do sądu – podkreślała w rozmowie z autorką prokurator Lidia Tkaczyszyn, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Legnicy.

Prasówka:

—

„Innego wyroku w tej bulwersującej sprawie nie mogło być. 33-letnia Natalia W., która z zimną krwią zamordowała swoje dwie córki, usłyszała wyrok dożywotniego więzienia. O zwolnienie będzie się mogła ubiegać dopiero po 30 latach odsiadki.

Drobnej budowy ciała, niepozorna, ciągle zamyślona i jakby nieobecna. Nikt, patrząc na Natalię W., nie byłby skłonny powiedzieć, że to dzieciobójczyni, która bez litości zadźgała swoje córki. Przewodniczący składu sędziowskiego, sędzia Witold Wojtyło, nie ukrywał, że bardzo ciężko jest mówić o tym, co się stało 23 stycznia w mieszkaniu przy ulicy Cedrowej w Lubinie. Sędzia przypomniał również zeznania policjanta, który został skierowany na miejsce zdarzenia. Funkcjonariusz, wspominając interwencję i to, jak za wszelką cenę próbowano uratować życie 12-letniej Emilii i 13-miesięcznej Laury, nie mógł powstrzymać łez.

Emilia przyjęła na siebie ponad 50 ciosów nożem zadanych przez matkę. Biegli, którzy badali ciało dziewczynki, nie mieli wątpliwości, że dziewczynka zasłaniała się rękami przed kolejnymi ciosami, a nawet łapała za ostrze noża. Na to jednoznacznie wskazują rany na jej ciele.

Sędzia wspomniał również, że Natalia W. po zatrzymaniu trafiła do szpitala psychiatrycznego, gdzie była badana przez biegłych lekarzy. Ci stwierdzili jednak, że kobieta w momencie popełniania czynu była zdrowa psychicznie.

– Ta zbrodnia jest trudna do wyobrażenia i siłą rzeczy poszukujemy motywu – dodał sędzia Wojtyło. – Niestety nie ma racjonalnego motywu, który w jakikolwiek sposób pozwoliłby nam zrozumieć to, co się stało. Pani Natalia W. jest osobą, która ma skrzywiony charakter, ma bardzo głębokie cechy narcystyczne i oczekuje, że świat będzie wyglądał tak, jak ona tego chce. Jeżeli jednak wygląda inaczej, reaguje tak, jak zareagowała w tej sytuacji. Biegli

wskazują, że najprawdopodobniej zachowanie Natalii W. wobec córek było przeniesieniem na dzieci złości wobec partnera”.

—
(Ewa Chojna, *Dożywocie za zamordowanie swoich córek. Natalia W. usłyszała wyrok*, „Nasze Miasto”, 11.12. 2018).

– Opiniowałem jako biegły podobny przypadek – mówi doktor Jerzy Pobocho. – Do tragedii doszło w Łodzi. Kobieta była poważnie skonfliktowana z partnerem. Próbowła wymusić na nim pewne zachowania, posługując się dzieckiem. Wsadziła półtorarocznego chłopca do samochodu, rozpędziła auto i pojechała na czołowe zderzenie z tirem. Dziecko zginęło, ona przeżyła. Chociaż była w depresji, co mogłoby wiele tłumaczyć, podczas obserwacji pojawiła się wątpliwość, czy w jej postępowaniu nie było elementów celowego działania wymierzonego w partnera. Ostatecznie przyjęto, że jej działanie było celowe, a co za tym idzie – nie była niepoczytalna. Musiała ponieść karę.

Pozornie silna płęć

– W Polsce dokonał się ogromny skok zachorowań na depresję – alarmuje psychiatra. – Przekłada się to na wzrost samobójstw, także tych rozszerzonych, w ciągu ostatnich pięciu–sześciu lat aż o połowę. Doganiamy inne kraje europejskie, chociaż kiedyś byliśmy pod tym względem na szarym końcu statystyk. Teraz jesteśmy w czołówce.

Takie dramaty zdarzają się również w poprawnie funkcjonujących związkach.

Pamiętam kobietę, która miała kochającego i troskliwego męża. Opiekował się nią, gdy zachorowała na depresję. Bywały chwile, gdy nie spuszczał jej z oka, ale czasami musiał wyjść do sklepu. Małżonkowie

mieszkali w wieżowcu w centrum Szczecina. Pewnego dnia, wracając z zakupów, mężczyzna usłyszał przeraźliwy krzyk swojej córki. Wpadł do domu i zastygł z przerażenia. Zobaczył, jak żona usiłuje wypchnąć z balkonu ich dziecko i sama szykuje się do skoku. Dziewczynka jednak mocno chwyciła się prętów balkonowych i matka nie mogła odgiąć jej palców. Nagłe pojawienie się męża pokrzyżowało plany desperatki. Zobaczywszy go, zostawiła córkę i sama wyskoczyła za barierki.

W piśmiennictwie z medycyny sądowej dotyczącym samobójstw rozszerzonych stosuje się określenia, które mniej paternalistycznie [czyli z mniejszą troską o sprawcę – przyp. aut.] oceniają fakt zabicia kogoś przed swoim samobójstwem – reasumuje psychiatra. – Te nazwy to: samobójstwo poagresyjne, samobójstwo po zabójstwie, „podwójna śmierć”.

– Powiedział pan, doktorze, że kobiety są z natury bardziej emocjonalne i podatne na depresję. Ale samobójstwa rozszerzone coraz częściej popełniają mężczyźni.

– Kobięca emocjonalność wiąże się m.in. z wahaniami hormonów: cyklami miesięczkowymi, ciążą, potem menopauzą. Mężczyzna, jak mawiał pewien profesor, jest hormonalnie bardzo prosty: testosteron i koniec. Ale to nie znaczy, że jest silny jak tur i odporny na stres. Konstrukcja psychiczna mężczyzny teoretycznie jest silniejsza, ale oni nierzadko nie dają sobie rady z narzuconymi rolami. Uciekają przed problemami w alkohol, dopalacze, uzależniają się od leków. Od dziecka słyszą, że chłopak musi być twardy, nie może się bać i nie wolno mu płakać – takie są uwarunkowania kulturowe. Dorastają w cieplarnianych warunkach, bezstresowym wychowaniu i gdy z chłopców wyrosną mężczyźni, okazuje się, że wielu z nich ma psychikę dziecka. Nie przyznają się do słabości, od młodych lat popadają w depresję. My, psychiatrzy, widzimy to zjawisko choćby po żołnierzach wracających z misji w Iraku i Afganistanie. Nagminnie cierpią na stres pourazowy, stają się agresywni, a przy tym bezradni i nieodporni psychicznie.

Słabi mężczyźni za porażki winią wszystkich, tylko nie siebie. Winni są „oni”, „system” lub „złe sądy i kobiety”.

Prasówka:

—
„«Za rozszerzone samobójstwo w sali zabaw na Bemowie odpowiedzialne są sądy, a ojciec miał prawo zabić swoje dziecko» – piszą otwarcie aktywiści Dzielnego Taty, organizacji, która na sztandarach niesie prawa ojców.

Sprawa Tomasza M. ciągnęła się od miesięcy. Mężczyzna twierdził, że żona izolowała go od dzieci. Ona z kolei, że to on stanowił dla nich zagrożenie. Tomasz M. natychmiast stał się męczennikiem Dzielnego Taty. W oficjalnym komunikacie przesłanym mediom aktywiści pisali o bólu, zadumie, konieczności zapobiegania tragediom. [...] Zakładając nawet, że mężczyzna był ofiarą ogromnej niesprawiedliwości, że to nie on prześladował była partnerkę, lecz ona jego, i że cierpiał przez brak kontaktu z dziećmi, trudno znaleźć usprawiedliwienie dla zabójstwa własnego dziecka i trudno tego nie potępiać. Dzielni ojcowie deklarują jednak, że «nie oceniają jego czynów» i – choć mieli nie szukać winnych – oskarżają m.in. sądy rodzinne, Zbigniewa Ziobrę i Patryka Jakiego.

Argument ostateczny pojawia się pod komentarzem członka organizacji, który opisuje swoją historię walki o prawo do opieki, jednak kwituje ją stwierdzeniem, że «nigdy, przenigdy nie przysłoby mu do głowy, żeby zrobić krzywdę dziecku». «Dał życie, to i je zabrał» – odpowiada administrator strony Dzielny Tata. Komentarz, jak nietrudno się domyślić, po jakimś czasie zniknął».

—
(Wiktorija Beczek, „Dzielni” ojcowie to nie Linda z filmu „Tato”, „Gazeta Wyborcza”, 28.11.2018).

– Trzeba jednak przyznać, że sądowe boje o opiekę nad dziećmi wywołują w ludziach ekstremalne emocje – stwierdza doktor Pobocho. –

Rozwodzący się małżonkowie walczą wszelkimi sposobami, atakują się wzajemnie z wielką zajadłością, a sprawy w sądach rodzinnych trwają latami. Trudno zachować spokój.

Nerwy puściły nawet lekarzowi psychiatrze, który – umęczony widać długotrwałymi procedurami i niekorzystnymi dla siebie postanowieniami – wtargnął do szczecińskiego sądu z siekierą i młotkiem. Zachowywał się jak oszalały: krzyczał, że sąd skrzywdził jego rodzinę, zaatakował pracownika ochrony, potem wyszedł z budynku sądu, lecz wrócił po chwili z dwoma kanistrami benzyny.

– Mężczyzna usłyszał zarzut usiłowania zabójstwa – powiedziała przed kamerami prokurator Joanna Biranowska-Sochalska, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Szczecinie. – Chodzi o pokrzywdzonego pracownika sądu, którego zaatakował siekierą. Usłyszał też zarzut usiłowania spowodowania zdarzenia zagrażającego życiu i zdrowiu wielu osób albo mienia w wielkich rozmiarach w postaci pożaru.

„Specjalnie dla tego komentarza założyłem konto – napisał pod jednym z artykułów zamieszczonych w Internecie anonimowy internauta NikolajJezov. – Znam faceta osobiście, jego sytuacja wyglądała nieciekawie, fakt, nie usprawiedliwia to jego zachowania, ale do rzeczy. Facet jest psychiatrą, bardzo inteligentny, poczciwy człowiek, zarabia dobre pieniądze. Ma kilkuletniego syna, z którego matką wszedł na drogę sądową, gdyż ta nie chciała, aby utrzymywał kontakty z dzieckiem. Mimo wyroku sądu, uprawniającego go do widywania syna, ta miała to w dupie. Potrafiła nie otworzyć drzwi, gdy ten

przychodził w asyście policji, a sąd nie potrafił zareagować. W końcu coś w nim pękło, przez co popełnił największy błąd w swoim życiu”.

Jego życie jako wolnego człowieka i kariera zawodowa są już właściwie pogrzebane. Za kraty nie trafiłby, tylko gdyby psychiatrzy orzekli, że podczas ataku z siekierą był niepoczytalny.

Prasówka :

—
„Psychiatra, który z benzyną ruszył na sąd, od dłuższego czasu starał się bezskutecznie o opiekę nad synem. Teraz zmierzy się z innymi lekarzami, którzy sprawdzą, czy podczas ataku był poczytalny.

45-letni mężczyzna siedzi w areszcie. Jest podejrzany o usiłowanie zabójstwa strażnika i działania zmierzające do podpalenia sądu.

Do wstrząsających chwil doszło w Sądzie Okręgowym w Szczecinie przy ulicy Małopolskiej. Tu toczą się sprawy rodzinne, związane z rozwodami i opieką nad dziećmi. Jedna ze spraw dotyczy podejrzanego, który stara się o opiekę nad dzieckiem. Szczegóły nie są znane, bo tego typu sprawy toczą się z wyłączeniem jawności. Wiadomo jednak, że mężczyzna nie był zadowolony z rozstrzygnięć sądu.

– Zniszczyli mi rodzinę, zabrali syna – krzyczał, gdy dwaj petenci sądu obezwładnili go.

Chwilę wcześniej rzucił się z siekierą na strażnika (obrażenia nie są poważne), a potem wniósł dwa kanistry z benzyną. Ostrzegł przebywających w holu świadków, że będzie palił sąd, i dlatego kazał im wyjść z budynku. W samochodzie miał jeszcze pięć kanistrów z benzyną.

– Mówił, że nie miał nic do tego strażnika, którego zranił, ale obawiał się, że mają broń i uniemożliwią mu wykonanie planu – opowiadał świadek zdarzenia.

Prokuratura powoła biegłych, którzy mają ocenić stan psychiczny mężczyzny w chwili czynu”.

—

(Mariusz Parkitny, *Dlaczego chciał podpalić sąd w Szczecinie? Psychiatra z zarzutami*, „Głos Szczeciński”, 16.10.2018).

Rozdział 3

Wątle zdrowie gangsterów

Depresja to nie tylko głęboki smutek, brak wiary w siebie i chęci do działania. Obniżony nastrój spowodowany przykrymi wydarzeniami zna każdy z nas. Smutek jest naturalną częścią życia i nawet jeśli trwa dłużej niż tydzień, dwa lub miesiąc (np. w żałobie, na bezrobociu, podczas rozvodu), nie jest jednostką chorobową. Tymczasem depresja to problem złożony, ponieważ jest chorobą, i to śmiertelnie niebezpieczną.

Wiemy o niej coraz więcej, także za sprawą osób znanych i lubianych.

Dziennikarz Rafał Pasztelański z TVP Info (wcześniej „Życia Warszawy” i tygodnika „Wprost”) o swoim przypadku opowiedział podczas kampanii „Twarze depresji. Nie oceniam. Akceptuję”. „Pasztet” – jak go nazywamy w środowisku dziennikarskim – od lat opisuje warszawskie gangi i robi programy dokumentalne o polskiej mafii. W rozmowie z dziennikarką „Newsweeka” nie ukrywał, że receptą na smutek bywały dla niego alkohol i samookaleczenia. Mówił też, że już nie pamięta miesiąca, w którym nie myślałby o śmierci.

Prasówka:

—
„Rafał mówił sobie, że jest nieudacznikiem, za głupim, za grubym i zbyt nieudolnym, by żyć. Uznawał, że rodzinie będzie lepiej bez niego. Przeczuwał, że jeśli nie pójdzie po

pomoc, znajdzie sposób i się zabije. Kiedy wreszcie usiadł przed psychologiem, rozplakał się. – Było mi wstyd, bo facet nie powinien pokazywać słabości.

Życie uratowała mu koleżanka z redakcji, która widząc jego ciągle pogarszający się stan, namówiła go na wizytę u psychiatry. – Wcześniej szpital psychiatryczny kojarzył mi się tylko filmem *Lot nad kukułczym gniazdem*, wydawał mi się miejscem koszmarnym. Byłem pewien, że tylko świr idzie do psychiatry. Długo sam nie zdawałem sobie z tego sprawy, że miałem wszystkie objawy depresji już w ogólniaku – przypomina sobie Rafał.

Pamięta też, że uchodził wtedy za osobę zabawną, wiedział, jak udawać, chociaż czuł się przygnębiony, wkładał maski i ukrywał swój stan. – Najlepszy przyjaciel przez 10 lat nie miał pojęcia, że chorowałem i chciałem umrzeć”.

—
(Paula Szewczyk, „Tylko świr idzie do psychiatry”.
Mężczyźni wstydzą się leczyć depresję, „Newsweek”,
09.06.2018).

Depresja dotyka nawet niezłomnych – z pozoru – olimpijczyków, chociaż ci mają sławę, pieniądze i miłość tłumów. Chorują w milczeniu, bo tłumy kochają zwycięzców, a człowiek chory kojarzy się z porażką, nie sukcesem. Depresja u sportowca? To przecież niemożliwe, fanaberie jakieś – pokutuje myślenie. Robert Enke, bramkarz niemieckiej reprezentacji, był jednym z tych, którzy chorowali w milczeniu. Dopiero po jego samobójczej śmierci (w listopadzie 2009 roku rzucił się pod pociąg) okazało się, że od lat zmagał się z depresją.

Odwaga mistrzów świata

Niewielu sławnych i niezłomnych pokonało wstyd i opowiedziało, co ich dręczy. Ku przestrodze i pokrzepieniu innych, aby nie dali się pokonać myślom o umieraniu.

Jedną z takich osób okazał się niemiecki skoczek narciarski Sven Hannawald – trzykrotny medalista olimpijski i czterokrotny medalista mistrzostw świata, największy rywal Adama Małysza. Ich współzawodnictwo przyprawiało o dreszcze fanów tej dyscypliny sportu nie tylko w Europie.

O Hannawaldzie mówiono, że ma psychikę ze stali. Był nie do pokonania. Pojawiał się i wygrywał w cuglach. Tak jak podczas 50. Turnieju Czterech Skoczni, zimą 2001/2002, kiedy Adam Małysz był w rewelacyjnej formie. Wszystko zapowiadało jego triumf, jednak Sven Hannawald pogrzebał nadzieje Małysza i Polaków na zwycięstwo w prestiżowym, jubileuszowym turnieju.

Sportowy świat był w szoku, gdy trzy lata później niemiecki skoczek wycofał się z dalszej rywalizacji, enigmatycznie tłumacząc swoją decyzję syndromem wypalenia. Latem 2005 roku oficjalnie zakończył karierę.

O tym, dlaczego to zrobił, opowiedział dopiero w 2014 roku, w swojej autobiografii *Sven Hannawald. Triumf. Upadek. Powrót do życia*, której obszernie fragmenty opublikował m.in. portal Onet.pl:

„Po moim poczwórnym zwycięstwie w Turnieju Czterech Skoczni na przełomie 2001/2002 nagłówki gazet wychwalały mnie słowami: svenomenalny, Hannawald, który przeskakuje skocznie, loty w nieśmiertelność. Cena sukcesu była w moim przypadku bardzo, bardzo wysoka. Drogo okupiłem zaangażowanie w sport wyczynowy. Przerosły mnie niezwykle wysokie oczekiwania otoczenia. Ten niebezpieczny proces wślizgnął się niepostrzeżenie w moje życie i w końcu psychika pokonała ciało. Chcę pomóc wszystkim, którzy znajdują się w podobnej sytuacji”¹ – tłumaczył swoje motywacje.

Depresja zmieniła go w agresywnego anorektyka, przerażonego na samą myśl, że będzie musiał wyjść z domu. Napady szału, wymioty, ból całego ciała – taka była jego codzienność.

Chorobę udało mu się pokonać dopiero po pięciu latach.

Prasówka:

—
„Czułem się sfrustrowany do tego stopnia, że w pewnym momencie wyrzuciłem wszystkie zdobyte medale do kosza – powiedział Sven Hannawald w szczerzej rozmowie z Dariuszem Faronem, dziennikarzem Onetu. – Chodziłem do wszystkich możliwych lekarzy i żaden nie potrafił mi pomóc. Każdy mówił, że wszystko jest w porządku. Ja czułem coś innego. Myślałem wtedy, że nawet najgorsza diagnoza byłaby lepsza od niepewności. Gdybym usłyszał, że mam raka, przynajmniej wiedziałbym, co mi dolega, i mógłbym zacząć leczenie. Tymczasem lekarze rozkładali ręce, a moja frustracja rosła. Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje.

Gdybym nie trafił do specjalistycznej kliniki, pewnie zacząłbym myśleć o samobójstwie. Słyszałem o przypadku Roberta Enke, niemieckiego bramkarza, który zachorował na depresję i popełnił samobójstwo. W Niemczech było o tym bardzo głośno. Myślę, że gdybym nie zgłosił się na leczenie i nadal próbował wytrwać w zawodowym sporcie, mógłbym skończyć jak on.

Sven Hannawald przekonuje, że depresja go nie zmieniła, ale czegoś ważnego nauczyła:

– Wiem już, że jest pewna granica, której nie można przekroczyć. Droga bez odpoczynku może prowadzić do

sukcesów, ale nie jesteś w stanie iść zbyt długo, taka kariera zawsze trwa krócej. Choroba sprawiła, że zmieniłem nastawienie do życia”.

—

(źródło: Onet, 23.11.2018).

O swojej depresji opowiedziała też nasza mistrzyni Justyna Kowalczyk, złota medalistka olimpijska z Vancouver i Soczi, czterokrotna zdobywczyni Pucharu Świata w biegach narciarskich. W jednym z wywiadów² przyznała, że po poronieniu jej życie diametralnie się zmieniło. O jej chorobie wiedziały tylko trzy osoby, z których dwie nie mogły w to uwierzyć. Wszyscy się nią zachwycali, a ona czuła się wrakiem człowieka. Walczyła z bezsennością, wysoką gorączką, lękiem i zasłabnięciami.

– W pewnym momencie byle posiłek bywał wystarczającym powodem do wymiotowania – powiedziała Pawłowi Wilkowiczowi ze Sport.pl. – Przez cały ten zły czas starałam się zachowywać pozory. Bo mi mówiono, że tak trzeba [...]. Trener uznał, że najlepszym sposobem na depresję będzie praca. Chciał dobrze, ale „weź się w garść” to najgorsze, co można mówić w takiej sytuacji. Ja zdecydowałam się dobiec do Soczi, ale było ze mną coraz gorzej. Postanowiłam opowiedzieć moją historię, bo odbiór społeczny jest taki, jakby depresja była wstydem.

W przeciwieństwie do sportowców i tzw. większości depresji nie wstydzą się gangsterzy, specjaliści od przekrętów z VAT-em, defraudanci z banków i pozostała masa przestępców zaliczanych do białych kołnierzyków. Demonstrują swoje złe samopoczucie bez oporów, najczęściej w prokuraturze i przed sądem, a w szczególności przed biegłymi psychiatrami, przygotowującymi – na potrzeby postępowania karnego – opinie o stanie ich zdrowia psychicznego.

Ale stali bywalcy aresztów śledczych cierpią na nieco inny rodzaj depresji, i to nagminnie.

Epidemie psychiatryczne

Kiedy aresztowani przestępcy wiedzą, że są obserwowani, całymi godzinami wpatrują się w ścianę, ale po zakończeniu obserwacji chętnie oglądają telewizję. Odmawiają przyjmowania posiłków, za to gdy nikt nie patrzy – zajadają skrywane przed lekarzami zapasy. Podczas spotkania z biegłymi demonstrują spowolnienie psychoruchowe, ale gdy wracają do swojej celi, nic nie umknie ich uwadze. Bacznie nasłuchują odgłosów więzienia i obserwują ruchy wizjera.

– Jednego z pierwszych symulantów miałem okazję obserwować jako młody jeszcze psychiatra, w słynnym Instytucie Psychiatrii Sądowej im. Władimira Serbskiego w Moskwie – wspomina doktor Jerzy Pobocho. –

Był to mężczyzna podejrzany o szereg przestępstw gospodarczych. Obiecywał – powołując się na wpływy – załatwienie różnych rzeczy, brał zaliczki i niczego nie załatwiał. Taki miał sposób na życie. Zwykły oszust. Kiedy go schwytano, zaczął opowiadać, że czuje prądy na genitaliach i boi się, że będzie bezpłodny. Dlatego przykrywał przyrodzenie blachami.

– Z czego słynął Instytut Serbskiego?

– W czasach Związku Radzieckiego opiniowano tam dysydentów, u których raz rozpoznawano psychozy, raz nie, w zależności od potrzeb totalitarnej władzy. Sprawa była niebywała, dlatego pozwólmy sobie na dygresję. Otóż oni tam w ZSRR przez całe lata 50., 60. i 70. rozpoznawali chorobę psychiczną na takich zasadach: wiadomo, że najlepszym ustrojem świata jest socjalizm, bo to jest bezsprzeczne i wszyscy tak wokół uważają. Jeżeli ktoś mówi, że jest inaczej, wbrew opiniom ogółu, to zgodnie z definicją urojeń są to nieprawdziwe sądy. Takich ludzi należy zamykać w zakładach psychiatrycznych, bo nie dość, że sami są chorzy, to jeszcze podtruwają innych. Zatem są niebezpieczni, trzeba ich bezwzględnie izolować w szpitalach.

Mówiono na to „schizofrenia bezobjawowa” lub „utajona”. Rozpoznawano ją po nieprawomyślności (!), zatem można ją było zdiagnozować, u kogo tylko chcieli, ponieważ była ukryta i „rozwijająca się bezobjawowo”. Taka właśnie była nowa jednostka chorobowa zalewająca

ZSRR, wprowadzona do radzieckiej medycyny przez głównego psychiatrę Instytutu Serbskiego, profesora Andrieja Sniezniewskiego.

– **Psychiatria na usługach władzy?**

– Dlatego w 1977 roku Światowy Kongres Psychiatrów potępił działania sowieckich lekarzy, a sześć lat później radziecka psychiatria została wykluczona ze Światowego Towarzystwa Psychiatrycznego. Z czasem przywrócono ją do stowarzyszenia, ponieważ pracowało tam wielu wybitnych naukowców, którzy przysłużyli się współczesnej psychiatrii. Więcej zrobiono dla nauki dobrego niż złego.

– **Skąd się pan tam wziął, doktorze?**

– Był rok 1981, w Polsce „wybuchła” Solidarność, a ja dostałem się na staż do Związku Radzieckiego i to właśnie tam, gdzie trzymano wrogów komunizmu. W Instytucie Serbskiego spędziłem miesiąc. Tamtejsi lekarze byli dla mnie bardzo mili i gdy orzekali w sprawie pacjenta z blachami na genitaliach, dopisali mnie do „komisji”. Rozpracowali symulanta w najdrobniejszych szczegółach, a ja zrzędzeniem losu znalazłem się w komisji orzekającej Instytutu Serbskiego w Moskwie. W dzisiejszych czasach coś takiego nie mogłoby się wydarzyć, science fiction po prostu.

Prasówka:

–
„Groźne choroby psychiczne dotknęły już 1,2 mln obywateli ZSRR – szacowało KGB na przełomie lat 60. i 70. Mówiło się

o epidemii chorób psychicznych nękających społeczeństwo radzieckie. Instytut Serbskiego w Moskwie stał się głównym organem powołanym do wydawania fałszywych ekspertyz psychiatrycznych przez lekarzy na usługach KGB. Ludziom zdrowym, lecz niewygodnym dla władzy wystawiano świadectwa niepoczytalności, co było podstawą do przymusowego «leczenia» i wieloletniej izolacji.

Gdy w latach 1967–82 szefem KGB był Jurij Andropow, później krótkotrwały następca Leonida Breżniewa na stanowisku szefa partii, psychiatria represyjna przeżywała rozkwit. Andropow doceniał jej możliwości, a zwłaszcza to, że «chorego» można było poddawać przeróżnym torturom i więzić bezterminowo. Pacjentów najczęściej pozbawiano prawa do informacji i korespondencji, co odcinało im drogę do szukania jakiegokolwiek pomocy, a odpowiednie «leczenie» okazywało się skuteczniejsze niż łagier.

Nie robiono rozróżnienia pomiędzy politycznymi a groźnymi kryminalistami, zdrowi trafiali do cel z prawdziwymi obłąkańcami, gwałcicielami i innymi zwyrodnialcami, bojąc się – jak pisał gen. Grigorienko – że sami z upływem czasu mogą przemienić się w tych, których widzą wokół siebie. Bardzo często ktoś z kręgu «normalnych» zaczynał bełkotać niezrozumiale, plątał się, wpadał w paranoję albo tracił zmysły”.

—
(Marta Grzywacz, *Zesłanie do psychuszki, historia najnowsza*, „Gazeta Wyborcza”, 26.10.2015).

– Wracając do współczesnych symulantów, to wielu z nich próbuje się ciąć lub wieszać, ale podejmowane przez nich próby samobójcze mają charakter wyłącznie bezpiecznej demonstracji – zauważa psychiatra. – Myśli samobójcze to jeden ze sposobów na wydostanie się z aresztu do

szpitala psychiatrycznego. Wszyscy oni: gangsterzy, oszuści bankowi i specjaliści od VAT-u, wykazywali się przed aresztowaniem ponadprzeciętną odpornością psychiczną. Prowadzili rozległe interesy, kontrolowali skomplikowane operacje finansowe, organizowali sprawnie działające struktury przestępcze. Chorować zaczęli dopiero za kratami.

– Skąd depresje u gangsterów?

– Z tymczasowego aresztowania i stawianych zarzutów. Nasilenie objawów chorobowych jest wprost proporcjonalne do wysokości grożącej kary: im większe zagrożenie karą, tym głębsza depresja. Chory udaje, że ma depresję, a lekarz udaje, że ją widzi. Stąd nazwa, którą wprowadziłem do obiegu jeszcze w latach 90. – „depresja udawana”. W tamtym czasie obserwowaliśmy w polskich aresztach prawdziwą epidemię tej „choroby”. Z czasem nasiliły się też „choroby psychiczne”, na które masowo zaczęli zapadać podejrzani o poważne przestępstwa, takie jak kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą i zabójstwa. To stała tendencja. Niektórzy przygotowują się do tej roli jeszcze na wolności, zanim zjawi się po nich policja.

– Po co to robią?

– Oczywiście po to, żeby wyjść na wolność. Na przełomie lat 70. i 80. około dwustu więźniów w Polsce dokonało samookaleczenia gałek ocznych, ponieważ rozeszła się wieść, że jeden z osadzonych został po czymś takim zwolniony z aresztu. Po co zadawać sobie ból, skoro są prostsze sposoby otwierające drzwi do wolności. Udawanie depresji ze zgłaszaniem myśli samobójczych ułatwia dostanie się do szpitala psychiatrycznego, ponieważ z reguły lekarz dyżurny nie będzie podejmował ryzykownej odmowy przyjęcia takiego „chorego”. Dylematu diagnostycznego: depresja czy symulacja na ogół nie można rozstrzygnąć natychmiast. Przesądzenie sprawy przy pierwszym badaniu byłoby zbyt pochopne. Dzięki temu podejrzany może zdobyć dowody o pobycie w szpitalu psychiatrycznym albo – z uwagi na nawrót „choroby” – uzyskać

zwolnienie z aresztu śledczego. W symulowaniu najczęściej pomaga mu przekupiony lekarz, ale o tym jeszcze nie teraz.

– **Dlaczego właśnie depresja, a nie paranoja?**

– Ponieważ udawanie depresji jest łatwiejsze niż innych, bardziej skomplikowanych zaburzeń. Kiedy w ramach eksperymentu zalecono grupie studentów psychologii udawanie zaburzeń psychicznych, spośród osiemdziesięciu osób zdecydowana większość demonstrowała właśnie depresję. Symulowanie schizofrenii paranoidalnej, którą podała pani za przykład, byłoby związane z pobudzeniem czy agresją, a to bardzo wyczerpuje symulanta. Choroby psychiczne są zdecydowanie trudniejsze do „zagrania”. Wcielenie się w taką rolę wymaga od aktora stałej kontroli swoich wypowiedzi, skupiania uwagi, no i pewnej wiedzy o zaburzeniach myślenia.

– **Przecież wiadomo, że doświadczony psychiatra na coś takiego się nie nabierze.**

– I ja tak uważam, ale rzeczywistość jest inna. Pewien sfrustrowany gangster, któremu nie udało się wydostać z aresztu do szpitala psychiatrycznego, chciał pociągnąć biegłych do odpowiedzialności zawodowej. Uważał, że „są niekompetentni, bo nie rozpoznają depresji”. Inny, 195 centymetrów wzrostu i 110 kilo wagi, skierował skargę do prowadzącej śledztwo pani prokurator, ponieważ lekarze aresztu śledczego nie uwzględniali jego „orzeczenia o niepełnosprawności”. Jako ordynator oddziału psychiatrii sądowej musiałem ustosunkować się do tej skargi. Zgodnie z prawdą napisałem, że lekarze aresztu wiedzą o orzeczeniu, ale wiedzą też, że lekarze, którzy je napisali, nie znali sprawności naszego delikwenta jako członka zorganizowanej grupy przestępczej.

Depresje gangsterów to dla doktora Pobochoy temat rzeka.

– Przypomina mi się taka sytuacja: dzwoni do aresztu prokurator i prosi, aby zbadać delikwenta na terenie prokuratury, przed przesłuchaniem – opowiada. – Stawiamy się tam we dwóch, z moim doświadczonym kolegą

psychiatrą. Siadamy w pokoju obok, aby w drodze na badanie podejrzany nie miał czasu na jakieś spektakularne przemyślenia. Człowiek, którego zaraz mieliśmy zbadać, w kontaktach z policją był rozmowny, jakby nic specjalnego w jego życiu się nie stało. Uodporniony na stres recydywista nawet nie mrugnął, gdy skuwano go kajdankami. Po chwili rozmowy z prowadzącym śledztwo przyprowadzono go do nas. Wszedł do pokoju, zobaczył, z kim ma do czynienia, i zamilkł. Jakby mu mowę odjęło. Ani be, ani me. Przejście z pokoju do pokoju spowodowało u niego taką reakcję.

Obaj wiedzieliśmy, że był podejrzany o kierowanie groźną grupą przestępczą. Już wtedy miał bogatą przeszłość kryminalną. Nie znaleźliśmy szczegółów, ale uprzedzono nas, że to ktoś znaczący w mafijnych strukturach.

Zgodnie z instrukcją

Recydywista, o którym opowiada psychiatra, znany jest w półświatku pod pseudonimem Picek. Po aresztowaniu członków słynnego gangu Oczki, rządzącego w latach 90. przestępczymi interesami w północno-zachodniej Polsce, Picek postanowił siłą przejąć Szczecin. I prawie mu się to udało. Podlegli mu „żołnierze” siali postrach wszędzie, gdzie się pojawiali. Ostentacyjnie nosili broń i dokonywali egzekucji w wojnie gangów: dwa morderstwa, dziesięć usiłowań zabójstwa, do tego brutalne porwania, handel narkotykami, stręczycielstwo. Ostrzelali ludzi stojących pod pubem w centrum miasta, bo wśród nich byli członkowie konkurencyjnej grupy.

Było o nich głośno. Zamienili Szczecin w miasto bezprawia.

O ich przywódcy mówiono, że nie ma żadnych hamulców. Nawet swojej żonie pociął twarz, a rany polał spirytusem.

Prasówka:

—
„O takich jak Picek mówią «dożywotka z przerwami». Jako stary wyrokowiec i znany z prasy gangster od lat stał wysoko w bandyckiej hierarchii. Nikt nie przypuszczał jednak, że z więzienia w Czarnem przez kilka lat kierował strukturą, która miała przejąć wszystkie podziemne interesy w północno-zachodniej Polsce. Gangiem zawiadywał przez komórkę. Podczas rozmów posługiwał się kodem – gdy mówił «czternastka», myślał o amfetaminie, «szesnastka» to marihuana, «wózek» – macie gościa pobić tak, aby został kaleką, «piach» – wyrok śmierci. W pierwszej połowie lat 90. sąd skazał Picka za groźby karalne i nakazał umieszczenie w zakładzie psychiatrycznym. Chwalił się wtedy, że «kupił sobie żółte papiery» (później szczeciński psychiatra, który stwierdził, że Picek miał ograniczoną poczytalność, został skazany za wystawienie lewej opinii).

To Picka podejrzewano o zorganizowanie słynnego napadu na kasyno w orbisowskim hotelu Neptun. Mówiło się, że to zemsta za to, że wpisano go tam na czarną listę. Ale śledztwo w tej sprawie zostało umorzone. Mniej więcej w tym samym czasie gangster dostał osiem lat za usiłowanie zabójstwa – z błahego powodu strzelił w brzuch chłopakowi, z którym miał na pieńku”.

—
(Adam Zadworny, Monika Adamowska, Wyroki dla Picka i jego kompanów, „Gazeta Wyborcza”, 22.12.2004).

„Masz iść do szpitala psychiatrycznego i udawać wariata. Wszelkie koszty pokryję”. Gryps o tej treści przechwyciła Służba Więzienna, ale wtedy nie było jeszcze pewności, że to instrukcje dla Picka.

– Jak pan, doktorze, zdiagnozował Picka?

– Byłem pierwszym psychiatrą, a w swojej przestępczej karierze Picek spotkał ich wielu – który orzekł, że jest poczytalny i może stanąć przed sądem. Chociaż w śledztwie „nic nie wiedział, niczego nie rozumiał”, to już podczas procesu odzyskał sprawność umysłową. Świadczyły o tym przenikliwe pytania zadawane świadkom, którzy zeznawali przeciwko niemu.

– Nie miał pan wątpliwości, że to symulant?

– Aby kierować osiemdziesięcioosobową organizacją przestępczą, przydzielać „żołnierzom” zadania, rozliczać ich i – przede wszystkim – zarabiać na działalności przestępczej, trzeba się wyróżniać, być psychicznie odpornym, zorganizowanym, mieć zdolności przywódcze. Picek zdecydowanie górował nad innymi przestępcami z tak zwanej polskiej mafii. Doceniłem to. Tymczasem on sprawiał wrażenie upośledzonego umysłowo. Pomyślałem, że przecież ktoś taki nie byłby w stanie zorganizować grupy. Zacząłem mu się bacznie przyglądać...

– Ale zgromadził taką dokumentacją medyczną, że mógłby się ubiegać o rentę inwalidzką! Sam nie wystawił sobie karty choroby. Ktoś przecież podpisywał mu „żółte papiery”.

– Psychiatryzy rozpoznali u niego znaczne ograniczenie poczytalności, dlatego Picek był wiecznie zwalniany z aresztu. Trafiał do szpitala psychiatrycznego w Gorzowie Wielkopolskim, a tam udzielano mu niekończących się przepustek, podczas których popełniał kolejne

przestępstwa. Już pierwszego dnia hospitalizacji chadzał sobie tu i tam. Jak człowiekowi, który odbywa w szpitalu środek zabezpieczający (areszt, wyrok), można dawać tyle przepustek? Centralne Biuro Śledcze, które przyszło po Picka w związku z zarzutami kierowania zorganizowaną grupą przestępczą, zaskoczyło go na rynku, gdy robił zakupy. Powinien być na oddziale, ale jak zwykle go wypuszczono.

Gangster szkolony po akademicku

W celi Zakładu Karnego w Goleniowie autorka tej książki rozmawiała z Arkadiuszem Kraską, niesłusznie skazanym na dożywocie za podwójne zabójstwo. Sam o sobie mówi, że nie był aniołem, ale w mafijną egzekucję został wrobiony.

– Obserwowałem symulacje Picka z perspektywy więziennej celi – opowiada Arkadiusz Kraska. – Trafiłem za kraty mniej więcej w tym samym czasie co on. Chociaż w gazetach pisano, że należałem do konkurencyjnego gangu, w rzeczywistości byliśmy kolegami.

– **Naprawdę miał depresję?**

– Ależ skąd! Symulował i świetnie wiedział, jak to robić.

– **Ktoś go instruował?**

– Sylwek, jego wspólnik, który siedział w innej celi.

– **A ten Sylwek to kto, psychiatra?**

– Bezwzględny bandyta z wieloma grzechami na sumieniu [m.in. zlecenie zabójstwa rezydenta białoruskiej mafii w Polsce Wiktora Fiszmana, napady w Niemczech, pranie brudnych pieniędzy – przyp. aut.]. Miał w areszcie fory u wychowawczyni. Pani Ewa, bo tak miała na imię, przynosiła mu do celi różne rzeczy, których inni mieć nie mogli. Jedną z zakazanych „zabawek” był podręcznik dla studentów medycyny – gruba

książka z psychiatrii. Sylwek uczył się z niej objawów klinicznych depresji i wielu innych chorób psychicznych. Potem nabytą wiedzę – sobie wiadomymi sposobami – przekazywał Pickowi, a ten świrował niepoczytalnego. Zresztą całkiem nieźle mu to wychodziło.

– **Lekarze nabierali się na to?**

– Przynajmniej tak to wyglądało. Nie wiem, czy „nabierali się” to właściwe określenie, bo przecież psychiatrzy nie robili tego za darmo. Tylko doktor Ewa Kramarz i Jerzy Pobocho z Aresztu Śledczego w Szczecinie nie dali się nabrać. Picek i Sylwek byli wściekli, przecież to burzyło ich linię obrony. Mieli na wolności interesy, a tych dwoje biegłych psychiatrów stanęło im na drodze.

– **Znam panią doktor Ewę Kramarz jeszcze z czasów studenckich. Żeby zaliczyć u niej psychopatologię, trzeba było mieć w małym palcu opasłą książkę *Podstawy psychiatrii* profesora Bilikiewicza.**

– To może uczyła się pani z tego samego podręcznika co Sylwek (śmiech). Wiem, że szykowano prowokację. Oboje psychiatrzy mieli być odsunięci od opiniowania.

– **Kto szykował?**

– Bardzo źli ludzie. Ktoś miał pomówić tych biegłych o korupcję, żeby stracili uprawnienia. Prowokacja była przygotowana, ale nie wiem dokładnie, dlaczego jej nie zrealizowano. Podejrzewam, że miało z tym coś wspólnego aresztowanie innego psychiatry z tego samego aresztu. Problemy miała też lekarz psychiatra ze szpitala w Gorzowie Wielkopolskim. Mówiono że pomagała Pickowi w oszukiwaniu organów ścigania. Wszyscy wiedzieliśmy, że jego żółte papiery to kompletna ściema.

Picek dostał 15 lat za kierowanie gangiem. Ogłoszenie wyroku zbojkotował, pozostając w celi. Na długiej ławie oskarżonych Sądu Okręgowego w Szczecinie, gdzie toczył się proces, zasiadał m.in. mafijny

zabójca o pseudonimie Boski Wiatr, a także były komandos z wojsk ONZ-u. Ten drugi miał zastrzelić szefa konkurencyjnego gangu, jednak w kluczowym momencie zaciął mu się pistolet. Najemnikami Picka byli też: zawodowy siłacz – mistrz w wyciskaniu leżąc, a także – co ciekawe – syn profesora medycyny, który jest dziś chirurgiem.

– Głupio wplątał się w przestępcze interesy, miał w areszcie próbę samobójczą i naprawdę drżeliśmy o jego życie – wspomina doktor Pobocho. – Był kurierem w przemyśle narkotyków. Po aresztowaniu przechodził autentyczne załamanie nerwowe, a nie depresję udawaną. Potem zaczął tak sypać, że myśleliśmy, że przyjdą i go zabiją. Całe szczęście, że kamraci odpuścili mu współpracę z prokuraturą. Ale młodość i zdrowie chłopak sobie zmarnował.

W procesie tego gangu zapadły m.in. dwa dożywocia i trzy kary 25 lat pozbawienia wolności. W lutym 2019 roku, po 23 latach odsiadki różnych wyroków, Picek wyszedł na wolność.

Szczecin zdrzął. Tak działa przestępcza legenda.

Naukowo, przełomowo

Studenci prawa i kryminologii uczą się dziś o symulantach, aby potrafili reagować na próby manipulacji ze strony przestępców. Nam też przyda się trochę tej wiedzy – na wszelki wypadek, żeby nikt nie wyłudzał naszego współczucia metodą „na depresję”. Za zgodą konsultanta niniejszej książki publikujemy fragmenty jego wykładu z Katedry i Kliniki Psychiatrii PAM w Szczecinie, w którym po raz pierwszy użyto określenia „depresja udawana”, opublikowano go w kwartalniku „Postępy Psychiatrii i Neurologii” w 1998 roku.

Mimo upływu lat temat nie traci na aktualności.

„Symulowanie objawów choroby psychicznej dla osiągnięcia jakiegoś celu jest znane od dawna. Odys król Itaki, nie chcąc iść na pomoc Troi, udawał obłąkanego, wprzegając do pług wołu i osła, siejąc sól zamiast ziarna. Dla wykrycia symulacji położono mu w bruzdę przed zbliżającym się pługiem jego syna. Wtedy Odys wstrzymał zaprzęg.

Rodzaj i nasilenie symulowanych objawów zaburzeń psychicznych przez przestępcę zależy od:

- stopnia jego znajomości psychopatologii,
- wzorców zachowań chorobowych zaobserwowanych w czasie pobytu w szpitalu psychiatrycznym,
- otrzymanych sugestii ze strony np.: współwięźniów, rodziny, niekiedy od zaprzyjaźnionego lub opłaconego psychiatry itd.

Nadto zależy to od zdolności aktorskich takiej osoby, stopnia jej motywacji do uzyskania efektu, siły woli, odporności psychicznej, wysokości ewentualnej kary, potrzeby opuszczenia aresztu na skutek słabej adaptacji do warunków więziennych, a także panującej aktualnie «mody» na rodzaj symulowanych zaburzeń.

Na symulacyjne zachowanie podejrzanego wpływa też miejsce badań i możliwości obserwacji – lepsze są w szpitalu czy klinice psychiatrycznej, gorsze w areszcie śledczym. Formy i demonstrowane objawy mogą być bardziej złożone i subtelne przez ujawnianie nie jednego, a kilku objawów psychopatologicznych, aby stały się bardziej prawdopodobne, zgodne z obrazem klinicznym faktycznych zaburzeń. Takie symulacje podejmują często osoby inteligentne i wykształcone, posiadające dużą odporność psychiczną, dobrze przygotowane do demonstrowania takich zachowań.

Diagnoza prymitywnej symulacji jest łatwiejsza, a i tak z reguły osoby takie kieruje się na obserwacje. Leon Wachholz – autor *Psychopatologii sądowej* – już w 1923 roku sugerował, aby «podejrzanego o symulację znużyć dłuższą obserwacją, trwającą przez dzień i noc, baczną i czujną».

Diagnoza w medycynie nie jest tylko stwierdzeniem, rejestracją faktów, ale stanowi ich ocenę i interpretację. Pewność rozpoznania zależy m.in. od nastawienia badającego. Rosenhan udowodnił eksperymentalnie, że ośmiu zdrowych ochotników przyjęto do różnych szpitali psychiatrycznych, rozpoznano chorobę i podjęto leczenie tylko na tej podstawie, że mówili oni, iż słyszą «głosy».

W ostatnich latach w Polsce, w orzecznictwie sądowo-psychiatrycznym, zwiększyła się liczba diagnoz depresji i symulacji depresji. Przykładem mogą być przedstawione poniżej cztery przypadki, w których do analizy wykorzystano akta śledztw, oryginały historii choroby, wyniki badań i obserwacji sądowo-psychiatrycznych.

Badane osoby były podejrzane o uzyskanie z przestępstw znacznych dochodów:

- z wyłudzonych kredytów
- kradzieży samochodów
- sprzedaży amfetaminy
- wyłudzeń VAT.

W związku ze śledztwem ujawniały zaburzenia depresyjne. Ich eskalacja była podobna.

W okresie przed aresztowaniem osoby te prowadziły rozległą działalność gospodarczą, kierowały zespołami ludzi, były właścicielami lub współwłaścicielami firm, posiadały większy lub mniejszy majątek. Ich działalność gospodarcza wymagała dużej inicjatywy, inteligencji, dyspozycyjności i odporności psychicznej.

W pierwszych kilku miesiącach pobytu w areszcie śledczym nie mieli większych problemów adaptacyjnych. Dopiero kontynuowanie przeciwko nim śledztwa oraz możliwość otrzymania kary powodowały ujawnianie zachowań naśladujących depresję.

Analiza oryginałów historii choroby tych osób z pobytu w szpitalach psychiatrycznych przed aktualnym śledztwem wskazuje, że niekiedy podejrzani zgłaszali się do szpitala sami. Mówili na temat depresji – o przygnębieniu, bezsensowności, braku apetytu. Danych tych nie weryfikowano obiektywnie, niekiedy nawet nie byli oni systematycznie ważeni. W opisach stanu psychicznego tych osób uderza albo lakoniczność, albo przesadność sformułowań, przyjmowanie niesprawdzonych faktów czy hipotez, niekiedy z tendencją do ich nadinterpretacji.

Pacjenci ci przebywali z reguły na wielokrotnych, długich przepustkach, udzielanych nawet w dwa dni po przyjęciu do szpitala.

W jednym przypadku cały dwumiesięczny pobyt polegał na tym, że chory praktycznie był tylko dwa w dni w szpitalu, tzn. w dniu przyjęcia i zwolnienia go do domu. Było to już w okresie toczącego się wobec niego śledztwa.

U pacjentów tych stawiano rozpoznania: zaburzeń adaptacyjnych, depresji reaktywnych, depresji endogennej, choroby afektywnej”.

Choroba, której nie ma

„W leczeniu depresji u tych pacjentów stosowano np.: Amizepin w dawce 100 mg dziennie przez wiele tygodni, fluoksetynę, opipramol czy małe dawki chloroprotiksenu. Tylko wyjątkowo były stosowane leki trójpierścieniowe w małych lub średnich dawkach. Nigdy, mimo rozpoznawania przewlekłej depresji, nie proponowano choremu np. zastosowania elektrowstrząsów.

Chorzy wprawdzie mówili o przygnębieniu, ale nie mieli poczucia winy. Stale udowadniali swoją niewinność, domagali się zwolnienia z aresztu. Opiniowani w trakcie badań demonstrowali spowolnienie psychoruchowe, np. patrząc w jeden punkt. Zachowanie to zależało jednak od sytuacji. Najbardziej było nasilone w trakcie badań przez biegłych. Natomiast kiedy przebywali w celi, np. czujnie obserwowali wizjer. W okresach, gdy uważali, że nie są już obserwowani, rozmawiali z innymi osadzonymi, oglądali telewizję, jedli, pili herbatę itp.

Omawiane osoby w okresie pobytów w szpitalach psychiatrycznych groziły samobójstwem w przypadku ich aresztowania (cyt.: «żywego mnie nie wezmą»). Po czym przebywały w areszcie rok i dłużej i nie podejmowały prób samobójczych albo miały one charakter demonstracji.

W dalszych miesiącach nasilały się ich ostentacyjne zachowania. Polegało to np.: na stałym leżeniu w łóżku, ale tyłem do drzwi, aby nie można było obserwować mimiki. Jeden z nich w trakcie przewożenia go ze szpitala psychiatrycznego na obserwację sądowo-psychiatryczną w oddziale aresztu śledczego mdlał i w efekcie nie został tam

dowieziony. Ponownie został zatrzymany przez policję, kiedy robił zakupy z żoną podczas jednej z wielokrotnych przepustek ze szpitala psychiatrycznego, i wtedy już bez problemów został dowieziony do aresztu.

Kolejny z opiniowanych, po zwolnieniu go z aresztu i jednorazowym badaniu sądowo-psychiatrycznym, uzyskał rentę I grupy, która nie przeszkadzała mu w poruszaniu się po mieście samochodem. Napisano w opinii, że ma «histeroepilepsję», która jednak pozwalała mu podejmować wielorakie i niebezpieczne działania przestępcze.

Kolejny z opiniowanych, leżąc w łóżku plecami do drzwi, na wiadomość, że przyjechała do niego żona, ochoczo wstał i chciał iść na widzenie. Na widok biegłych zrezygnował. Pozostał na łóżku. Nie odpowiadał na pytania, patrzył w jeden punkt.

Na skutek akinezji opiniowani tracili kondycję fizyczną, miewali spadki ciśnienia tętniczego, co było celem ich zachowań. Badaniom tych osób towarzyszyły próby «docierania do biegłych» osób postronnych: rodzin opiniowanych, pracownika uniwersytetu, akademii medycznej czy lekarza leczącego informującego, że pacjent z rozpoznaniem schizofrenii paranoidalnej, który już w okresie śledztwa uzyskał rentę I grupy, «boi się badania» sądowo-psychiatrycznego. W jednym przypadku biegli byli celowo wprowadzani w błąd informacją, że opiniowany uprzednio przez nich więzień «zanieczyszcza się», «ma przetaczaną krew». Ostrzegano biegłych, że «będą mieć Komisję Kontroli Zawodowej, ponieważ nie rozpoznają depresji».

Omówienie i wnioski

„Przedstawione tutaj skrótowo problemy wskazują na potrzebę doskonalenia metod badania, rejestracji i diagnozy w psychiatrii sądowej. Szczególnie dotyczy to przestępców operujących dużymi sumami pieniędzy, dokonujących poważnych przestępstw

gospodarczych, mających wiele możliwości stosowania różnych form obrony.

Obraz kliniczny «depresji udawanej» wyróżnia się tym, że u osób ją demonstrujących brak typowych objawów depresji endogennej, reaktywnej czy nerwicowej, np:

- poczucia winy i potrzeby kary
- lęku
- wyraźnego obniżenia ciężaru ciała
- zakłóceń rytmów dobowych.

Ograniczenie się lekarzy do wielokrotnych badań psychiatrycznych «twarzą w twarz» jest niewystarczające. Dopiero całodobowa obserwacja zachowania daje możliwość pewniejszej diagnozy. Standardem oddziałów obserwacyjnych muszą być pełne możliwości obserwacji, m.in. przez lustra weneckie, telewizję przemysłową itp.

Analiza niektórych opinii biegłych wskazuje, że lekarze nie dopuszczali możliwości, aby osoba przebywająca w areszcie była smutna. Stąd ich częste rozpoznawanie depresji i wnioski o uchylenie aresztu. Można odnieść wrażenie, że przyjmowali postawę adwokacką, nieobiektywną. W opiniach razi przesada opisu, nadinterpretacje, przyjmowanie skarg badanego bez ich oceny, a to już jest postępowanie wbrew zasadom lekarskiego diagnozowania. W takich przypadkach termin «depresja udawana» oznaczałby, że opiniowany udaje, że cierpi na depresję, a biegły udaje, że ją widzi.

Nikt oczywiście nie neguje prawa człowieka do obrony oraz zasad humanitaryzmu. Jednak jak dotąd żaden inny kraj na świecie nie zwalnia z aresztów – z błahych powodów – przestępców gospodarczych i członków przestępczości zorganizowanej.

Niepokój budzą próby docierania różnych osób do biegłych, wręcz «załatwienia korzystnej opinii». Stąd potrzeba wypracowania praktycznych zasad i metod postępowania dla skutecznej ochrony biegłych przed takimi sytuacjami.

Wszystkie te uwagi mają na celu podniesienie poziomu orzecznictwa sądowno-psychiatrycznego i zapobiegnięcie dalszemu rozszerzaniu się

epidemii udawanych depresji”

– podsumował psychiatra.

1. S. Hannawald, U. Pramann, *Sven Hannawald. Triumf. Upadek. Powrót do życia*, przeł. R. Pol, Wydawnictwo SQN, Kraków 2014. [\[wróć\]](#)
2. Paweł Wilkowicz, *Poruszające słowa i depresja Justyny Kowalczyk: „Mam dość kłamstw. Wszystko mi się sypie”*, Sport.pl., 3.06.2014. [\[wróć\]](#)

Rozdział 4

Trudna sztuka świrowania

W czasach zrywu Solidarności opozycja wykorzystywała psychiatrię dla obrony i dla ochrony. Niejeden działacz podziemia znajdował schronienie w szpitalu psychiatrycznym. Nie było w tym nic wstydliwego, z totalitarną władzą trzeba było walczyć wszelkimi dostępnymi sposobami.

– Zresztą co tu się dziwić opozycjonistom, skoro nawet nasz bohater narodowy Józef Piłsudski był symulantem – przypomina konsultant niniejszej książki (przy czym nie jest jego intencją umniejszanie zasług naszego marszałka).

Wspominamy o tym, chcąc pokazać, że z historycznego punktu widzenia symulacja może mieć też dobre strony.

Józefa Piłsudskiego aresztowano za wydawanie konspiracyjnego pisma i osadzono w warszawskiej Cytadeli. Był rok 1900. Groziła mu śmierć, ponieważ dodatkowo niesłusznie oskarżano go o zabójstwo carskiego konfidenta. Aby uniknąć szubienicy i wydostać się z Cytadeli, zaczął symulować chorobę psychiczną: odmawiał jedzenia, demonstrował paniczny lęk przed otruciem i mundurami żandarmów.

Tak to później wspominał:

„Była to niezmiernie przykra gra. Nie mówiąc o głodzie, który mi bardzo dokuczał, tem bardziej, że żandarmi przysyłali mi w tym czasie wyszukane i smaczne obiady, które musiałem odrzucać... lecz samo udawanie obłędu, ciągła baczność na swe ruchy, na wyraz twarzy, konieczność wypowiedzania od czasu do czasu jakichś nonsensów, męczyła mnie niezmiernie, a czasem wprost śmieszyła widokiem przerażenia, jakie wzbudzało moje zachowanie w żandarmach.

Po kilku tygodniach byłem tak zmęczony, iż postanowiłem przerwać. Siły mnie opuszczały, ledwie chodziłem... Wydawało mi się czasami, że stoję u brzegu jakiejś otchłani, w którą zapadnę się już bezpowrotnie. Przystałem więc udawać, zacząłem jeść i zachowywać się zupełnie

naturalnie. Myślałem sobie, że się nie powiodło! Ha trudno!... Cóż robić!...

Wtem drzwi otwierają się, wchodzą żandarmi, wołają mnie do kancelarii, niosą za mną rzeczy... Wywieziono mnie do Petersburga, do szpitala Św. Mikołaja. Okazało się, że przerwa w obłądnie właśnie była potrzebna w rozwoju choroby, że ona ostatecznie przekonała obserwatorów, że jestem chory!”¹

Piłsudskiemu pomógł polski lekarz. Po raz kolejny szczęście mu sprzyjało. Zajrzyjmy raz jeszcze do źródeł historycznych, aby nie pozostawiać Czytelników w niepewności.

„PPS opracowywała plan wydostania swojego przywódcy z więzienia. Jednemu z członków organizacji, świeżo upieczonemu lekarzowi wojskowemu Władysławowi Mazurkiewiczowi, udało się zdobyć posadę w szpitalu Mikołaja Cudotwórcy. Rozpoczął pracę w kwietniu 1901 roku. Na początku będąc jedynie praktykantem, nie miał prawa do dyżurów na oddziale, jednak wykorzystał ten czas na przemykanie i kompletowanie ubrania dla więźnia.

14 maja 1901 roku Mazurkiewicz miał mieć pierwszy dyżur. Okazja do ucieczki była doskonała, gdyż niemal połowa personelu szpitala została spędzona na Pole Marsowe, na obchody święta ludowego. Lekarz po odbyciu zwyczajowego obchodu sal nakazał przyprowadzić Piłsudskiego do swego gabinetu. Tam więzień błyskawicznie się przebrał w przyniesione uprzednio ubranie. Gdy był już gotowy do wyjścia, nadszedł niespodziewanie korespondent «Petersburskiego Listka», prosząc doktora o udzielenie wywiadu dotyczącego psychologii «rozpruwaczy» kobiet. Mazurkiewiczowi udało się zbyć natręta kilkoma zdaniem i obaj uciekinierzy skierowali się ku wyjściu. Na miejscu okazało się jednak, że drzwi są zamknięte, a w dyżurce siedzi zamiast znajomego portiera nieznany żandarm.

Nagła zmiana okoliczności powoduje zmianę planu. Przybierając pewne siebie miny (Mazurkiewicz zwraca się do Piłsudskiego per

«ekscelencjo»), przechodzą wprost przez dziedziniec szpitala. Klnąc siarczyście na stróża, rozkazują mu otworzyć tylną furkę. Po czym mijając struchlałego ciecica, wychodzą na ulice Petersburga”².

Zostawmy w spokoju naszego marszałka i skupmy się na współczesnej symulacji, szczególnie tej w mafijnym wydaniu.

Krakowiaczek jeden

Obserwatorzy poczyńań tzw. polskiej mafii zapewne pamiętają burzliwy początek procesu gangu Janusza T., ps. Krakowiak. Przed Sądem Okręgowym w Katowicach odbył się – w lutym 2001 roku – spektakularny pokaz „strugania wariata” przez człowieka uchodzącego na Śląsku za *capo di tutti capi*.

Krakowiak sprawnie zarządzał przestępczym przedsiębiorstwem, realizował bandyckie zlecenia z całej Polski (m.in. zabójstwa). Na gangsterskie salony wprowadził go Nikoś z Gdańska. Janusz T. dbał o swoich ludzi niczym sycylijski boss. Szczególnie wtedy, gdy trafiali za kraty. Zapewniał im najlepszych adwokatów, zastraszał lub korumpował kogo trzeba, a rodziny otaczał finansową opieką. Kiedy w drugiej połowie lat 90. Krakowiak sam trafił do aresztu, nie zabawił tam długo. Wyszedł za bramę już po dwóch tygodniach. Odtąd otaczała go legenda nietykalnego. Jego grupa przeszła do historii polskiej przestępczości jako najlepiej zorganizowana struktura mafijna w kraju.

Proces gangu Krakowiaka był spektaklem. Podczas pierwszych rozpraw w Sądzie Okręgowym w Katowicach główny oskarżony dawał popis opętańczych zachowań: płakał, robił dziwaczne miny, płaśał na bosaka, śpiewając *Kawiarenki* Ireny Jarockiej. Nieoczekiwanie wpadał w szał i klął jak szewc, wyzywając prokuratora i sędziego. Nieoficjalnie mówiono, że na sali rozpraw „i tak nie było źle”. W celi aresztu śledczego Krakowiak miał wysmarować się kałem, rozerwać poduszkę i wytarzać się w pierzu. Krzyczał po nocach, kłócił się z duchami, pił wodę z muszli klozetowej. Skarżył się też na głosy zza ściany, debatujące o polityce i planowanych zmianach w rządzie.

– Podczas śledztwa Janusz T. był wielokrotnie badany przez psychiatrów i żaden z nich nie miał wątpliwości co do jego poczytalności – zapewniał autorkę tej książki prokurator Leszek Goławski z Prokuratury Okręgowej w Katowicach. – Gdyby faktycznie cierpiał na chorobę psychiczną, nie moglibyśmy postawić mu zarzutów. W areszcie prawdopodobnie zrozumiał powagę sytuacji, że gra toczy się o całą jego przyszłość. Groziło mu dożywocie, stąd zapewne te „zaburzenia reaktywne” – mówił prokurator.

Po dwóch rozprawach proces przerwano, a Krakowiaka skierowano na obserwację. Biegli nie dopatrzyli się u niego choroby psychicznej, dlatego po pięciu miesiącach proces wznowiono. Ku zaskoczeniu wszystkich stron procesu, objawy psychozy u Krakowiaka minęły bezpowrotnie. Jego sprawa przed sądem ciągnęła się latami.

– Zeznawałem w Katowicach osiem razy – opowiada gangster Rafał Ch., ps. Czarny, świadek oskarżenia. – Ujawniałem kulisy przygotowań do zabójstwa rezydenta białoruskiej mafii w Polsce, którego zlikwidował członek gangu Krakowiaka. Zeznawałem przede wszystkim przeciwko mojemu byłemu bossowi Markowi K., ps. Oczko, a nie Krakowiakowi. Ale i tak swoją szyderczą postawą podnosiłem mu ciśnienie. Po kilkunastu latach procesu powinien ignorować świadków, bo nie miał już wpływu na rozwój wydarzeń. Tymczasem on – ku mojemu zdziwieniu – wciąż walczył z oskarżeniami: analizował zeznania, wyciągał wnioski, zadawał pytania. A to oznacza, że jego procesy myślowe przebiegały bez zakłóceń. Jako stary kryminalista nie mogłem pojąć, dlaczego tak się wszystkim przejmował. Z wyglądu przypominał mi aktora z *Zielonej mili*, tego z pawilonu śmierci, dającym się we znaki klawiszom. Miał takie przenikliwe, świdrujące spojrzenie. Podobieństwo fizyczne było uderzające, z tym że w oczach Krakowiaka nie było obłędu, tylko nienawiść.

Żółte papiery przemytnika

Zaburzoną osobowość, a także sporą nieporadność życiową demonstrował przed sądem organizator szlaków przemytu amfetaminy z Polski do Skandynawii. Mowa o Januszu G., ps. Gołąb, z Międzyzdrojów, jednym z najważniejszych ludzi w szczecińskim gangu Oczki. Na sali rozpraw

Gołąb niewiele rozumiał, niewiele słyszał, ale dość często odwracał głowę w stronę autorki, siedzącej w tylnym rzędzie dla publiczności. Skarżył się potem sędziemu, że dziennikarka „prowokuje go do seksu”. Opis tej sytuacji znajdziemy w *Nowym alfabecie mafii* Ewy Ornackiej i Piotra Pytlakowskiego, opublikowanym w 2013 roku przez Dom Wydawniczy REBIS.

Poniżej fragment z tej książki, z rozdziału *Gang Oczki, czyli ferajna z ulicy Żabiej*:

„Sławę zapewniła Gołębiowi nietykalność, którą dawały mu «żółte papiery». Kiedy UOP i policja łapały go na handlu narkotykami – Janusz G. uciekał w chorobę: dostawał drgawek i piany na ustach. W konsekwencji lądował w szpitalu psychiatrycznym w Gorzowie Wielkopolskim. Miał tam na tyle dobre układy, że wypuszczano go na przepustki, podczas gdy w szpitalnej ewidencji wciąż figurował jako pacjent na obserwacji. Przydawało się to Gołębiowi szczególnie wtedy, gdy narozrabiał i policja wiązała go z nowymi przestępstwami. Wówczas Janusz G. wyciągał swojego asa: «O nie, panowie, mnie tam nie było, leżałem wtedy w Gorzowie».

Podczas procesu Janusz G., ps. Gołąb, tradycyjnie miał problemy ze zdrowiem (i zrozumieniem postawionych mu zarzutów, dotyczących m.in. wprowadzeń dla okupu i handlu narkotykami).

– Ja w ogóle pojąć nie mogę, czego prokurator ode mnie chce – oświadczył sądowi.

– Czy przeczytał pan akt oskarżenia i postawione mu zarzuty? – dociękał sędzia.

– Nie przeczytałem, bo jestem chory na oko. Jedno jest chore całkiem, a drugie częściowo. Wszystko przez to, że w ciemnicy mnie trzymają i nic nie widzę!

Zarzutów odczytanych na sali sądowej przez prokuratora Gołąb rzekomo też nie słyszał, bo «miał miejsce niewygodne i siedział z tyłu»”.

Żółte papiery nie pomogły Gołębiowi ³ w uniknięciu kary. Na początku śledztwa badał go doktor Jerzy Pobocho i stwierdził, że „jeżeli podejrzany zorganizował międzynarodowe szlaki przemytnicze, zatrudniał ludzi, którym płacił, i sam na tym zarabiał, to nie jest niepoczytalny”.

Lekarce ze Szpitala Psychiatrycznego w Gorzowie Wielkopolskim, która notorycznie wypuszczała Gołębia na przepustki, postawiono zarzuty karne (ta sama psychiatra wypuszczała Sylwka i Picka, ich przypadłości poznaliśmy w rozdziale o depresjach gangsterów).

Tamte wydarzenia i procesy zmieniły liberalne dotąd podejście organów ścigania do symulantów. Wzięto pod lupę sytuacje, gdy kryminaliści zamiast na więziennej pryczy lądowali na szpitalnym łóżku. Okazało się, że w latach 90. szpitale psychiatryczne stały się azylem dla 1500 przestępców podejrzanych o najcięższe zbrodnie, tzn. zabójstwa, porwania dla okupu, pobicia, działania w zorganizowanych grupach o charakterze zbrojnym. Statystyki były alarmujące, bo spośród 850 przestępców umieszczanych każdego roku w zakładach psychiatrycznych uciekało sześćdziesięciu.

Zmiany w tym nieszczelnym systemie były konieczne. Postanowiono, że odtąd przestępcy kierowani na obserwację nie będą trafiali do szpitali psychiatrycznych, lecz do oddziałów specjalnych w aresztach śledczych.

W Polsce takich oddziałów było w tamtym czasie sześć, m.in. w Szczecinie.

– Nieporozumieniem byłoby umieszczanie tak groźnych recydywistów jak Krakowiak czy Picek w szpitalu, nawet najlepiej strzeżonym – argumentował wtedy doktor Jerzy Pobocho. – Jego kompani na wolności na pewno zorganizowałyby mu ucieczkę.

Twierdze dla okrutników

Nowe przepisy opracowane przez resorty zdrowia i sprawiedliwości przewidywały, że sądy zaczną kierować najtrudniejszych pacjentów do ośrodków przypominających twierdze. Regionalne ośrodki psychiatrii sądowej maksymalnego zabezpieczenia, o których mowa, wzorowano na amerykańskich i holenderskich placówkach. Utworzono je w Gostyninie, Starogardzie Gdańskim i Branicach. Jednym z najsłynniejszych

podopiecznych ośrodka w Gostyninie został Leszek Pękalski⁴ – wampir z Bytowa (skazany za jedno zabójstwo na tle seksualnym, jednak on sam przyznawał się do ponad sześćdziesięciu). Inni to nekrofile, maniacy seksualni oraz zwyrodnialcy, których okrucieństwo wobec ludzi i zwierząt jest nie do pojęcia.

Z tych ośrodków nie można uciec. Nie wydaje się żadnych przepustek, nawet na ślub, chorobę, śmierć w rodzinie czy pogrzeb.

Od tej reguły nie ma wyjątków.

Prasówka :

—
„Najgroźniejsi przestępcy symulujący choroby psychiczne, a także bandyci uznani za niepoczytalnych (i z tego powodu niepodlegający odpowiedzialności karnej) nie będą już izolowani w szpitalach psychiatrycznych. Dotychczas bez problemu mogli z takiej placówki uciec lub wyjść na przepustkę, po czym popełniali kolejne przestępstwa, łącznie z zabójstwami, i wracali na oddziały. Teraz trafią do «twierdz».

Szpitala maksymalnego zabezpieczenia, w których przygotowano 200 miejsc, otoczone są sześciometrowym, gładkim murem. Za pomocą kamer telewizyjnych prowadzony jest całodobowy monitoring. Placówki wyposażono w system alarmowy, ostrzegający przed niekontrolowanym otwarciem drzwi i okien.

– Lekarze i sanitariusze otrzymali indywidualne urządzenia alarmowe. Niektórzy pacjenci będą tu przebywać do końca życia. Uciezka jest mało prawdopodobna, chociaż niczego nie można wykluczyć – podkreśla dr Leszek Ciszewski, dyrektor Regionalnego Ośrodka Psychiatrii Sądowej w Starogardzie Gdańskim.

– Na wyposażenie pawilonów w systemy bezpieczeństwa wydaliśmy 6 mln zł – dodaje dr Ryszard Wardeński, dyrektor ROPS w Gostyninie.

Szpitalę maksymalnego zabezpieczenia zatrudniają zawodowych ochroniarzy. Nie mają oni jednak ani broni z ostrą amunicją, ani nawet gazów paraliżujących. Pracownicy ochrony muszą postępować zgodnie z przepisami wynikającymi z Ustawy o ochronie zdrowia psychicznego, a nie z Ustawy o Służbie Więziennej. Dopuszczalnymi środkami przymusu pozostają więc izolatka i kaftan bezpieczeństwa.

– Tymczasem do regionalnych ośrodków psychiatrii sądowej będą trafiać przestępcy podlegający obserwacji psychiatrycznej. Większość z nich to ludzie zdrowi, udający zaburzenia psychiczne – mówi dr Ciszewski.

Przestępcy symulujący niepoczytalność traktują szpital jak bramę na wolność. – Ze szpitala w Gorzowie uciekał, kto chciał i kiedy chciał. Rekordzista oddalał się sześć lub siedem razy, wychodząc za bramę krótko po dowiezieniu go do tej placówki. Uciezki się skończyły, gdy trafił do Gostynina – zauważa sędzia Maciej Strączyński, przewodniczący III Wydziału Karnego Sądu Okręgowego w Szczecinie.

Podobnie działo się w innych szpitalach”.

– (Ewa Ornacka, *Poczytalni niepoczytalni*, „Wprost”, 29.04.2001).

Do Gostynina wrócimy jeszcze w tej książce, przy temacie największych okrutników i ustawy o tzw. bestiach.

Jak ze zdrowego zrobić chorego

– Doktorze, czy pomyłki w diagnozowaniu gangsterów to odosobnione przypadki?

– Ależ skąd! Takich „pomyłek” w rozpoznawaniu chorób wciąż jest wiele. Trzeba o nich opowiadać, ponieważ źle pojęta solidarność zawodowa lekarzy prowadzi do bezkarności przestępców. Oto przykład.

U gangstera, który ostrzelał z kałasznikowa obcokrajowca, rozpoznano schizofrenię paranoidalną. Skierowano go do szpitala psychiatrycznego w Poznaniu. W papierach napisano, że stanowi on poważne zagrożenie dla porządku prawnego, jednak w szpitalu nikt się tym specjalnie nie przejął. Jego pobyt na oddziale polegał na tym, że już następnego dnia ordynator dał mu przepustkę.

Na parkingu przed szpitalem zaparkowane było BMW gangstera. Korzystał z niego, kiedy chciał, i jeździł, gdzie chciał. Jakby był wolnym człowiekiem! A przecież z karty choroby wynikało, że zgodnie z zaleceniem sądu jest skutecznie izolowany od społeczeństwa.

– Wracał na noc?

– Czasami tak, czasami nie. Całkowita dowolność. Na terenie szpitala poznał pielęgniarkę, która wkrótce zaszła z nim w ciążę. Wyjechali sobie do Paryża na romantyczną wycieczkę, dopiero później wszystko się wydało.

„Chorego” gangstera wywieziono z Poznania i trafił do nas na oddział. Okazało się, że żadnej schizofrenii paranoidalnej nie ma.

Jak to stwierdziliśmy? Nie od razu rzecz jasna. Kiedy go zobaczyliśmy po raz pierwszy, był otumaniony lekami. Miał maskowatą twarz i sztywne ciało. Nie wiadomo, co to jest – pomyśleliśmy. Odstawiliśmy mu leki, a on dalej zachowywał się jak mumia. Po kilku miesiącach wnikliwej obserwacji

mieliśmy pewność, że symulował. Sztywność ciała i maskowatość twarzy wywoływały neuroleptyki, którymi go karmiono w poprzednim miejscu.

W dokumentacji medycznej napisaliśmy, że nie widzimy dalszej potrzeby leczenia go ze schizofrenii, ponieważ tej choroby nie ma. Jeżeli ktokolwiek będzie chciał przepisywać mu jakieś leki, powinien niezwłocznie skonsultować się z nami.

Symulanta przewieziono do Aresztu Śledczego w Zielonej Górze, gdzie czekał na swój proces.

– Jakies dwa, trzy dni przed rozprawą tknęło mnie przecucie – kontynuuje psychiatra. – Dzwonię do tamtejszego aresztu i pytam, co się z nim dzieje. Wyczuwam, że pielęgniarka nie pali się do rozmowy, więc proszę, aby wzięła do ręki jego książeczkę zdrowia i przeczytała ostatnie wpisy.

– Osadzony jest chory – stwierdziła, nie podając szczegółów.

– Dostaje leki? – spytałem.

– Tak. Jeden.

– Jaki?

– Neuroleptyk.

– Na co?

– Na schizofrenię.

Oniemiałem ze zdumienia. Zrozumiałem, że to była celowa robota, że prawdopodobnie któryś z lekarzy mu pomagał, no chyba że on sam tak świetnie symulował.

– **Kiepski warsztat psychiatry, który rozpoznał u niego schizofrenię paranoidalną?**

– Wątpię. Czas pokazał, że stał za tym ordynator i jeszcze drugi lekarz z Poznania. Obaj usłyszeli zarzuty fałszowania dokumentacji medycznej. Ten człowiek był poczytalny, uczestniczyliśmy w jego procesie w charakterze biegłych. Przekonaliśmy sąd, że symulował. Gdyby nam się to nie udało, groźny przestępca wyszedłby na wolność.

Niebawem przysłano nam kolejnego „schizofrenika”. Mężczyzna o posturze gladiatora pracował dla gangu posługującego się tirówkami przy autostradzie. One wabiły klientów, oni ich napadali, okradali, czasami zabijali. Nasz nowy pacjent miał na sumieniu biznesmena, który zatrzymał

się w lesie. Symulował bardzo dobrze, wręcz profesjonalnie. W końcu długotrwały spektakl został przerwany, a psychiatrzy, którzy wystawili mu żółte papiery i poinstruowali, jak ma się zachowywać – zostali zdemaskowani.

Pomysłowy Dobromir

Jeden z pionierów polskiego biznesu, którego historia wpisuje się w konwencję naszej opowieści, zbił majątek na nośnikach elektronicznych wysyłanych na Wyspy Dziewicze. Pomysł był nowatorski, więc stosowny urząd skarbowy chętnie oddawał mu VAT. Uzbierało się tego na starcie kilka milionów złotych, interes się rozkręcał i pewnie biznesmen królowałby dziś w rankingach najbogatszych Polaków, gdyby nie popełnił drobnych błędów. Zainteresowało się nim Centralne Biuro Śledcze.

Zatrzymany przez policję trafił do Aresztu Śledczego przy ulicy Montelupich w Krakowie. Tam popadł w depresję, dlatego został zwolniony. Wkrótce sam zgłosił się do szpitala psychiatrycznego, został przyjęty na oddział, a śledztwo utknęło w martwym punkcie.

Czas pokazał, że eksport na Wyspy Dziewicze był fikcyjny, a jego depresja – jak cała reszta objawów chorobowych – udawana.

– W krakowskim szpitalu uznano, że depresję najlepiej leczyć w domu, więc natychmiast zwolniono go na dwumiesięczną „przepustkę” – opowiada doktor Pobocho. – Prowadzący sprawę prokurator chciał go przesłuchać, wystosował pismo do lekarzy z zapytaniem, czy może to zrobić. Odpowiedź była odmowna. „Pacjent przechodzi intensywne czynności diagnostyczno-lecznicze” – oznajmiono. „Jakie?” – dociekał prokurator. Ano te, które „sam wykonuje sobie w domu” (!).

Po dwóch miesiącach biznesmen zgłosił się do szpitala po wypis, a tam już czekali na niego policjanci Centralnego Biura Śledczego. Zdołał im uciec, lecz wkrótce został złapany.

– Szczęśliwie trafił do nas, gdzie otoczono go troskliwą opieką – kontynuuje doktor Pobocho. – Objawy somatyczne nasilały się, więc leżał na internie. „Coś tu nie pasuje” – powiedziała pewnego dnia doktor Ewa Kramarz, moja koleżanka z psychiatrii. Myślałem dokładnie tak samo.

Pacjent zachowywał się – mówiąc oględnie – niekonwencjonalnie, jakby coś niedozwolonego zażywał.

Nie ufałem nikomu, za dużo mieliśmy w naszym szpitalu analogicznych przypadków. Dlatego przy mnie pobrano mu krew i sam zawiozłem ją do badań toksykologicznych, do zakładu medycyny sądowej.

Okazało się, że pacjent miał w surowicy krwi ponadterapeutyczną – czyli większą niż wymagało leczenie – dawkę leku stosowanego w psychozach.

Sprawdziliśmy z doktor Kramarz jego kartę choroby. Oficjalnie nikt mu tego leku nie zlecił. Ale przecież był w jego krwi!

Wtedy nabraliśmy pewności, że ktoś w szpitalu skrycie podaje mu tabletki, dzięki którym wygląda na coraz bardziej chorego...

Prasówka:

„W prokuraturach w kraju trwa festiwal śledztw przeciwko psychiatrom – w listopadzie gdańska policja zatrzymała psychiatrę, który przez kilka lat fałszował dokumentację lekarską poborowych. Za uniknięcie wojska brał od 1,5 tys. zł, wystarczyła jedna wizyta, a lekarz tworzył fikcyjną historię choroby na wiele miesięcy wstecz.

We Wrocławiu rozpoczął się proces aż 15 lekarzy – psychiatrów i psychologów – oskarżonych o przyjmowanie łapówek (m.in. byłego ordynatora oddziału psychiatrycznego szpitala w Lubiążu i kilku biegłych sądowych). Według

prokuratury za pieniądze wystawiali przestępcom fałszywe zaświadczenia o nieistniejących chorobach psychicznych.

Policja zatrzymała też psychiatrę z Łukowa (woj. lubelskie) zamieszanego w wielką korupcję w ostrołęckim Sądzie Okręgowym. – Urzędniczka sądowego wydziału penitencjarnego podpowiadała przestępcom np., że aby uniknąć kary, muszą sobie załatwić zaświadczenie o niepoczytalności. Kontaktowała z pośrednikiem, a ten opłacał psychiatrę – mówi Tadeusz Kaczmarek, rzecznik KWP w Radomiu.

– Fala korupcji rośnie – przyznaje dr Jerzy Pobocho ze Szczecina (zasiada w Sądzie Koleżeńskim Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego i jest przewodniczącym Naukowej Sekcji Psychiatrii Sądowej PTP). – Psychiatria to najbardziej popularna w świecie przestępczym specjalizacja lekarska. Bo wyuczone objawy choroby psychicznej łatwo pacjentowi zagrać, a trudniej jest sprawdzić ich wiarygodność – mówi.

A jakie są stawki?

– Bohater jednej z największych w kraju afer gospodarczych proponował mi 200 tys. zł za zaświadczenie o niepoczytalności – opowiada Piotr Dragon, lekarz ze szpitala w Rybniku. On odmówił, ale środowisko psychiatrów jest skorumpowane do szpiku kości – przyznają sami lekarze. Pobocho coraz częściej na zlecenie sądów prostuje fałszywe opinie wystawiane przez kolegów po fachu. Tydzień temu z kilkunastoma innymi psychiatrami z całego kraju założył w Szczecinie Polskie Towarzystwo Psychiatrii Sądowej. Cel – biegli psychiatrzy będą przechodzić specjalne egzaminy i regularne szkolenia, a ich opinie w sprawach sądowych będą sprawdzane przez innych biegłych”.

—
(Aleksandra Pezda, *Plaga fałszywych ekspertyz sądowych psychiatrów*, „Gazeta Wyborcza”, 13.07.2011).

Linia obrony

Pamiętam też innego więźnia – wspomina psychiatra. – Czekał w areszcie na swój proces o zabójstwo. Pewnego dnia wpadł na pomysł, że jeśli bez powodu zabije współwięźnia, to wszyscy pomyślą, że jest chory psychicznie. Jak postanowił, tak zrobił.

Obserwowaliśmy go miesiącami, przebadaliśmy od stóp do głów i orzekliśmy, że jest zdrowy. Symulował.

– **Jak to robił?**

– Słyszał głosy, mówił o Chrystusie – klasyka. Symulanci są do siebie podobni, często przychodzi do nich matka albo śpią pod łóżkiem. Czasami malują na prześcieradle krzyż, że niby w grobie leżą, tak dla zwiększenia efektu. Mieliśmy kiedyś na obserwacji funkcjonariusza Służby Więziennej. W czasie tzw. technicznej obsługi celi spadł z krzesła i trochę się poobijał. Chciał uzyskać odszkodowanie, a ponieważ ortopedycznie i chirurgicznie wszystko z nim było w porządku, wymyślił sobie, że podczas upadku doznał zaburzeń psychicznych. Stąd jego obecność na naszym oddziale.

Wchodzimy do sali, patrzymy, a nasz funkcjonariusz leży sobie pod łóżkiem. Jesteśmy tym nieco strapieni, bo zależy nam na jego zdrowiu. W gronie kilku lekarzy głośno wymieniamy swoje sugestie.

– Jest dobrze – zauważa jeden z psychiatrów. – Wprawdzie pacjent leży pod łóżkiem, ale nie szczeka.

I co za chwilę zrobił nasz funkcjonariusz? Nie będę zdradzał szczegółów, powiem tylko tyle, że objawy... się nasiliły. Symulanci już tak mają. Kiedy podczas obchodu mówimy, że nie występują u nich wszystkie objawy choroby psychicznej – natychmiast je mają!

– **Zabójcy też szczekają?**

– Sprawcy zabójstw często mówią: „Tam był mężczyzna z brodą”. Dlaczego z brodą? Tego nie wiem, ale zawsze z brodą. Mieliśmy takie przypadki wielokrotnie: on się nie przyznaje, a zrobił to człowiek z brodą: „W tym czasie, gdy doszło do zbrodni, ja byłem niedaleko. On mnie obezwładnił i potem uciekł”. Jak on wyglądał? „No był z brodą”.

– **To symulowanie choroby?**

– Nie, to linia obrony.

Od lat z ramienia Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego analizuję opinie biegłych. Najbardziej niepokoi mnie jedno zjawisko: kardynalne błędy lekarzy w rozpoznawaniu nieistniejących psychoz bardzo często pojawiają się w sprawach o zabójstwo. Nie muszą stać za tym pieniądze – posądzenie wszystkich lekarzy o korupcję byłoby niesprawiedliwe i nieuprawnione. Moim zdaniem za błędami stoją albo brak doświadczenia, albo chorobliwe aspiracje psychiatrów diagnozujących w myśl zasady: „Im większy biegły, tym większe rozpoznanie”. Widzą chorobę tam, gdzie jej nie ma.

– **A to oznacza...**

– ...że zabójcy są bezkarni.

Co się zdarzyło w ZK w Sztumie

Wciąż trudno uwierzyć w to, co się stało w Sztumie w październikową niedzielę 2011 roku – dzień wyborów parlamentarnych. Uzbrojony w nóż kuchenny dyrektor tamtejszego zakładu karnego wszedł do celi i zaatakował więźnia. Zadał mu kilka ciosów, po czym spokojnie wrócił do swojego gabinetu i poprosił podwładnych, aby wezwali policję. „Zabiłem skazanego” – powiedział, a oni patrzyli na niego w osłupieniu.

Człowiek zaatakowany nożem wykrwawił się na śmierć.

Nigdy dotąd w żadnym polskim więzieniu nie wydarzyło się nic podobnego. Próżno szukać analogii w jakimkolwiek innym kraju.

Szok. Po prostu szok.

Dwa dni po zabójstwie, podczas posiedzenia sądu w sprawie aresztu tymczasowego dla sprawcy, dyrektor miał powiedzieć coś zupełnie innego: że nie wiedział, co robi, i był nieświadomy tego, że właśnie odbierał komuś życie.

Zabity przez niego mężczyzna był pospolitym złodziejem. Z powodu urazu kręgosłupa poruszał się na wózku inwalidzkim. Miał przed sobą jeszcze wiele lat do odsiadki. Bywał agresywny, wulgarny, do tego wciąż pisał jakieś skargi, pozwy i zażalenia – głównie na sposób leczenia go za kratami. O takich więźniach mówi się „roszczeniowi”. Są jak wrzód na tyłku.

Dyrektor Zakładu Karnego skończył psychologię, kierował Sztumem od sześciu lat. Wcześniej był dyrektorem Aresztu Śledczego w Elblągu. W Służbie Więziennej przepracował ćwierć wieku, miał nieposzlakowaną opinię i stopień podpułkownika. „Zwariował”, „nie wytrzymał stresu”, „ten więzień mu groził” – mówiono nieoficjalnie. Wyjaśnieniem sprawy zajęła się prokuratura, a zdiagnozowaniem poczytalności byłego dyrektora – psychiatrzy.

Po czterech miesiącach biegli orzekli, że w momencie popełniania czynu sprawca był niepoczytalny, ale nie musi być dalej leczony w warunkach szpitalnych. Nie stanowi zagrożenia dla innych – napisali w opinii, dodając, że jego przestępczy czyn miał charakter incydentalny.

Były dyrektor Sztumu opuścił areszt.

Prasówka:

—
„Podpułkownik Andrzej G. napisał list do żony i córki. Tłumaczył, że nie może postąpić inaczej, słyszy bowiem głosy, które każą mu zabić. Przepraszał, że nie jest jeszcze gotowy, by popełnić samobójstwo. Kartkę zostawił na stole. I pojechał do Sztumu. Jak zwykle prezentował się świetnie. Po pięćdziesiątce, szczupły, szpakowaty, nienagannie ubrany – w jasnej marynarce i koszuli.

O 10.00 był już przed bramą. Strażnicy dziwili się, że dyrektor przyjechał, choć ma wolne. Ale dyrektor to dyrektor – robi, co chce. Andrzej G. wszedł do sali, którą w więzieniu nazywają stanowiskiem kierowania. Jest tu system łączności i są monitory, które pokazują, co się dzieje na terenie zakładu karnego. Gdy wchodził, był uśmiechnięty, wręcz zrelaksowany. Mówił, że ma «coś do załatwienia».

Wszedł najpierw do oddziału I. Oddziałowy otworzył mu drzwi celi pierwszej z brzegu. Siedział tam jeden więzień.

«Chcę z nim porozmawiać sam na sam» – mówił spokojnie dyrektor. Chwilę rozmawiali.

66-latek z Łodzi niemal całe życie, z małymi przerwami, przesiedział w kryminałach. W każdym więzieniu malował sobie coś nowego. Niemal całe ciało miał pokryte tatuażami. Nawet członek sobie wymalował. Czyli twardy był. Wyłupiaste szalone oczy, kozia bródka, rozwichrzone resztki włosów na głowie. I agresja. Nienormalna, psychotyczna agresja.

Jak się nakręcił, to wszystkich wokół wyzywał od chujów, bydlaków i skurwysynów.

Rzucił, czym popadło.

Psychiatra stwierdził, że jest niepoczytalny. Ale nikt na to nie zwrócił uwagi. Nikomu nie przyszło do głowy, że on nie tutaj powinien być, tylko w szpitalu.

Z Centralnej Służby Więziennej przyszła tylko lakoniczna informacja: dajcie sobie z nim spokój, bo z powodu

niepoczytalności jest bezkarny.

Psychicznie chory człowiek był dręczony w więzieniu i dręczył innych.

Dyrektor Sztumu na długo przed tym zdarzeniem miał problemy. Bywał nieobecny, patrzył godzinami w jeden punkt, nie reagował, nie odpowiadał na pytania. Do centralnej dyrekcji wpłynął anonim, że chodzi po oddziałach z nożem za pazuchą. Nikt nie zareagował!”

—
(Joanna Skibniewska, Maciej Wiśniewski, Wyrwać chwastą, „NIE”, nr 43/13.)

– **Zdumiewa mnie ta opiekuńcza postawa biegłych, doktorze. „Niepoczytalny, ale nie stanowi zagrożenia, może iść do domu”.**

– Znam tę sprawę jedynie z mediów, bez szczegółów, dlatego nie chcę jej komentować. Może w nieświadomości biegłych było przekonanie, że nikt zdrowy nie mógłby czegoś takiego zrobić. Jeśli – jak słyszałem – niepoczytalność sprawcy w chwili popełnienia czynu wynikała z depresji, to zastanawia mnie jedno: ludzie w depresji zabijają, owszem, ale... siebie. Ewentualnie popełniają samobójstwo rozszerzone, odbierając życie także najbliższym. Tymczasem depresja byłego dyrektora ze Sztumu miała objawić się silną potrzebą, aby kogoś zabić.

– **Czy to psychoza krótkotrwała?**

– Ja osobiście nigdy o czymś takim nie słyszałem. Mam w tej sprawie mieszane uczucia, ale pamiętajmy, że ludzki umysł wciąż jest zagadką. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na jedną rzecz: psychiatry z aresztu są tak samo pracownikami Służby Więziennej jak były dyrektor ZK w Sztumie. Nie jest to fortunne rozwiązanie. Funkcjonariusz nie powinien diagnozować funkcjonariusza.

Przypomnijmy inny przykład sprzed paru lat, także z terenu zakładu karnego.

Sprawa dotyczyła strażnika z Sieradza, który przeładował broń, przechylił się przez barierkę wieżyczki, wycelował lufę kałasznikowa w stronę policjantów konwojujących więźnia i zaczął do nich strzelać. Było to pierwsze zdarzenie w dziejach Służby Więziennej, i to nie tylko polskiej, ale chyba w świecie, gdy uzbrojony funkcjonariusz zabijał ludzi, z którymi nie był w żadnym konflikcie.

TVN i TVP prosiły mnie wtedy o gorący komentarz. Powiedziałem przed kamerami, że to chyba psychoza, bo jak człowiek poczytalny może strzelać ostrą amunicją do policjantów i więźnia, których nawet nie zna. Tymczasem moi koledzy z Łodzi uznali go za poczytalnego.

– Skąd taka różnica w spojrzeniu na sprawę?

– Diabeł tkwi w szczegółach. Okazało się, że funkcjonariusz miał napiętą sytuację w domu, jego stres z dnia na dzień niebezpiecznie narastał. Stosunki międzyludzkie w zakładzie pracy też były dla niego nie do zniesienia. Czuł się niedoceniany i wyśmiewany. W końcu doszło do odreagowania złych emocji. Mechanizm jest ten sam jak u kogoś, kto tłucze w domu talerze. A że on miał broń, a nie talerze – wygarnął całą serię do przypadkowych ludzi. Zabił trzech policjantów tylko dlatego, że czuł się sfrustrowany.

Prasówka :

—

„Do tragedii doszło w marcu 2007, gdy trzech policjantów przyjechało do sieradzkiego więzienia zabrać aresztanta na przesłuchanie. 28-letni strażnik więzienny ostrzelał z wieży strażniczej ich samochód z broni maszynowej. Na miejscu zginęli dwaj funkcjonariusze: 31-letni Bartłomiej Kulesza i 32-letni Andrzej Werstak. Ciężko ranny 40-letni Wiktor Będkowski w stanie krytycznym trafił do szpitala, gdzie mimo operacji zmarł. Ranny aresztant także trafił do szpitala.

Strażnik zabarykadował się w wieżyczce. Na miejsce przyjechali antyterrorysty i negocjatorzy. Rozmowy nie przyniosły efektu. Doszło do strzelaniny pomiędzy policjantami i strażnikiem, który – zraniony w rękę – w końcu się poddał.

Sąd Okręgowy w Sieradzu skazał go na dożywocie, uznając za winnego najcięższych przestępstw – zabicia policjantów i usiłowania zabójstwa aresztanta oraz narażenia życia policyjnych antyterrorystów, w których stronę strzelał.

Na podstawie opinii biegłych sąd uznał, że strażnik działał w warunkach niepełnej poczytalności, gdy strzelał do samochodu, jednak późniejsza strzelanina odbyła się już, gdy był w pełni świadomy.

Sąd Apelacyjny podkreślił, że oskarżony był i jest zdrowy psychicznie, miał ograniczoną poczytalność z powodu stresu i sytuacji rodzinnej, ale nie zrobił wcześniej niczego, by sobie pomóc. Za okoliczność obciążającą uznał fakt, że oskarżony przez pół godziny nie zezwolił na udzielenie pomocy rannemu policjantowi. Nigdy też nie wyraził żalu ani skruchy”.

— (Zabił trzech policjantów - dostał dożywocie, PAP, 26.10.2010).

Podobnie jak pewien żołnierz w czynnej służbie – dodaje doktor Pobocho – który miał spore problemy z samodyscypliną, przez co często był wzywany do raportu i karany. To go frustrowało, narastał w nim gniew. W jakimś momencie miał dostęp do kałasznikowa z ostrą amunicją. Wbiegł do stanowiska dowodzenia w jakimś bunkrze i wygarnął całą serię do przypadkowych osób: oficerów i żołnierzy. Na szczęście ranił tylko jedną osobę. Badaliśmy go i analogicznie do sprawcy z Sieradza – uznaliśmy za poczytalnego.

1. *Józef Piłsudski o sobie. Z pism, rozkazów i przemówień komendanta*, zebrał i wydał Z. Zygmuntowicz, Agencja „OmniPress”, Warszawa 1989. [\[wróć\]](#)
2. *Brawurowa ucieczka Józefa Piłsudskiego ze szpitala Św. Mikołaja w Petersburgu*, tekst redakcyjny www.jpilsudski.org. [\[wróć\]](#)
3. Gołębia skazano najpierw na siedem lat pozbawienia wolności za przemyt i handel narkotykami, a następnie na osiem lat za przestępstwa popełnione w gangu Oczki. Po odbyciu kary odebrał sobie życie.
– Wrzuciliście go wszyscy do jednego wielkiego wora symulantów, podczas gdy on przez większość życia cierpiał na depresję – przekonywał autorkę jego przyjaciel, z którym Gołąb zasiadał na jednej ławie oskarżonych w procesie szczecińskiego gangu. [\[wróć\]](#)
4. Leszek Pękalski, po odbyciu 25 lat zasądzonej kary, na skutek interwencji dyrektora Zakładu Karnego w Starogardzie Gdańskim sprzeciwiającego się wypuszczeniu go na wolność, trafił na obserwację psychiatryczną do Gostynina. Tamtejsi biegli orzekli, że wampira z Bytowa trzeba izolować do końca życia. W czerwcu 2017 roku Sąd Okręgowy w Gdańsku zdecydował o objęciu go tzw. ustawą o bestiach. [\[wróć\]](#)

Rozdział 5

Jak zdemaskować przestępcę, czyli kulisy psychiatrii sądowej

Dla policji najważniejszą sprawą jest ustalenie i schwytywanie sprawcy, dla psychiatrów sądowych – odtworzenie stanu jego psychiki w chwili popełniania przestępstwa. Rola biegłych jest fundamentalna, bo chociaż to sądy wydają wyroki, w rzeczywistości biegli decydują, czy kara w ogóle zostanie wymierzona.

Błędy w opiniowaniu sądowo-psychiatrycznym sprawiają, że procesy sądowe trwają latami. Podejrzany ma prawo do obrony, więc w trakcie badań może kłamać, symulować, demonstrować różne zachowania.

– Musimy się z tym uporać, ponieważ tak jest skonstruowane prawo – tłumaczył studentom kryminalistyki i kryminologii doktor Pobocho (autorka była na wykładzie w charakterze obserwatora). – Stąd też szereg pracochłonnych czynności, które należy wykonać, zanim wyda się opinię: zbieranie danych o podejrzanym, analiza akt sprawy i *modus operandi* sprawcy (sposobu działania) oraz śladów kryminalistycznych. Dopiero na tym fundamencie można coś zbudować.

W psychiatrii, tak jak w ruchu drogowym, powinna obowiązywać zasada ograniczonego zaufania. Podczas badań pacjent mówi, co chce. Nie we wszystko trzeba wierzyć. To, że w jego karcie choroby zostało kiedyś coś napisane przez różnych lekarzy, nie oznacza, że biegli nie muszą tego sprawdzić. W firmach ubezpieczeniowych klient jest uprzedzany o odpowiedzialności karnej za składanie nieprawdziwych informacji na temat swojego zdrowia. Natomiast w obliczu stawianych mu przez prokuraturę zarzutów może bezkarnie oszukiwać. I prawo jest tutaj bezsilne.

– Czym się różni psychiatria kliniczna od sądowej? – dociekali studenci.
– Psychiatra kliniczny jest jak lekarz pogotowia – porównywał wykładowca. – Bada „tu i teraz”. Nie interesuje go, co było dwadzieścia lat temu o godzinie 20.30, ale co jest w danej chwili. W przeciwieństwie do

niego psychiatrę sądowego interesuje, co było „wtedy i tam”. Na tej podstawie budujemy obraz stanu psychicznego sprawcy zbrodni.

Uwaga, szalenciec na drodze

– Zobrazujmy to przykładem bandyty, który w centrum Gdańska pod wpływem narkotyków dokonał zuchwałego rozboju, a następnie sterroryzował taksówkarza – proponuje psychiatra. – Wyrzucił go z samochodu i jechał pod prąd główną ulicą miasta. Podczas brawurowej ucieczki z miejsca przestępstwa używał świateł i klaksonu. Wszystko po to, by uniknąć zderzenia czołowego.

Biegli napisali, że mężczyzna był wtedy w stanie „delirium toksycznego”, a to oznaczało, że surowa kara mogła go ominąć. Dla Sądu Apelacyjnego w Gdańsku ich diagnoza okazała się nie do przyjęcia. Miałem ją zweryfikować.

Pojechałem do Gdańska. Postanowiłem osobiście przejechać się trasą, którą pokonywał „szalony” kierowca. Oczywiście nie pod prąd, ale to wcale nie było konieczne. Bez tego ustaliłem, że wybrał na miejsce przestępstwa okolicę o najmniejszym – jak na Gdańsk – natężeniu ruchu. Ryzyko zderzenia, szczególnie w sytuacji, gdy sprawca używał sygnałów świetlnych i dźwiękowych, było minimalne. Miał on zatem pełną orientację, gdzie jedzie, a nie dezorientację, jak wcześniej orzekli biegli.

Cała Polska pamięta innego kierowcę, który w lipcu 2014 staranował tłum na deptaku Bohaterów Monte Cassino w Sopocie, a następnie wjechał na molo. Dwadzieścia trzy osoby doznały ciężkich obrażeń ciała, niektóre z nich są teraz kalekami. Dopiero po uderzeniu w przeszkodę szalenciec zatrzymał auto.

Miał 32 lata, w gazetach pisano, że jest uzdolnionym informatykiem, pracował dla amerykańskiej korporacji. Nie był pijany, naćpany ani pobudzony dopalaczami. Za umyślne spowodowanie katastrofy w ruchu lądowym, o co chciał go oskarżyć prokurator, groziło mu do 10 lat więzienia. Nie trafił do aresztu, lecz do szpitala. Chory psychicznie – zgodnie orzekli biegli. Kiedy wjechał swoją hondą w tłum, był niepo czytalny.

Schizofrenię stwierdzono u niego kilkanaście miesięcy wcześniej. Miał brać leki, ale je odstawił. Tłumaczył podczas przesłuchania, że czuł się po nich senny i na niczym nie mógł się skoncentrować. Psychiatrzy, którzy go w śledztwie badali, zgodnie orzekli, że kierowca hondy musi być izolowany i leczony. Wyjdzie na wolność, gdy komisja lekarska uzna, że nie stanowi już zagrożenia.

– W polskim opiniowaniu sądowo-psychiatrycznym schizofrenia jest równoznaczna z niepoczytalnością, ale ciekaw jestem, czy w Stanach Zjednoczonych ten kierowca mógłby odpowiadać za katastrofę w ruchu lądowym – podkreśla doktor Pobocho.

– **Chorego psychicznie człowieka postawiliby przed sądem? Jak to możliwe, doktorze?**

– Przepisy są inne. Tam choroba nie zapewnia automatycznie bezkarności. Oni wnikliwie analizują, czy sprawca rzeczywiście miał zniesioną zdolność rozpoznawania znaczenia czynu, czy „potrafił odróżnić dobro od zła”.

– **Jak to robią?**

– Posłużę się przykładem. W 1994 roku szaleniec w USA strzelał do samochodów na autostradzie. Wywołał totalną panikę, doszło do karambolu, wiele osób ucierpiało. Podczas dziewięciogodzinnych badań psychiatrycznych powiedział: „Gdyby w pobliżu był patrol policji, to na pewno bym nie strzelał”. On wiedział, że popełnia przestępstwo, i stanął za to przed sądem.

Lekcja pokory

W latach 70. amerykański psycholog David Rosenhan przeprowadził – w pięciu stanach USA – niecodzienny eksperyment, którego celem było sprawdzenie poziomu rzetelności diagnoz psychiatrycznych. Zdrowi mieli

udawać chorych, a gdyby dostali się do szpitala psychiatrycznego, symulację należało zaprzestać.

„Królikami doświadczalnymi” zostało osiem osób: artysta malarz, gospodyni domowa, student Rosenhana, trzech psychologów, pediatra i psychiatra. Przez kilka dni skrupulatnie przygotowywali się do roli: nie dbali o higienę, nie myli zębów, nie zmieniali ubrań. Mężczyźni nie golili się, a kobiety chodziły rozczochrane, bez makijażu. Zgodnie z instrukcją, pod fałszywymi nazwiskami telefonowali do dwunastu wybranych zakładów psychiatrycznych, skarżąc się, że słyszą „dziwne głosy dochodzące z ich wnętrza”.

U każdej z tych osób rozpoznano chorobę i wdrożono leki (!). Mało tego – wszystkie trafiły do szpitali psychiatrycznych z rozpoznaniem schizofrenii lub zaburzeń maniakalno-depresyjnych. Przebywały tam od siedmiu do ponad pięćdziesięciu dni. W tym czasie otrzymały ponad dwa tysiące tabletek antypsychotycznych, które po kryjomu wypluwały.

Eksperyment zakładał, aby w trakcie hospitalizacji jego uczestnicy przekonywali personel medyczny, że już czują się dobrze. Zachowywali się normalnie, ale i tak wszystko, co robili, interpretowano w kategoriach objawów chorobowych (np. robienie notatek w trakcie badań uznano za „kompulsywne pisanie”). Raz postawiona diagnoza stała się stygmatem. Traktowano ich przedmiotowo, niekiedy wręcz brutalnie.

Żaden z lekarzy nie zorientował się, że ma do czynienia z symulantami, w przeciwieństwie do prawdziwych pacjentów, którzy takie podejrzania mieli. „Jesteś dziennikarzem? Detektywem? Robisz tu jakieś badania?” – pytali.

Druga część eksperymentu polegała na wykrywaniu przez lekarzy psychiatrów fałszywych pacjentów. Poinformowano ich, że symulanci trafią – w celach badawczych – do różnych klinik, niewykluczone, że także do nich. Efektem było masowe uznawanie ludzi naprawdę chorych za... całkowicie zdrowych.

Wyniki eksperymentu Davida Rosenhana, opublikowane w 1972 roku w renomowanym czasopiśmie naukowym „Science” pt. *On being sane in insane places* [O byciu zdrowym psychicznie w niezdrowych miejscach], wywołały gniew i oburzenie w środowisku amerykańskich psychiatrów. Renomowane kliniki zarzekały się, że u nich takie pomyłki nie mogłyby się zdarzyć. Usiłowano zaprzeczać faktom, bojkotować wnioski psychologa,

choć jego celem nie było ośmieszenie lekarzy, lecz ukazanie, że „różnica między stanem zdrowia i zaburzeniem psychicznym jest co najmniej bardzo trudna do ustalenia”.

Mleko się rozlało, wszyscy się poobrażali i jedynie pewien filozof francuskiego pochodzenia życzył autorowi eksperymentu zdobycia Nagrody Nobla za... humor naukowy.

– Już po zakończeniu eksperymentu Rosenhan napotkał spore trudności w wydostaniu ze szpitali wszystkich swoich podopiecznych – opowiada doktor Pobocho.

Fałszywi pacjenci musieli przyjąć do wiadomości, że są chorzy psychicznie, i zażywać leki. Wypisywano ich dopiero po stwierdzeniu lekarza prowadzącego, że zostali wyleczeni.

– Wszystko, co obnażył przed laty tamten eksperyment, jest wciąż aktualne – komentuje nasz ekspert. – W psychiatrii bardzo łatwo o pomyłki. Wszystko jest kwestią oceny i interpretacji. To nie tylko najbardziej korupcjogenna specjalizacja lekarska, ale dziedzina medycyny, w której samouwielbienie lekarzy – podobnie jak brak doświadczenia w orzekaniu – ma daleko idące konsekwencje. Ze zdrowego człowieka można zrobić wariata, a psychopatycznego zabójcę uznać za niepoczytalnego.

I to się w Polsce dzieje.

Koronnym dowodem jest przypadek Kajetana P., okrzykniętego przez bulwarówki „polskim Hannibalem Lecterem”. Przypomnijmy, że ten 26-letni bibliotekarz (filolog z wykształcenia) postanowił sprawdzić, ile jest warte ludzkie życie. Fascynował się kanibalizmem, a zbrodnia, którą szczegółowo zaplanował, miała go uwolnić od emocji. Taki był jego plan samodoskonalenia.

Przeglądając ogłoszenia o korepetycjach z języków obcych, znalazł anons lektorki włoskiego z Warszawy. Umówił się na lekcję, zapakował do plecaka topór i zimą 2016 roku zapukał do drzwi jej mieszkania. Zaatakował w przedpokoju, gdy odwróciła się do niego plecami.

Fragmenty ciała lektorki zapakował do torby. Były jego trofeum. Miały mu przypominać, że życie człowieka jest tak kruche, jak żywot komara lub zwierząt hodowlanych. Wychodząc, zaproszył ogień, aby zatrzeć ślady zbrodni.

Złapano go po miesiącu, na Malcie, skąd – jak poinformowano media – zamierzał przedostać się w głąb Afryki, aby uniknąć ekstradycji. Podobno

udało się go namierzyć dzięki temu, że zalogował się na swoją pocztę mailową. Podczas transportu do Polski morderca uderzył łokciem policjanta, demonstrując totalną pogardę dla porządku prawnego. Trafił do więzienia, a o jego dalszych losach mieli zdecydować biegli.

Prokuratura powołała dwa zespoły psychiatrów i psychologów. Pierwszy stwierdził niepoczytalność bibliotekarza. Gdyby w chwili popełnienia zbrodni mężczyzna rzeczywiście nie rozumiał znaczenia własnych czynów, to nie mógłby stanąć przed sądem. Trafili do szpitala psychiatrycznego.

Drugi zespół biegłych wydał opinię, że sprawca wcale nie cierpi na chorobę psychiczną, a jedynie ma pewne zaburzenia i działał w stanie ograniczonej poczytalności. Co to oznaczało? Przede wszystkim dawało nadzieję na proces, chociaż kara byłaby łagodna.

– Prokurator uznał, że druga opinia wydana w oparciu o pełniejszy materiał dowodowy jest spójna, logiczna i kompletna – poinformował opinię publiczną prokurator Łukasz Łapczyński, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Warszawie.

Na tym jednak nie koniec sporów między biegłymi, ponieważ powołano trzeci zespół ekspertów.

– Ostatecznie potwierdzono, że sprawca nie ma schizofrenii, a co najwyżej znacznie ograniczoną poczytalność – mówi Jerzy Pobocho. – A to przecież, w zestawieniu z pierwszą diagnozą, zasadnicza różnica!

Prasówka:

–
„Proces będzie więc trudny, a obrona z pewnością wykorzysta sprzeczność między ustaleniami ekspertów. Nie ulega wątpliwości, że prokuratura popełniła fatalny błąd.

W przypadku sprawy tak ważnej należało od razu zasięgnąć opinii wybitnych ekspertów, których zdania nikt nie mógłby podważyć.

Tymczasem chorobę psychiczną u Kajetana P. stwierdziła początkująca lekarka, świeżo zatrudniona w areszcie na Rakowieckiej. Prokuratura angażowała biegłych niemal z łapanki, kompletnie nie zwracając uwagi na ich kwalifikacje.

To tym bardziej bulwersujące, że rodzinny kontekst związany z Kajetanem P. jest specyficzny: jego matką jest prokurator z Prokuratury Apelacyjnej w Poznaniu, przez pewien czas oddelegowana do Prokuratury Generalnej. To z pewnością jeden z powodów, by sprawa była prowadzona wyjątkowo starannie i transparentnie.

– Nie ma żadnego znaczenia, kto jest matką Kajetana P. Każdy ma jakichś rodziców i to absolutnie nie wpływa na sprawę – mówi prokurator Łukasz Łapczyński, rzecznik Prokuratury Okręgowej w Warszawie.

W związku z tą sprawą warto zwrócić uwagę na dwie rzeczy. Po pierwsze: opinie psychiatrów są subiektywne, a jeden z zespołów biegłych najwyraźniej się myli. Być może zresztą trzeci zespół biegłych doszedłby jeszcze do innych wniosków, że sprawca jest w pełni poczytalny.

Po drugie: to polska specyfika, że opinie psychiatrów mają tak olbrzymie i decydujące znaczenie. W rzeczywistości to biegli sądowi rozstrzygają o winie, a sędzia tylko wymierza karę. – Tak właśnie jest w Polsce i tylko u nas. Opinia psychiatrów traktowana jest nabożnie jak Ewangelia, a oskarżony unika czasem dzięki niej odpowiedzialności karnej – podkreśla doktor Jerzy Pobocho, znany psychiatra sądowy.

W wielu krajach psychiatrzy skrupulatnie starają się ustalić, ile w oskarżonym jest z przestępcy, a ile z osoby chorej psychicznie. Oznacza to, że może mieć np.

schizofrenię paranoidalną, ale wcale nie znaczy, że nie będzie odpowiadać za zbrodnie. W Polsce wystarczy, że psychiatra wypowie magiczną formułę «choroba psychiczna», i wyrok kary więzienia zapaść nie może.

Wyjątkowo często polscy biegli orzekają też, że oskarżony cierpi na psychozę. Jak przyznają sami psychiatrzy, panuje u nas prawdziwa epidemia psychozy, oczywiście tylko na papierze, w diagnozach. Wielu psychiatrów sądowych traktuje oskarżonego opiekuńczo, jak pacjenta, którego należy przede wszystkim chronić, także przed wymiarem sprawiedliwości”.

— (Maja Narbutt, *Bitwa psychiatrów o Kajetana P. Czy błędy prokuratury wpłyną na wyrok w sprawie jednego z najbardziej bulwersujących zabójstw ostatnich lat?*, portal wPolityce.pl, 8.06.2018).

Epidemia urojeń

W Polsce mamy dziś epidemię orzeczeń o niepoczytalności. Sprawcy spektakularnych zbrodni, wśród nich dorośli mordujący swoje dzieci, trafiają do aresztów i szybko z nich wychodzą.

Wiosną 2015 roku mężczyzna w stanie ostrej psychozy odebrał z przedszkola swoją 5-letnią córkę i udusił ją w parku w Brzeźnie. Podobno zobaczył w niej szatana. Sąd Okręgowy w Gdańsku uznał, że człowiek ten był wtedy niepoczytalny, więc sprawa o zabójstwo została umorzona. Tamtego dnia ojciec dziewczynki był badany przez lekarzy. Pogotowie zawiozło go na oddział Pomorskiego Centrum Toksykologii w szpitalu MSWiA w Gdańsku. Wypisano go stamtąd po jednej dobie. W jego zachowaniu nikt nie dostrzegł śmiertelnego zagrożenia.

Od tego typu informacji w mediach można dostać zawrotu głowy:

- „Wioletta K. z Sieradza udusiła swoją trzyletnią córeczkę szalikiem, a potem sama zadzwoniła na policję. Była niepoczytalna – tak wynika z opinii biegłych psychiatrów, którą otrzymała prokuratura”.
- „30-letnia Renata G., która w lutym 2016 roku pozbawiła życia półtoramiesięcznego syna Szymona, uderzając dzieckiem o podłogę, uniknie kary. Olsztyński sąd uznał, że była niepoczytalna”.
- „W Polkowicach 23-letnia Monika P. wyrzuciła przez okno czteroletniego syna swojej koleżanki, bo ta nie chciała jej dać papierosa. Kobieta nie poniesie kary. Prokuratura umorzyła wobec niej postępowanie, ponieważ biegli psychiatrzy uznali, że jest chora psychicznie”.

Opinia publiczna chciałaby wierzyć, że wszystko odbywa się według najwyższych standardów orzekania, ale nie zawsze tak jest. Wątpliwości co do niektórych opinii stwierdzających niepoczytalność mają nawet eksperci z Polskiego Towarzystwa Psychiatrii Sądowej – od dziesięciu lat apelują o większą wnikliwość badań.

– Jeżeli biegli opiniowali niepoczytalność, a z czasem okazuje się, że jest to błąd, to – zgodnie z polskim kodeksem karnym – nie można już tego „odkręcić” – mówi dr Jerzy Pobocho, który był założycielem Polskiego Towarzystwa Psychiatrii Sądowej i jego pierwszym prezesem. – Z punktu widzenia logiki, zasad współżycia społecznego i – generalnie – sprawiedliwości takie prawo jest nie do przyjęcia.

– Dlaczego?

– Nie może być tak, że zabójca, który wprowadził w błąd lekarzy (lub dzięki szczęśliwemu dla siebie zbiegowi okoliczności), uniknie kary. Specyfika psychiatrii sądowej polega na tym, że nie ma w niej zjawisk ewidentnych. Pośpiech w diagnozowaniu to prosta droga do fatalnych pomyłek. Do tego polski wymiar sprawiedliwości jakby przyjął za dogmat nieomylność biegłych, a przecież życie wciąż pokazuje, że nieomylni nie

są. Ten dogmat trzeba złamać, ponieważ traktowanie psychiatrów jak bogów to droga donikąd.

Jakieś dziesięć lat temu w szpitalu o maksymalnym zabezpieczeniu pojawił się zabójca, który nigdy nie był chory psychicznie, jednak uznano go za niepoczytalnego i niebezpiecznego dla otoczenia, dlatego był izolowany. „Panowie, ale ja jestem zdrow jak ryba” – oznajmił w trakcie badania, gdy przyjmowano go na oddział. Niestety miał rację i nic z tym nie można było zrobić.

– **Jak to?!**

– Przepisy są jednoznaczne: nawet gdy po latach okaże się, że uznany za schizofrenika zabójca jest kompletnie zdrowy, to nie można powtórnie postawić go przed sądem. Konsultowaliśmy tamten przypadek z profesorem Lechem Paprzyckim z Sądu Najwyższego. Usłyszeliśmy, że nic się nie da zrobić, gdyż przepis stanowi, że rewizja nie może być na niekorzyść tej osoby. Tymczasem postawienie człowieka przed sądem na skutek pojawienia się nowej diagnozy byłoby ewidentnie na jego niekorzyść.

Sądy mają związane ręce. Jediną możliwością byłoby udowodnienie, że niezgodna ze stanem faktycznym opinia o niepoczytalności powstała w wyniku przestępstwa, np. korupcji biegłego. To prawie niewykonalne.

– **Więc jak można coś zmienić?**

– Wprowadzeniem do istniejącego przepisu słów: „nie dotyczy to orzeczeń o niepoczytalności w przypadku zabójstw” i byłoby po sprawie. Ale jest silny opór materii. Jako Polskie Towarzystwo Psychiatrii Sądowej docieraliśmy do Prezydium Sądu Najwyższego i usłyszeliśmy, że to jest niewykonalne.

Cudowne ozdrowienia

Jedną z takich nieodwracalnych pomyłek popełniono przy diagnozowaniu uzależnionego od narkotyków studenta prawa, który zabił swoją matkę.

Denerwowało go, że spoufalała się z sąsiadem, za którym on nie przepadał. Wypominał jej, że notorycznie upija się z nim, a potem wyprawiają Bóg wie co. Po jednej z takich zakrapianych schadzki między synem a matką doszło najpierw do pyskówki, a następnie karczemnej awantury (90 procent zabójstw dokonuje się w podobnych okolicznościach).

Studenta skierowano na obserwację psychiatryczną. Dwoje lekarzy uznało, że ma schizofrenię, więc skierowano go do szpitala. Tamtejsi psychiatrzy nie podważyli wcześniejszej diagnozy. Pacjenta przeniesiono wkrótce do Gorzowa Wielkopolskiego na oddział wzmocnionego zabezpieczenia. Po czterech latach uznano, że jest wyleczony. Wypisano go do domu, ale pozytywne rokowania lekarzy okazały się przedwczesne. Ojciec chłopaka zgłosił sądowi, że syn jest agresywny, terroryzuje otoczenie i budzi powszechny strach. Matkobójca ponownie trafił do Gorzowa Wielkopolskiego. Jakież było zdziwienie tamtejszych lekarzy, gdy okazało się, że chłopak jest zdrowy, a napady agresji wywoływały w nim... narkotyki.

– Badający go lekarz stwierdził, że o żadnej schizofrenii nie mogło być mowy – wspomina Jerzy Pobocho. – „Skoro pacjent jest zdrowy, to dlaczego podajecie mu leki?”, zapytał personel w szpitalu, a oni śmiertelnie się na niego obrazili. Niektórzy pracownicy służby zdrowia nie dopuszczają krytyki i wątpliwości. Uważają siebie za nieomylnych, zadawanie takich pytań nie jest przez nich mile widziane. Pacjenta zwolniono ze szpitala, nie było przecież żadnego sensu w udawaniu dalszego „leczenia”.

Mało brakowało, aby zbrodnia upiekła się także innemu młodemu zabójcy. Był nim uczeń technikum, u którego w okresie dorastania zdiagnozowano schizofrenię paranoidalną. W areszcie, gdzie trafił na obserwację, wmawiał lekarzom, że ma nabój w zębie. Z jego zachowania i papierów wynikało, że jest – mówiąc kolokwialnie – kompletnie stuknięty, jednak coś wzbudziło czujność biegłych.

– Byłem wobec niego tak zajadły – przyznaje nasz ekspert – że pojechałem do Grodziska Mazowieckiego, gdzie dokonał zabójstwa, aby dokładnie ustalić, dokąd chodził i co robił.

Tamtego dnia zabójca świętował zakończenie roku szkolnego. Poszedł na prywatkę, ale został z niej wyproszony. Wyszedł bez słowa, poszedł do domu, skąd zabrał nóż i wrócił na przyjęcie. Odszukał kolegę, który zrobił mu afront, i zaatakował z furją. Ranny chłopak, słaniając się na nogach,

ruszył po pomoc na pogotowie. Z nożem w brzuchu udało mu się przejść ponad kilometr. W pewnej chwili upadł i już nie wstał. Gdyby zczekał na pomoc, pewnie by przeżył, a tak się wykrwawił.

Na mój wniosek – kontynuuję psychiatra – prokurator zarządził odtworzenie przebiegu zbrodni. Uczestniczyłem w tamtych czynnościach w charakterze obserwatora.

Ucznia technikum leczono od paru lat. Dostawał silne leki i z diagnozą schizofrenii wszedł w dorosłe życie. Tymczasem on nie był chory psychicznie, ale podobnie jak student prawa miał klasyczne zaburzenia po narkotykach! Moja opinia przekonała warszawski sąd do tego stopnia, że nawet nie wezwano mnie na przesłuchanie, co naprawdę zdarza się rzadko.

– Co go zdemaskowało?

– Mówiąc ogólnie: dokładna obserwacja, analiza wcześniejszych zachowań i dokumentacji, a także wielokrotne z nim rozmowy.

– A konkretnie?

– W celi utrzymywał porządek. W schizofrenii tego nie ma. Nie zgadzały się więc pewne szczegóły. Fasada schizofreniczna była pozorna, ale kilku lekarzy nabrało się na nią.

– Jak często zdarzają się takie pomyłki?

– Zbyt często. Zamierzam zebrać znane mi przypadki, udokumentować i opisać. Nie można zakładać, że biegli są nieomylni. Należałoby przekonać ministra sprawiedliwości, że trzeba przeforsować zmiany w przepisach. Zanim to zrobię, chciałbym, korzystając z okazji, opisać jeszcze jednego młodego zabójcę, który przechytrzył kilku znanych psychiatrów.

Już w szkole średniej założył spółkę, miał smykałkę do interesów. Zadawał się z dziewczyną, która za dużo piła. Jej ojciec miał do niej o to uzasadnione pretensje, więc postanowiła się go pozbyć. Namówiła swojego chłopaka, aby „uwolnił ją od tyrana”.

Wykopali na działkach dół, dodali sobie odwagi, wypijając pół litra, i poszli z nożem do ojca. Bronił się, ale dokonali dzieła. Ciało wrzucili do dołu, zasypali, a po kilku dniach odkopali. Pomyśleli, że lepiej będzie ukryć je w bardziej odludnej okolicy. Wybrali poligon wojskowy, a konkretnie czołgowisko z zakazem wstępu.

„Zakopie się, ziemię uklepie i nikt niczego nie znajdzie” – przekonywali się i rozważali, czy nie obciąć zwłokom palców, by utrudnić ewentualną identyfikację.

Ale zbrodnia wyszła na jaw.

Wydaliśmy opinię, że sprawca jest poczytalny i ma jedynie zaburzenia osobowości. Potem, na wniosek obrońcy, młody człowiek trafił na obserwację do Poznania, gdzie opowiadał lekarzom, że demon w nim siedzi. W opinii są obszerne cytaty z jego barwnej opowieści: o Hare Krysznie, odmiennych stanach świadomości oraz innych, związanych z kosmosem doświadczeniach życiowych, które ukształtowały jego charakter.

Orzeczono schizofrenię paranoidalną i znów przywieziono go do nas. W Areszcie Śledczym w Szczecinie spędził rok. I co się okazało? On miał padaczkę skroniową, a nie schizofrenię, co wyszło w zapisie EEG. Ludzie z takimi zmianami w skroni mają skłonności do fantazjowania, stąd u niego demony w brzuchu i związki z kosmosem.

Sąd przyjął naszą opinię, chłopak został skazany za współudział w zabójstwie. Odsiedział swoje, wyszedł na wolność, znów popełnił przestępstwo. Jak już go mieli aresztować, poszedł do psychiatry, pokazał wszystkie swoje wcześniejsze „żółte papiery” i dostał skierowanie do szpitala psychiatrycznego.

Tam ponownie zdiagnozowano u niego schizofrenię paranoidalną.

– Doktorze, ile czasu potrzebuje biegły, aby zbadać i opisać konkretny przypadek?

– Zależy to od wielu okoliczności. W najpoważniejszych sprawach, gdy chodzi o zabójstwo, opinia musi być pełna i pewna, dlatego sprawca kierowany jest na obserwację, a nie jednorazowe badanie. Trybunał Konstytucyjny orzekł, że czas potrzebny lekarzom nie powinien przekraczać czterech tygodni. W wyjątkowych przypadkach może trwać do

ośmiu i ani dnia dłużej. Wydawać by się mogło, że to sporo czasu, ale są przypadki, gdy dwa miesiące to za mało.

– Co się dzieje, gdy limit zostanie wykorzystany?

– Wtedy można przeprowadzić dodatkowe badania jednorazowe.

Generalnie problem diagnozowania wynika z faktu, że to, co psychiatra musi ocenić i zinterpretować, to nie są zmiany skórne, zaropiałe oko czy złamana noga – porównuje nasz ekspert. – To są słowa i zachowanie. Nie można bezkrytycznie przyjmować wszystkiego, co pacjent mówi. Nadmierne zaufanie do osoby badanej rodzi błędne diagnozy. Często biję się z myślami, co mam robić, gdy widzę, jak psychiatra „ulega” pacjentowi. Zakładam, że nie robi tego w złej wierze, ale brak doświadczenia nie tłumaczy masowych pomyłek.

W jednym z miast na Pomorzu Zachodnim wynajmowali pokoje sublokatorskie obcy sobie ludzie. Ona była podróżniczką, trochę zarozumiałą i momentami antypatyczną. Właśnie wróciła z Afryki. On był trenerem tenisa w Austrii, potem pracował tutaj, w lokalnym klubie. Miał wyraźne cechy narcystyczne, przejawiające się przeświadczeniem o własnej wyjątkowości, posiadaniu ogromnych możliwości, w połączeniu z aroganckim podejściem do innych, a także przesadnym interpretowaniem zachowań ludzi, rzekomo nastawionych przeciwko niemu.

Spotykali się we wspólnej kuchni. Nie przepadali za sobą. Któregoś dnia on był wyjątkowo rozdrażniony. Bolał go brzuch i kręgosłup, nie mógł w nocy spać. Doszło między nimi do kłótni, szarpaniny, a następnie krwawej bójki. Trener tenisa chwycił za nóż kuchenny, zadał nim kobiecie 24 ciosy. Oboje stoczyli się ze schodów na dół domu. I tam podróżniczka skonała.

Mężczyzna sięgnął po telefon. Zadzwoił najpierw do psychiatry, która go leczyła – nie z powodu psychozy, lecz nieprawidłowej osobowości.

– Zabiłem ją – oznajmił, po czym rozłączył się i zatelefonował do swojego kolegi, po nim do adwokata, a dopiero w następnej kolejności na policję.

– Jestem niepoczytalny – uprzedził na wstępie. – Od sześciu lat chodzę do psychiatry.

Zabójca trafił do celi aresztu. Tam powiedział, że źle się czuje, i wymienił leki, jakie dostawał od psychiatry. Oznajmił, że zabił, ponieważ podróżniczka mu szkodziła. Miała taką szmacianą lalkę, w którą wbijała igły i dlatego bolał go brzuch. Lekarze zaaplikowali mu neuroleptyki, tymczasem historia w laleczką woodoo jest przykładem myślenia magicznego, występującego powszechnie u ludów pierwotnych, a nie myślenia typu urojeniowego. Gdyby było inaczej – wielu mieszkańców Afryki i Ameryki Południowej trzeba by leczyć psychiatrycznie. Przecież to absurd!

Biegli byli zgodni co do tego, że to nie choroba psychiczna – zespół paranoiczny, lecz nieprawidłowa, paranoiczna osobowość. Różnica dość istotna, bo w tym drugim przypadku trzeba stanąć przed sądem za zabójstwo.

Ostatecznie uznano, że to jednak paranoja, z czym nie można się zgodzić.

Ten człowiek, z uwagi na swój krewki charakter, wchodził w konflikty w wieloma ludźmi. Natomiast w prawdziwym obłądnie, czyli paranoi, wrogość i agresja są ukierunkowane na jeden cel: konkretną osobę lub grupę osób, np. hodowców gołębi, organizację lub partię polityczną. Takie zachowania są „konsekwentne, zwarte, logiczne, usystematyzowane, przekonujące”. Natomiast jeśli ktoś, tak jak zabójca podróżniczki, ma wieczne pretensje do wszystkich o wszystko, to nie jest paranoja.

Kiedy z kodeksu karnego zniknęła kara śmierci, najsurowszym wyrokiem było 25 lat pozbawienia wolności, a nie dożywocie. Taką właśnie karę wymierzono zabójcy 12-letniej dziewczynki. Zwabił ją do siebie pod jakimś pretekstem, może nawet go znała, dzieci są ufne. Zamysł miał taki – chciał zobaczyć swoją dorosłą partnerkę w kontakcie homoseksualnym, a potem sam nacieszyć się nastolatką. Kiedy już oboje z konkubina zaspokoili swoje żądze, mężczyzna zabił dziewczynkę, włożył ciało do kartonu i wrzucił do Odry.

Został schwytany i przywieziony do mnie na obserwację. Symulował w sposób ekstremalny. Cóż, miał do tego prawo. Napisałem opinię, że jest zdrowy, więc został osądzony i skazany. Ale to nie koniec tej historii.

W połowie odbywania kary doszedł widać do wniosku, że po co ma się męczyć w więzieniu, skoro może trafić do szpitala, a stamtąd być może do

domu. W tym celu zabił współwięźnia, symulując chorobę psychiczną. Myślał, że robi to na tyle skutecznie, że owinie sobie biegle wokół palca. Nie dali się nabrać na jego sztuczki. Dostał dożywocie.

Morderca z wyspy Utøya

Niewiele brakowało, aby z powodu błędnej diagnozy kara ominęła Andersa Breivika – jednego z największych masowych zabójców współczesnej Europy.

22 lipca 2011 roku w stolicy Norwegii doszło do dwóch zamachów terrorystycznych, w których zginęło 77 osób, ponad 100 zostało rannych, a około 300 doznało głębokich urazów psychicznych.

Najpierw w sercu miasta, nieopodal budynków rządowych, eksplodowała bomba. Podłożył ją, przebrany za policjanta, 32-letni norweski prawnik ekstremista Anders Breivik. Korzystając z zamieszania, przedostał się na pobliską wyspę Utøya, gdzie dokonał masakry na młodzieży z letniego obozu norweskiej Partii Pracy. W ciągu 72 minut zastrzelił 69 osób. W międzyczasie zatelefonował na policję, mówiąc, że nazywa się Anders Breivik, jest członkiem antykomunistycznego ruchu oporu, że znajduje się na wyspie Utøya i chce dobrowolnie oddać się w ręce policji. Rozłączył się i strzelał dalej.

Po aresztowaniu oznajmił, że musiał jakoś zapobiec wielokulturowości w Norwegii i „muzułmańskiej inwazji” w Europie. Przedstawiał siebie jako wybrańca, rycerza w krucjacie przeciwko islamowi.

Adwokat Breivika już od początku śledztwa sugerował, że jego klient żył w oderwaniu od rzeczywistości, a poglądy, które prezentował, mogły być niezrozumiałe dla innych ludzi. Trudno zrozumieć kogoś, kto chełpi się masową zbrodnią, pozuje do zdjęć w mundurze i mówi o rzekomej „misji”, jaką ma do spełnienia, a tak właśnie zachowywał się Breivik.

Z oczywistych względów ekstremista wydawał się szaleńcem, bo przecież kto przy zdrowych zmysłach strzelałby do nastolatków. Nie trzeba być psychiatrą ani psychologiem, aby w teatralnych pozach i cynicznych minach demonstrowanych przed kamerami przez Breivika dostrzec narcyzm i megalomanię.

Powołani do sprawy dwaj eksperci dostrzegli znacznie więcej.

– Po trzynastu wywiadach z zabójcą, obejmujących w sumie 36 godzin rozmów, orzekli, że Anders Breivik jest chory na schizofrenię paranoidalną, w związku z tym powinien trafić na leczenie, a nie do więzienia – mówi doktor Pobocho. – W Norwegii zawrzało. Fanatyzm polityczny, realizowany poprzez terroryzm, to nie choroba, ale ideologia. Dla Breivika uznanie go za niepoczytalnego paradoksalnie było porażką: jego teorie zostałyby pogrzebane i nie znalazłby ewentualnych naśladowców. On chciał być ukarany, cierpieć za miliony, a nie przejść do historii jako wariat.

Podobną opinię wygłosił przed sądem w Oslo biegły psycholog: „Jestem w pełni przekonany, że ekstremalne poglądy Breivika należy przypisać politycznemu ekstremizmowi, a nie chorobie” – powiedział.

Wielu doświadczonych psychiatrów publicznie krytykowało ustalenia biegłych. Przekonywali, że zabójca z Utøi musi być zdrowy, skoro napisał liczący 1,5 tys. stron manifest, posługując się płynnie językiem angielskim. Kontroluje emocje, robi wrażenie inteligentnego i świadomego swych czynów. Do popełnienia zbrodni przygotowywał się długo i drobiazgowo, podczas gdy osoby niepoczytalne zwykle nie planują swego postępowania w sposób tak systematyczny.

W styczniu 2012 roku Sąd Okręgowy w Oslo zlecił przeprowadzenie dodatkowych badań psychiatrycznych ekstremisty (choć on sam zastrzegł, że nie wyrazi na nie zgody!).

– Powołanie kolejnych biegłych jest konieczne ze względu na szeroką krytykę, jaką wywołała wstępna diagnoza, zgodnie z którą Breivik jest chory na schizofrenię – powiedziała na konferencji prasowej sędzia Wenche Elizabeth Arntzen. – Decyzja sądu nie zakłada żadnej krytyki pierwszych ekspertów, ale wynika z konieczności jak najlepszego wyjaśnienia sprawy.

Specjaliści Agnar Aspaas i Terje Tørrissen, którym sąd zlecił ponowne zbadanie Breivika, rozpoznali u niego ciężkie, narcystyczne zaburzenie osobowości w połączeniu z pseudologią fantastyczną, czyli patologiczną skłonnością do kłamstwa. Orzekli, że podkładając bombę w rządowej dzielnicy w Oslo i strzelając do nastolatków na wyspie Utøya, był w pełni poczytalny, zatem może być sądzony i skazany.

Tuż przed ogłoszeniem ich opinii adwokat zabójcy poinformował jedną z norweskich gazet, że jego klient świadomie oszukał pierwszy zespół biegłych. Podczas badania starał się sprawiać wrażenie bardziej

agresywnego i impulsywnego, niż jest w rzeczywistości. Dali się na to nabrać.

– **Co pan na to, doktorze?**

– Breivikowi udało się zmanipulować doświadczonych psychiatrów do tego stopnia, by rozpoznali u niego schizofrenię paranoidalną.

– **Jak ich nabral?**

– Klasycznie. Powiedział: „Zgaduję myśli innych ludzi”, a lekarze uznali to za urojenie. „Aaa, zna myśli ludzi – typowy objaw schizofrenii”, stwierdzili zapewne. Natomiast drugi skład biegłych poszedł dalej.

– Na jakiej podstawie pan tak uważa? – zapytali Breivika.

– A na takiej, że przez lata pracowałem w telemarketingu i w trakcie rozmów z klientami odgadywałem ich oczekiwania – odpowiedział.

– Mówi pan o sprzedaży towarów na telefon? – dociekali.

– Dokładnie. Nauczyłem się trafiać w zapotrzebowanie klientów. Wiedziałem, jak ich podejść, czego oczekują, jakie słowa chcieliby usłyszeć. W tym sensie faktycznie znałem myśli innych ludzi.

On to powiedział w przerośni, a psychiatrzy z pierwszego składu odebrali dosłownie i stwierdzili urojenia.

– **Totalna porażka biegłych.**

– Breivik mówił wiele niesamowitych rzeczy, stąd te wnioski. Uważał siebie za wybrańca, który ma zbawić Norwegię, pana życia i śmierci, najdoskonalszego rycerza od czasów drugiej wojny światowej. Proponował przeprowadzenie testów DNA szczątków króla Olafa Świętego, który wprowadził chrześcijaństwo w Norwegii, aby wyodrębnić najlepsze cechy genetyczne dla przyszłego króla.

W czasopiśmie naukowym wydawanym przez Światowe Towarzystwo Psychiatryczne opublikowano tekst o kazusie Breivika, ku przestrodze wszystkim psychiatrom. Jego autorką była niezwiązana ze sprawą psychiatra z Norwegii ¹, która krok po kroku ukazała, do jakich pomyłek

może dojść, gdy analiza ludzkiej psychiki jest niedokładna i powierzchowna.

W sierpniu 2012 roku wobec Breivika orzeczono najsurowszą z przewidzianych w Norwegii karę 21 lat więzienia. O przedterminowe warunkowe zwolnienie będzie mógł się ubiegać nie wcześniej niż po 10 latach. Sąd może bezterminowo przedłużać mu karę, jeśli wciąż będzie stanowił zagrożenie dla społeczeństwa.

– W Norwegii już pojawili się ludzie, którzy głoszą, że Breivik dobrze zrobił, że miał rację – podsumowuje doktor Pobocho. – Chodziło mu o emigrantów, którzy zalewają Europę, chciał wstrząsnąć opinią publiczną. Zrobił to w sposób makabryczny, ale przekaz pozostał. Norweskie prawo jest bardzo liberalne, pewnie go kiedyś zwolnią...

Prasówka:

–
„Niespełna pięć lat po tamtej tragedii Anders Breivik oskarżył Norwegię, że przetrzymując go w odosobnieniu i cenzurując listy, narusza dwa artykuły europejskiej konwencji praw człowieka: trzeci, zakazujący tortur, niehumanitarnego i poniżającego traktowania lub karania, oraz ósmy, mówiący o poszanowaniu życia prywatnego, rodzinnego, domu i korespondencji.

Czterodniowy proces traktowany był przez wielu jako kuriozum. Dla Breivika miał być okazją do przypomnienia się światu. Pierwszego dnia powitał zebranych nazistowskim pozdrowieniem. W przemówieniu porównywał się do

Nelsona Mandeli i chwalił wartości wyniesione z *Mein Kampf* Hitlera. Niewielu wierzyło, że ma jakiegokolwiek szansę na wygraną.

Prawnicy zatrudnieni przez państwo mówili, że rygory mieszczą się w granicach tego, co dozwolone, i są konieczne, bo Breivik jest ekstremalnie niebezpieczny. A lekarze, psychologowie i strażnicy więzienni – jedyni ludzie, z którymi terrorysta ma codzienny kontakt – że od czasu uwieżnienia nie zaobserwowali wielkich zmian w jego stanie psychicznym.

Mimo to Sąd Okręgowy w Oslo orzekł, że warunki w więzieniu stanowią nieludzkie traktowanie, wskazując na długą izolację więźnia (drugi zarzut o naruszeniu prawa do życia prywatnego oddalił).

«Zakaz nieludzkiego bądź poniżającego traktowania jest fundamentalną wartością w demokratycznym społeczeństwie. Stosuje się go bez wyjątków, włączając w to traktowanie terrorystów i morderców» – napisała w oświadczeniu sędzia Helen Andenaes Sekulic i zarządziła, że Norwegia ma zwrócić terrorystyce 330 tys. koron (nieco ponad 150 tys. zł) kosztów procesowych.

Breivik ma dostęp do trzech cel w więzieniu w Skien: podstawowej z łóżkiem, pokoju do pracy i pomieszczenia do ćwiczeń fizycznych. Może gotować, oglądać telewizję, korzystać z komputera (choć bez dostępu do internetu) i grać na konsoli. Na sali sądowej skarżył się m.in. na to, że musi używać plastikowych sztućców, nie dostaje termosu na ciepłą kawę i zdarza mu się dwa dni z rzędu jeść to samo. Poważniejsze zarzuty dotyczyły częstych przeszukań, podczas których musi się rozbierać, i skuwania go kajdankami podczas przeprowadzania z celi do celi”.

—

(Marek Czarnecki, *Anders Breivik wygrał proces z Norwegią. Sąd uznał, że jest nieludzko traktowany.*

1. Ingrid Melle, *The Breivik case and what psychiatrists can learn from it*, „World Psychiatry” luty 2013, 12(1), s. 16–21. [\[wróć\]](#)

Rozdział 6

Światełko do nieba

„Gdańsk jest szczodry. Gdańsk dzieli się dobrem. Gdańsk chce być miastem solidarności. To jest cudowny czas dzielenia się dobrem. Jesteście kochani. Gdańsk jest najcudowniejszym miastem na świecie. Dziękuję wam!”

Te słowa, wypowiedziane 13 stycznia 2019 roku przez prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza podczas finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, poprzedziły morderczy atak. Była godzina 20. Przed sceną na Targu Węglowym kłębiły się tłumy. Ludzie wyciągali zapalniczki, uruchamiali latarki w telefonach komórkowych, żeby wypuścić „światełko do nieba”.

Prezydent stał uśmiechnięty, z zimnymi ogniami w ręce, szczęśliwy. Odliczał razem z tłumem: „Trzy, dwa, jeden...”.

Mężczyzna z wojskowym nożem wybiegł zza kulis i zadał mu trzy ciosy. Paweł Adamowicz zachwiał się, złapał za brzuch, osunął na deski. Po chwili stracił przytomność. „Medyk! Medyk!” – rozległy się okrzyki.

Napastnik, wymachując nożem, triumfalnie paradował po scenie. Wyrwał mikrofon prowadzącemu i wykrzyczał monolog: „Halo, halo, nazywam się Stefan W. Siedziałem niewinny w więzieniu. Platforma Obywatelska mnie torturowała. Dlatego właśnie zginął Adamowicz”.

Spacyfikowany przez pracownika obsługi technicznej, zachował się jak żołnierz po kapitulacji: bez słowa sprzeciwu leżał na deskach z szeroko rozłożonymi ramionami. Ktoś zabrał mu nóż, ktoś wzywał policję, ktoś płakał.

Paweł Adamowicz zmarł następnego dnia, tuż po godzinie 14, w Centrum Medycyny Inwazyjnej w Gdańsku.

Wkrótce cała Polska dowiedziała się, że zabójca ma 27 lat, cierpi na zaburzenia psychiczne i ma ekstremistyczne poglądy.

– Doktorze, jakie miał pan refleksje po zabójstwie prezydenta Gdańska?

– Jak wszyscy w Polsce oglądałem, wielokrotnie powtarzane, ujęcia z ataku na Pawła Adamowicza. Zaskoczyła mnie reakcja sprawcy bezpośrednio po zbrodni. Chodził po scenie z uniesionymi rękoma, triumfował, jakby dokonał wielkiego, wręcz bohaterskiego czynu na polu walki. Było to zachowanie wyjątkowe, można powiedzieć, że nawet teatralne. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek spotkał się z podobnym przypadkiem.

Pomyślałem też, że on chciał zwrócić na siebie uwagę, a moment, który wybrał, gwarantował mu rozgłos. Mógł wykrzyknąć do mikrofonu, kim jest, jaka mu się stała krzywda, kto jest temu winien i dlaczego to zrobił. Miał widownię, a kamery telewizyjne wszystko rejestrowały. Później dowiedziałem się z mediów, że Stefan W. zapowiadał zrobienie czegoś spektakularnego, o czym będzie głośno. Dopiął swego, przeszedł do historii podobnie jak Herostrates, szewc z Efezu, który spalił Artemizjon, jeden z siedmiu cudów świata, i do dziś ma miejsce w podręcznikach historii. Tacy ludzie potrzebują sławy, i to nawet za cenę własnego życia.

Zwróciłem uwagę, że zabójca uderzał tak, by zabić – od dołu, przez przeponę, w stronę serca. Ciosy zadawał z wyjątkową precyzją, jakby przeszedł specjalistyczne szkolenie. Po wszystkim nie uciekał, nie chował się, a w prokuraturze nie przyznał się do tego, co zrobił, chociaż sprawa była ewidentna.

Przecież to absurdalne zachowanie.

Wariat czy polityczny ekstremista

Opublikowany po śmierci prezydenta Pawła Adamowicza komunikat Prokuratury Krajowej nie pozostawiał złudzeń: „Zgromadzony w sprawie materiał dowodowy wskazuje, że zachodzą wątpliwości co do poczytalności Stefana W.” – napisano. Nieoficjalnie mówiono o jego schizofrenii paranoidalnej i o tym, że po wyjściu z więzienia, gdzie odbywał karę 5,5 lat pozbawienia wolności za napady na banki, odstawił leki.

– Takich szaleńców może wśród nas się trochę pojawić, ludzi niezrównoważonych. Z tego, co już wiemy, to właśnie ten przypadek jest taki – powiedział podczas konferencji prasowej wiceszef MSWiA Jarosław Zieliński.

Przez Polskę przetoczyła się dyskusja o mowie nienawiści i politykach, których wypowiedzi mogły inspirować do zbrodni. „To był mord człowieka, który chciał przejść do historii. Drapieżnik, inteligentny, to nie jest wariat” – powiedział w programie *Rozmowa Piaseckiego* TVN24 prof. Andrzej Rzepliński, były prezes Trybunału Konstytucyjnego.

– Z badań wynika, że wszystkie napaści na osoby, które pełnią jakieś funkcje polityczne w Europie, zostały dokonane przez ludzi, którzy mieli różnego rodzaju zaburzenia psychiczne – mówi doktor Pobocho. – Oczywiście są wyjątki od reguły, np. sprawa Ryszarda C., który w 2010 roku napadł na biuro poselskie PiS w Łodzi. Zabił pracownika biura z przyczyn ideologicznych, bo czuł się powołany, aby „zrobić z tym porządek”. Biegli orzekli, że sprawca był poczytalny. Dostał dożywocie.

Wśród wielu komentarzy po zabójstwie prezydenta Gdańska pojawił się m.in. taki, że skoro sprawca tak doskonale wszystko zaplanował, to udawanie choroby psychicznej – jeszcze w więzieniu – mogło być również częścią jego planu. To zapewne jedna z hipotez rozważana przez biegłych. Sam nie raz opiniowałem przestępców, którzy przygotowali się do zbrodni, gromadząc dokumentację psychiatryczną.

Po dramacie na scenie WOŚP wytykano, że Służba Więzienna nie zawnioskowała o przymusowe leczenie Stefana W., a policja nie wykazała należytej czujności – matka sprawcy kilka dni wcześniej przysłała na komisariat i zasygnalizowała zagrożenie. Mówiła, że po wyjściu z zakładu karnego syn przestał brać leki na schizofrenię i „może zrobić coś strasznego”. Nikt się tym specjalnie nie przejął.

Nastąpiło – jak zwykle, gdy dochodzi do tragedii – publiczne pranie brudów i przerzucanie się odpowiedzialnością. Przedstawiciele policji przekonywali, że „nie było podstaw, aby pilnować Stefana W. ani zmuszać go do brania tabletek”. Służba Więzienna zasłaniała się argumentem, że „wykonuje zarządzenia sądu, a w tej konkretnej sprawie takich nie było”. Przecież zabójca prezydenta Gdańska odbył swoją karę i był wolnym człowiekiem – powtarzano.

– Aktualne przepisy umożliwiają jednak umieszczenie osoby, która kończy karę pozbawienia wolności, w szpitalu psychiatrycznym, jeśli zachodzą przesłanki zgodne z Ustawą o ochronie zdrowia psychicznego – zauważa doktor Pobocho. – Zrobił tak doktor medycyny Leszek Ciszewski – konsultant-psychiatra Zakładu Karnego w Starogardzie Gdańskim. Po stwierdzeniu psychozy więźnia, którego kara właśnie dobiegła końca, wysłał go karetką pogotowia do szpitala psychiatrycznego, gdzie został przyjęty i był skutecznie leczony.

I kolejna sprawa: nikt nie potraktował poważnie intuicji matki, a przecież to ona dostrzegła to, czego nie widział nikt inny – podkreśla psychiatra. – W genialny sposób przewidziała tragedię. Policja powinna była skierować ją do pracowników Służby Więziennej, wtedy informacja o zamiarach Stefana W. byłaby pełniejsza. Można było zrobić profesjonalną prognozę kryminalistyczną, tak jak to robią np. Niemcy. Są do tego konkretne narzędzia, skale, a margines błędu to 10 procent.

Polskie Towarzystwo Psychiatrii Sądowej od dziesięciu lat organizuje darmowe konferencje dotyczące różnych zagadnień, między innymi również robienia takich prognoz. Psychiatrzy jednak unikają tych szkoleń. To samo dotyczy psychologów więziennych i wychowawców. Chcę powiedzieć, że kadra nie korzysta z możliwości, jakie mamy w Polsce. A przykład z Gdańska też nam uzmysławia, że w każdej dziedzinie wiedzy, także w psychiatrii sądowej, trzeba się nieustannie szkolić. Zdobyta przed laty wiedza ze studiów to za mało. Ja też stale się uczę.

Prasówka:

—
Matka o synu-zabójcy:

„Osiem dni przed wyjściem syna z więzienia posłam na policję i ostrzegłam, że Stefan może zrobić coś nieobliczalnego. Uważałam, że nie powinien wychodzić albo ktoś powinien go obserwować. Ale usłyszałam, że nie ma podstaw, że zgłoszą tylko swoje wątpliwości zakładowi karnemu. Nikt się ze mną później nie kontaktował. Skończyłam resocjalizację, rozumiałam, co się dzieje, ale skoro mój syn został wypuszczony, nie wińcie mnie, proszę, ani moich dzieci. Co mieliśmy zrobić?”

Jako matka wciąż go kocham. Tylko rozpaczam, że zrobił coś strasznego. Tyle osób skrzywdził, prezydenta, jego rodzinę, nas... A ja nadal jestem matką (płacze). To najtrudniejsze uczucie, jakie można sobie wyobrazić. Urodziłam syna, który zabił człowieka, i muszę z tym żyć. Ale nigdy się go nie wyrzeknę. Będę z tym cierpieniem już do końca życia, choć syna straciłam na zawsze. Na wolności najpewniej już go nie zobaczę.

W trakcie ostatniego, listopadowego widzenia znów mówił, że wydarzyła mu się krzywda. Zdrowie mi zniszczyli, powtarzał, i że zrobi coś spektakularnego. Wystraszyłam się. Niektórzy z rodziny nie chcieli go już odwiedzać. To się zaczęło jeszcze w Gdańsku. Kiedy był w areszcie, przydzielono mu status więźnia niebezpiecznego i prawie dwa lata spędził w izolatce, to było coś strasznego, przebywał w pojedynczej celi. Najpierw miał tam tylko radiowęzeł, potem pozwolono, byśmy mu przynieśli mały telewizor. I pewnego dnia powiedział mi, że z tego telewizora wychodzą głowy.

Gdy trafił do więzienia w Malborku, poprosiłam o konsultację. Zawieźli go do Szczecina, gdzie stwierdzono schizofrenię paranoidalną. Wrócił, jakiś czas brał leki, ale przestał. Wtedy powiedział, że słyszy głosy, że w gdańskim areszcie był podtruwany, zniszczono mu żołądek, ktoś się znęcał. Nie wiem, czy to fakty, czy urojenia, ale zaczął żyć

tym, że został niesprawiedliwie potraktowany. Ostatni rok był w Gdańsku-Przeróbce, zakładzie półotwartym. Podejrzewam, że to tam naoglądał się różnych wiadomości na kanałach informacyjnych i wmówił sobie niechęć do PO. Wcześniej nigdy o tym nie mówił. Tam najczęściej wracał do tego, że w więzieniu zmarnowali mu życie. Nie rozumiał, i nie dało mu się wytłumaczyć, dlaczego dostał ponad pięć i pół roku za napady na placówki bankowe. Uważał, że skoro napadał z atrapą, powinien dostać lżejszą karę. Nie mogłam mu wytłumaczyć, że to nie ma znaczenia”.

— (Katarzyna Włodkowska, Wywiad z matką Stefana W. „Przepraszam za syna i proszę o wybaczenie”, „Duży Format”, 21.01.2019).

Więzień konsultowany

Media pytały mnie wtedy m.in., jak to możliwe, że wielokrotnie konsultowany psychiatrycznie – podczas odbywania kary – przestępca wyszedł z więzienia i nikt go nie kontrolował – kontynuuje doktor Pobocho. – Tłumaczyłem dziennikarzom, że te jego dwadzieścia konsultacji psychiatrycznych może wydawać się ewenementem, ale taka liczba spotkań z psychiatrą całkowicie mieści się w normie. Psycholog lub wychowawca wnioskuje o takie konsultacje, gdy więźniowie skarżą się na bezsenność, stany depresyjne czy myśli samobójcze. Osadzeni bardzo lubią wizyty u lekarza. Mają sposobność pozyskania leków psychotropowych, a to w więzieniu cenny towar. Mogą je potem wymienić chociażby na papierosy, które są za kratami najwyższym dobrem.

Zabójstwo Pawła Adamowicza obnażyło lukę w przepisach: nie ma w Polsce podstaw prawnych, aby Służba Więzienna była zobligowana do przekazywania poradniom psychiatrycznym informacji, że właśnie kończy odbywać karę osoba z zaburzeniami i skłonnościami do zachowań przestępczych. Mam nadzieję, że to się zmieni. Ktoś taki po wyjściu

z więzienia powinien obligatoryjnie trafiać pod opiekę psychiatrycznej służby zdrowia i być systematycznie leczony.

Jeśli odmówi leczenia, co przecież może się zdarzyć, to z mocy ustawy natychmiast powinno być wdrożone leczenie przymusowe. W obecnym kształcie Ustawa o ochronie zdrowia psychicznego nie zapewnia w pełni takich możliwości. Chroni przede wszystkim wolność człowieka z zaburzeniami, dopuszczając ewentualność, że może on kogoś zranić lub zabić.

Ten humanitaryzm, który mamy w Polsce, jest nadmierny, dlatego po tragedii w Gdańsku niezwłocznie napisałem apel do ministra sprawiedliwości i ministra zdrowia, aby wydali tymczasowe zarządzenie dotyczące obowiązku informowania poradni zdrowia psychicznego o więźniach, którzy mają opuścić zakład karny, a zdiagnozowano u nich choroby i byli leczeni psychiatrycznie. Nie dostałem żadnej odpowiedzi.

Postawmy sprawę jasno: największym problemem osób ze zdiagnozowaną schizofrenią jest przerywanie leczenia. Nie trzeba chorego zamykać do końca życia w zakładzie psychiatrycznym, ponieważ dzisiejsza farmakologia pozwala na systematyczne leczenie ambulatoryjne. Człowiek może normalnie żyć, pracować i nie stwarzać zagrożenia. Jedynym warunkiem jest przyjmowanie leków. Jeśli jest inaczej – zagrożenie związane z psychozą wraca, i tak prawdopodobnie było w przypadku gdańskim.

Mówimy więc o przymusowym leczeniu, kontrolowanym, ale takim, które nie ogranicza wolności.

Prasówka:

—

Współwięzień o zabójcy prezydenta Gdańska:

„Stefan W. nie był rozmownym facetem. Może dlatego, że przez cały czas brał leki. Dostawał je od pielęgniarki. Ona przychodziła do celi z oddziałowym. Nie jestem pewien, ale zjawiała się raz albo dwa razy dziennie. Wspominał, że to jakieś leki na uspokojenie. Albo nawet psychotropy. Nie mogę wykluczyć psychotropów, bo on nigdy nie wyglądał na normalnego.

Myślę, że nigdy nie był normalny. Widziałem to po jego zachowaniu. Szczególnie po oczach. Teraz jestem na wolności i mam sąsiada ze schizofrenią paranoidalną. Na co dzień jest taki, jaki Stefan był przeważnie w celi – spokojny i powolny. Ale wystarczy, że nie weźmie leków przez dwa dni, i nagle w jego oczach widać furiata. Ja dostrzegałem to samo w Stefanie. Nie widziałem jednak szaleństwa, bo brał leki. Ale potrafił zachowywać się dziwnie.

Mówił, że gdzieś go leczono psychiatrycznie. Potrafił jednak czasem mówić, że próbowali z niego zrobić kogoś szurniętego. Ale twierdził, że bierze leki, bo jest dzięki nim spokojniejszy. Nie zdradził jednak, na co choruje.

Uważam, że na 99 procent Stefan niczego nie planował. On naprawdę miał coś z głową. Funkcjonował normalnie, dopóki dbano o jego leki. Widocznie, jak przestał brać leki na wolności, to wróciły do niego wszystkie wcześniejsze demony. To był bon vivant. Żył chwilą obecną. Mógł sobie chodzić po Gdańsku i nagle coś mu odbiło. Zresztą widziałem na filmie, że cieszył się i podskakiwał po zadaniu tych ciosów nożem. Czy tak zachowuje się ktoś normalny? Teraz niektórzy nawet piszą, że on był wyszkolonym płatnym zabójcą. A czy tak się zachowuje płatny zabójca? Moim zdaniem nie. Tak się zachowuje kretyn”.

—
(Mikołaj Podolski, *Współwięzień z celi Stefana W.: dla niego najważniejsze były pieniądze i sława*, Onet.pl,

Kiedy oddajemy tę książkę do druku, Prokuratura Okręgowa w Gdańsku nie poinformowała jeszcze o wynikach obserwacji psychiatrycznej Stefana W. Zabójca prezydenta Gdańska stanie przed sądem, tylko jeśli biegli orzekną, że w trakcie zadawania śmiertelnych ciosów był poczytalny.

Kukułcze jajo

Schizofrenia, tak często rozpoznawana u zabójców, uchodzi za najcięższą, przewlekłą chorobę psychiczną. Cierpi na nią niecały procent populacji (0,4–0,8 procent). W Polsce to ponad 300 tysięcy przypadków o różnym stopniu nasilenia, czyli całkiem spore miasto. Towarzyszą jej halucynacje i urojenia – o spisku, zdradzie, wykradaniu myśli i działaniu mrocznych sił, z którymi trzeba walczyć na śmierć i życie. Wszystko to prowadzi do rozszczepienia osobowości – chory nie wie, kim naprawdę jest, zatracą kontakt z rzeczywistością. W (urojonej) obronie własnej przed prześladowcą lub namawiany przez głosy – zabija.

Chorobę wyodrębniono i opisano dopiero pod koniec XIX wieku. Wcześniej uważano, że to złe moce czynią z człowieka szaleńca, więc pacjentów leczono egzorcyzmami. Schizofrenia ma wiele odmian i chociaż ocieplił ją film *Piękny umysł*¹ z Russellem Crowe'em w roli genialnego matematyka, to niekiedy może być wyjątkowo niebezpieczna. Szczególnie schizofrenia paranoidalna, przekleństwo dla chorych, przekleństwo dla ich rodzin.

Szaleniec ze Szczecina zdradę żony widział jak na dłoni: gdy rozmawiała przez telefon, wychodziła z domu lub brała kąpiel. Był pewien, że ma kochankę, może nawet wielu. Nie wierzył, gdy mówiła, że wychodzi z domu, ponieważ trzeba zrobić zakupy i opłacić rachunki. „Wiedział”, że wymyka się na spotkanie z innym. Postanowił z tym skończyć.

Kiedy kolejną noc z rzędu „niewierna” żona spędziła poza domem, wyszedł ją i zmasakrował nożem, tnąc także oczy, którymi – jak twierdził – spoglądała na kochanka. Kobiety nie udało się uratować.

Tamtą grudniową noc 2007 roku żona szaleńca spędziła u syna. Zawsze szukała u niego schronienia, gdy objawy choroby męża się nasilały. Żyła nadzieją, że kiedyś ten koszmar się skończy. Krajowa Komisja Psychiatryczna, czyli dziewięcioosobowe grono złożone z szacownych lekarzy i przedstawiciele Ministerstwa Zdrowia, stwierdziła przecież, że jej mąż stanowi poważne zagrożenie, a sąd orzekł wobec niego przymusowe leczenie w szpitalu psychiatrycznym. Ale decyzja pozostała na papierze – w szpitalu w Międzyrzeczu, gdzie miał trafić, przez szesnaście miesięcy nie było wolnego miejsca, a gdy już się zwolniło, schizofrenik złamał nogę. Termin przyjęcia na oddział znów się przesunął.

Niebawem patrol policji zabrał jej męża na komendę, bo zachowywał się irracjonalnie, jak po dopalaczach. Tego samego dnia lekarze wypisali go do domu. Dziewięć dni później zamordował żonę. Nikomu nie przyszło na myśl, że można go było umieścić w innym szpitalu, gdzie mieli wolne miejsca.

– Szczecińskiemu sądowi zabrakło determinacji w wyegzekwowaniu własnego orzeczenia – powiedział wtedy autorce doktor Ryszard Wardeński z Krajowej Komisji Psychiatrycznej [artykuł nawiązujący do tej bulwersującej sprawy ukazał się w „Focusie Śledczym” – przyp. aut.].

Odpowiedzialność karna za tamtą tragedię spadła na policjantów. Prokuratura Rejonowa w Pyrzycach oskarżyła ich o niedopełnienie obowiązków, ale sąd w Stargardzie warunkowo umorzył postępowanie.

– Od tamtej pory wydarzyło się w Polsce wiele analogicznych spraw – dodał doktor Wardeński, sugerując, że problem chorych psychicznie jest w Polsce lekceważony – przez organy ścigania, wymiar sprawiedliwości i służbę zdrowia, dla której istotny jest brak wolnego łóżka na oddziale, a nie realne zagrożenie ze strony agresywnego schizofrenika pozostawionego na wolności.

Każdego roku z ręki szaleńców ginie w Polsce co najmniej kilkanaście osób. Każdego dnia funkcjonariusze w całym kraju są wzywani do kilkudziesięciu, a nawet kilkuset agresywnie zachowujących się chorych psychicznie. Jeśli coś pójdzie nie tak i ktoś zginie, najłatwiej obwinić policję: bo „działała nieprofesjonalnie”, „nie przyjechała na czas” albo

„przyjechała i odjechała”. Tymczasem problem jest bardziej złożony. Nikt nie chce uderzyć się w pierś, chociaż winę za taki stan rzeczy ponoszą także lekarze, prokuratorzy i sędziowie, którzy zamiast zapobiec – poniekąd przyzwalają na tragiczny finał.

Śmierć z rąk paranoików najczęściej dotyka członków rodziny. Kiedy objawy choroby się nasilają, przerażeni i zagrożeni bliscy zdani są wyłącznie na siebie. Tak jak kilka lat temu, gdy żona schizofrenika z dzielnicy Warszawa Włochy została pocięta nożem, polana benzyną i podpalona. Prawda o tamtej zbrodni miała drugie dno. Morderca był niegdyś pacjentem psychiatrycznym. Trafił do szpitala po tym, jak zabił swoją pierwszą żonę i próbował popełnić samobójstwo. Odratowano go, zamknięto na kilka lat na oddziale dla osób z zaburzeniami, podleczone i wypuszczono do domu. Jego druga żona nie знаła mrocznej przeszłości męża. Kiedy ją poznała – szukała pomocy na policji, prosiła o ochronę. Ale jej nie dostała.

Do podobnej tragedii doszło w Sieradzu. Chory psychicznie przestępca, karany w przeszłości za znęcanie się nad rodziną, zastrzelił żonę i popełnił samobójstwo. Wszyscy w okolicy spekulowali, że kiedyś dojdzie do tragedii. Wszyscy współczuli, ale nikt nie pomógł.

Skąd te demony

– Panie doktorze, skąd się bierze schizofrenia?

– Choroba może być uwarunkowana genetycznie. Badano to na tak zwanym modelu bliźniąt jednojajowych. Opisano przypadki, gdy jedno z bliźniąt zapadało na schizofrenię, a drugie spotykał ten sam los zaledwie po paru godzinach. Zachorowali tego samego dnia. Ciekawe, że rodzeństwo jednojajowe, wychowywane w różnych rodzinach, nie podlega tym samym regułom. Te same geny w odmiennych środowiskach zachowują się inaczej. Przypadki zachorowań u takich bliźniąt zdarzają się na poziomie 20–30 procent.

– Choroba w rodzinie zwiększa zagrożenie?

– Jeżeli jedno z rodziców było schizofrenikiem, to u dzieci występuje ryzyko pojawienia się choroby w granicach 15–20 procent, czyli co piąte będzie chore. Pozostałe mogą mieć zaburzenia osobowości lub skłonność do uzależnień.

– **Wszystkie?**

– Nie wszystkie, wyniki badań są statystyczne, czyli w jednej rodzinie wszyscy mogą chorować, a w drugiej nikt. To nie jest tak, że każda rodzina schizofreników dostaje od losu swoją dolę, nie, nie...

Druga teoria dotycząca genezy schizofrenii – neurorozwojowa – głosi, że wywołują ją czynniki niekorzystne dla płodu: promieniowanie kosmiczne, zatrucia, czynniki ekologiczne i choroby w okresie ciąży. W psychiatrii mówimy też o czynnikach wyzwalających, porównywanych do naciśnięcia na spust. W broni dochodzi do wystrzału, uwolnienia pocisku, u człowieka – eksplozji choroby.

– **Jakie to czynniki?**

– Uraz głowy, ciężka choroba somatyczna, a dla kobiet – gwałt. Ciężki uraz psychiczny może prowadzić do psychozy.

Schizofrenia to skomplikowana choroba, ale leczy się ją coraz lepiej. Kiedyś trzeba było garściami łykać tabletki. Teraz mamy już w Polsce zastrzyki, które działają przez miesiąc. Dwanaście iniekcji w roku i człowiek już nie jest wykluczony z życia. Terapii nie można zaprzestać.

Pamiętam pacjenta, który w latach 90. przyjmował świetny polski lek w zastrzyku. Niestety firma farmaceutyczna zaprzestała jego produkcji. Chory musiał przestawić się na tabletki, ale nie miał takiego nawyku. Raz zapomniał, innym razem wziął za małą dawkę albo w ogóle nie zażył leku. Nastąpił wybuch psychozy. Mężczyzna młotkiem zatłukł żonę. Trafił do nas, diagnoza – niepoczytalny.

Jest też inne zagrożenie związane z przyjmowaniem leków. Nawet najlepiej dobrane zastrzyki czy tabletki nie dają stuprocentowej gwarancji, że nie nastąpi nagły atak choroby. Znam przypadek, gdy schizofrenik

systematycznie przyjmował środki farmakologiczne, był pod stałą opieką świetnego psychiatry, a pewnego dnia w centrum Gdyni podbiegł do kobiety z wózkiem i zasztyletował niemowlę.

1. „Film *Piękny umysł* to opowieść o życiu profesora Johna Nasha (ur. 1928), wybitnego amerykańskiego matematyka i noblisty. Nash przez całe życie cierpiał na schizofrenię paranoidalną, miał urojenia utrudniające ocenę rzeczywistości i komplikujące codzienne funkcjonowanie. Zrujnowało to jego relacje z bliskimi. Dzięki leczeniu (Nash trafił do szpitala psychiatrycznego w 1959 r.), wytrwałej pracy i geniuszowi udało mu się z czasem wrócić do nauczania akademickiego, od którego odsunięto go z powodu choroby. W 1994 r. został jednym ze współlaureatów Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii. Prowadził badania nad teorią gier, jego nazwisko nosi koncept równowagi Nasha” (Piotr Janczarek, *Schizofrenia – nieszczęście i dar*, www.medonet.pl). [[wróć](#)]

Rozdział 7

Zabójcze psychozy

Schizofrenik z Siedlec miał łagodne rysy twarzy i uśmiech dziecka. Mieszkał z matką, która opiekowała się nim z największą troską. Rozumiała, czym jest choroba syna, pilnowała, aby regularnie zażywał leki. Któregoś wieczoru usiedli do kolacji. Nic nie zapowiadało tragedii. Mężczyzna znenacka zaatakował matkę, ponieważ podała mu na talerzu nie to, czego oczekiwał. Wbił jej w gałki oczne dwie łyżeczki od herbaty tak głęboko, że były całe w mózgu i tylko czubki wystawały. Niewyobrażalne okrucieństwo. Irracjonalne i nieprzewidywalne.

Inny podopieczny szpitala psychiatrycznego uchodził za wyjątkowo cichego, lęklivego i niekłopotliwego pacjenta. Zawsze wszystkim ustępował, nigdy nie był agresywny. Któregoś dnia podczas śniadania – na sali było dwadzieścia pięć osób – podszedł do innego pacjenta i wbił mu nóż w plecy. Mówił później lekarzom, że przestraszył się tamtego człowieka, który trafił do kliniki po dotkliwym pobiciu, był cały siny i przez to wyglądał „niesamowicie”.

Psychozy są irracjonalne, nieprzewidywalne i dlatego są tak groźne – mówią psychiatrzy, nie ukrywając, że nie mają możliwości przewidywania zachowań osób chorych. Nawet w ośrodkach zamkniętych, gdzie leki podawane są regularnie, dochodzi do dramatów. Przed laty schizofrenik ze szpitala w Grajewie zabił kobietę śpiącą w sali obok. Śmiertelne rany zadał wieczkiem od puszki konserw. Pacjent szpitala w Gryficach zabił innego pacjenta, bo „miał z nim konflikt”. Psychiatrzy w całej Polsce zamarli na wieść, że dyrektor szpitala psychiatrycznego w Bolesławcu został napadnięty przez schizofrenika we własnym gabinecie. Lekarz doznał ciężkich obrażeń, musiał przejść na rentę. Inny chory psychicznie mężczyzna zabił siekierą lekarkę z Poznania, gdyż uroił sobie, że podczas zabiegu laryngologicznego „zrobiła mu krzywdę”.

Zagrożenie nie ominęło doktora Jerzego Pobochoy. Podczas interwencji w domu jednego z pacjentów, schizofrenika, ten rzucił się na niego, powalił

na ziemię i skopał po całym ciele. Psychiatra miał połamane żebra, podczas operacji usunięto mu uszkodzoną śledzionę.

Bez hamulców

– Doktorze, dlaczego schizofrenicy zabijają, i to z takim okrucieństwem? Ich zbrodnie są straszne, okropne po prostu...

– Zdarza się, że ludzie w psychozie nie mają hamulców, stąd to okrucieństwo. Zabijają między innymi dlatego, że mają urojenia. Widzą coś, czego nie ma, słyszą głosy, które istnieją jedynie w ich chorych umysłach. Statystycznie nie popełniają więcej przestępstw niż reszta populacji, ale gdy już się dopuszczą zbrodni, to rzeczywiście w sposób zaskakujący, przerażający, bez motywacji. Urojenia najczęściej dotyczą osób najbliższych, więc najbardziej zagrożone są rodziny. Ale oni samych siebie też atakują. Opowiadał mi jeden z profesorów, jak przywieziono do szpitala pacjentkę, która nie mogła się poruszać. Leżąc na łóżku, rozerwała sobie powłoki brzuszne, wyrwała jelita i okręciła je dookoła głowy.

Prasówka:

–
„Jesienny poranek, Ewa K. wraz ze swoją córeczką spacerują po sopockim molo. W czasie tej przechadzki matka nagle wpycha swoje trzyletnie dziecko do wody, które po chwili topi się. Gdy na miejsce przyjeżdża policja, widzi

kobietę zanurzoną do pasa w morzu. Sytuacja nietypowa jak na mroźny poranek, ale później okazuje się, że kobieta chciała jeszcze ratować dziecko, które chwilę wcześniej zrzuciła z mola.

W podobnym czasie zarzut podwójnego zabójstwa mógł usłyszeć student z Warszawy, który najpierw zabił swoją matkę, a następnie pojechał do wujka, którego też z zimną krwią zamordował. W ich oczach miał widzieć diabła, którego chciał wyrzucić.

Rok wcześniej, w połowie września 2010 roku, rozegrała się podobna tragedia, wtedy Mariusz M. zabił siekierą swoją żonę, córkę i syna. Następnie próbował popełnić samobójstwo.

Te trzy historie, poza wstrząsającym przebiegiem, który mógłby posłużyć filmowcom jako gotowy scenariusz, łączy jedno – zdaniem biegłych z zakresu psychiatrii i psychologii wszystkie te osoby są niepoczytalne. A tym samym nie były w stanie rozpoznać znaczenia swoich czynów ani kierować swoim postępowaniem.

Zamiast odsiadywać najcięższy wymiar kary, będą osadzone w zakładzie psychiatrycznym”.

—
(Robert Kulig, Morderstwo bez kary?, Onet.pl, 6.08.2012).

Beznadziejny przypadek Piotra P.

Poczucie winy u chorych psychicznie praktycznie nie istnieje.

– W Starogardzie Gdańskim rozmawiałem z pacjentem, który jednej nocy zabił trzy kobiety – wspomina konsultant tej książki. – Znałem go już wcześniej, napisałem opinię w jego sprawie, stwierdzono u niego niepoczytalność. Mężczyzna przebywa w szpitalu psychiatrycznym

nieprzerwanie od dwunastu lat. Ja widziałem się z nim rok lub dwa lata po zbrodni. Mówił, że nic takiego się nie stało, że chce pracować i kupić sobie mieszkanie. Krytycyzm w przypadku schizofrenii wraca najpóźniej, a czasami nigdy. Przypadek tamtego pacjenta omawiano na wielu konferencjach naukowych, znają go z zajęć studenci medycyny i prawnicy, rozpisywały się o nim gazety. Jest przykładem, że człowiek w psychozie może zniszczyć wszystko, co kochał.

Wróćmy do tamtej historii.

Była ciepła, czerwcową noc. Zbrodnia rozegrała się w mieszkaniu przy ul. Jodłowej w Szczecinie. Mężczyzna chory na schizofrenię paranoidalną miał wtedy 21 lat, był studentem. Podobnie jak bohater filmu Alfreda Hitchcocka pt. *Psychoza*¹, swoje ofiary zaatakował nożem kuchennym, wymierzając każdej z nich po kilkadziesiąt ciosów. Odebrał życie swojej matce i jej dwóm siostram, które przyjechały z daleka, aby go pilnować. Zaraz potem wybiegł na klatkę schodową, otworzył okno i wyskoczył z czwartego piętra. Poza złamaniem kości miednicy nic mu się nie stało – upadł na dach wejścia do klatki schodowej. Sąsiadce, którą obudził hałas, powiedział, że nie wie, co się stało. Prosił, by nikogo nie wzywała.

Zwłoki kobiet odkryto dopiero po trzech dniach. Mieszkańcy z Jodłowej byli w szoku. – Trudno w to uwierzyć – mówili przed kamerami programu *Pod napięciem*, emitowanego w TVN. – To przecież taki cichy, normalnie zachowujący się człowiek. Nigdy nie okazywał agresji.

Przesłuchującym go policjantom Piotr P. opowiadał o strasznych snach i swoim wielkim cierpieniu, jakby ktoś kaleczył go podczas snu. Przebieg zbrodni relacjonował spokojnie, bez emocji. Podkreślał, że kochał matkę i swoje ciotki, ponieważ nigdy nie wyrządziły mu krzywdy.

Tamtej nocy położył się spać w ubraniu. Przebudził się koło pierwszej, wziął z kuchni 20-centymetrowy nóż i ruszył do dużego pokoju, gdzie trzy siostry przysnęły przed telewizorem. Każdej wymierzał ciosy w serce i klatkę piersiową. Ciała ułożył na podłodze tak, by ich kształt przypominał – jak to nazwał – znaczek mercedesa.

Pierwsze objawy psychozy ujawniły się u niego kilka miesięcy wcześniej. Nie jadł, nie pił, miał koszmary. Zaniepokojona matka wezwała pogotowie, prosiła o pomoc psychiatrę. Ale syn odmówił badania, nie

chciał nawet porozmawiać z lekarzem. Karetka odjechała, bo prawo zabraniało leczyć chorego na siłę. Uznano, że nie stwarza zagrożenia dla siebie i otoczenia, ale kobieta odczuwała strach przed własnym dzieckiem. Nie chciała być z nim w domu sam na sam, dlatego poprosiła swoje siostry, żeby przyjechały. Podejrzewała syna o zażywanie narkotyków i związku z sektą. Tymczasem choroba rozwijała się w zastraszającym tempie.

– Po badaniach sądowo-psychiatrycznych biegli rozpoznali u Piotra P. objawy psychozy – mówiła autorce prokurator Jolanta Śliwińska z Prokuratury Okręgowej w Szczecinie. – Nie wypowiedzieli się jednak definitywnie co do jego poczytalności. Złożyli wniosek o przeprowadzenie szczegółowej obserwacji.

Urojenia, omamy i tzw. rozszczepienia osobowości ostatecznie utwierdziły biegłych w przekonaniu, że mają do czynienia z człowiekiem chorym. Piotr P. był wówczas jednym z wielu zabójców skierowanych na obserwację. Na tym samym oddziale umieszczono młodego mężczyznę z Polic, który – odbywając karę w więzieniu – zamordował dwóch skazanych. Tłumaczył potem, że „wymierzał sprawiedliwość”, gdyż kiedyś ktoś o podobnym wyglądzie zgwałcił jego siostrę. Na opinię biegłych czekał też chłopak, który pod wpływem psychozy „wyrwał chwastą”. Tak mówił o ojcu, którego pociął na kawałki. Wkrótce dołączył do nich schizofrenik z Kołobrzegu – zabił dwoje emerytów, gdyż „ZUS miał z nimi za dużo problemów, więc trzeba było pomóc tej instytucji w cięciu kosztów”.

– **Doktorze, skoro psychozy są nieprzewidywalne, a leki nie zawsze działają, to skąd pewność, że po wyjściu ze szpitala chory znów nie zabije?**

– Takiej pewności nie ma. Precyzja prognozy psychiatrycznej to odrębny, niezwykle istotny problem. W przypadku chorób psychicznych przewidywanie przyszłości ze stuprocentową pewnością jest niemożliwe. Przed laty pewien ordynator był przekonany, że jego pacjent, który już podczas leczenia miał wiele swobody, będzie się zachowywał bez zarzutu. Napisał wniosek do sądu, żeby go zwolnić, i sąd to przyklepał. Po opuszczeniu szpitala pacjent odwiedził rodzinę, u której kiedyś pracował.

Ucieszyli się na jego widok, poczęstowali wódką, a on ich wszystkich wymordował. Potem pojechał do kolejnej rodziny i zrobił to samo.

Lekarz w Anglii, który pisze wniosek o zwolnienie pacjenta ze szpitala, bierze na siebie odpowiedzialność za niego. Także odpowiedzialność karną, jeśli pacjent dopuści się zbrodni. W USA jest podobnie, dlatego średni czas izolowania i leczenia niebezpiecznych pacjentów wynosi tam 22,5 roku. W Niemczech chorzy psychicznie zabójcy trzymeni są w szpitalach co najmniej 7,5 lat, a w Polsce wychodzą do domu najczęściej po 5–8 latach.

– Co robić, gdy chory jest już w domu, a zagrożenie powraca?

– Należy wzywać karetkę, w której powinien być psychiatra. W przypadku zagrożenia zdrowia i życia lekarz woła policję i jedzie na miejsce w asyście radiowozu. I to on powinien iść do pacjenta, a nie policjant. Nie można wysyłać karetki z niekompetentnym lekarzem, bo on sobie nie poradzi. Niekompetentnym, czyli nieprzeszkolonym w postępowaniu z chorymi psychicznie. To samo odnosi się do policjantów. Pamiętam pacjentkę przywiezioną do kliniki przez... brygadę antyterrorystyczną.

– Dlaczego przez AT?

– Ponieważ siedziała w oknie na dziesiątym piętrze i mówiła, że wyskoczy. Wielogodzinne negocjacje prowadzone przez policyjnego psychologa nie dały rezultatów, dlatego podjęto decyzję o użyciu AT, żeby ją złapać. Ta kobieta uciekła z kliniki, znów weszła na dziesiąte piętro i stanęła w oknie. Sąsiedzi zaalarmowali policję, dwóch funkcjonariuszy wpadło do mieszkania i wtedy kobieta skoczyła. Trup na miejscu.

Działania policji nie mogą prowadzić do śmierci. Policjanci powinni wejść w sposób niewidoczny. Równie dobrze mogli przysłać straż pożarną z drabiną.

Wynalazki szalonych umysłów

Psychiatrzy rosyjscy opisali przypadek schizofrenika, który uroił sobie, że jest genialnym konstruktorem. Przynosił swoje „wynałazki” do biura patentowego i gdy któregoś razu urzędnik powiedział mu, że jeden z tych wynalazków nie nadaje się do opatentowania – obciął mu głowę.

Nowatorskie pomysły schizofreników są pasjonującym zagadnieniem, ponieważ wyobraźnia twórców w psychozie nie zna granic.

– Większość nadaje się do kosza, to mrzonki – ocenia nasz ekspert. –

W podręcznikach z psychiatrii sądowej znajdziemy wiele ciekawych przykładów, które to potwierdzają. Ja też miałem takich pacjentów. Jednym z nich był inżynier chemik, który w pocie czoła pracował nad stworzeniem podgrzewanych chodników.

– Po co panu podgrzewane chodniki? – pytali lekarze.

– Jest zima, lód się robi – tłumaczył. – Trzeba to wszystko podgrzać, żeby ludzie się nie przewracali.

Od pomysłów głowa mu pęczniała. Postanowił m.in. wynaleźć urządzenie oszczędzające energię przetwarzaną w zasilanie elektryczne, aby nie „uciekała” i była wykorzystywana w stu procentach. Brzmiało zachęcająco, ale to dereizm – myślenie nierealne, oderwane od rzeczywistości.

W chorobie, o której opowiadamy, istnieje tzw. podwójna buchalteria, tak to nazywamy w psychiatrycznym żargonie. Kiedy leki działają, pacjent może funkcjonować normalnie: chodzić do pracy, jeździć autem, przestrzegać norm prawnych i moralnych. Natomiast pod wpływem omamów, urojeń jest całkiem innym człowiekiem.

Inny przykład: pewien polski inżynier wpadł na pomysł, że dobrze by było udowodnić w praktyce zmartwychwstanie. Nikt tego empirycznie nie doświadczył – oznajmił i postanowił przeprowadzić eksperyment na sobie.

– **Jak to zamierzał uczynić?**

– Bardzo prosto: zabić się i zmartwychwstać. Zatrął się sublimatem i zapewne by umarł, gdyby nie sztuczna nerka. Ten sam inżynier złożył do urzędu wnioski patentowe dotyczące systemu nawadniania w rolnictwie. Zastosował nowe tworzywo i wyprodukował giętkie rury. Opatentował

swój pomysł i odniósł sukces. Jego system nawadniania sprawdza się do dziś, a zatem w schizofrenii, poza dereizmem, można myśleć racjonalnie!

Nieszczęśliwi, bo zdrowi?

– Musimy jednak pamiętać, żeby nie stygmatyzować chorych – przestrzega nasz ekspert. – niesprawiedliwe i krzywdzące byłoby postrzeganie wszystkich schizofreników jako potencjalnych zabójców, wśród nich zdarzają się bowiem osoby o wielu talentach, niegroźne dla innych. Obraz kliniczny tej choroby, podobnie jak objawy raka, może być różnorodny. Wiele zależy od osobowości człowieka, jego wychowania i środowiska, w którym funkcjonuje. Nie każdy schizofrenik chwyta za nóż czy siekiere.

Znam wiele przypadków, gdy choroba szła w parze z wybitnymi osiągnięciami naukowymi pacjentów. Bierze się to stąd, że schizofrenicy mają ten swój autyzm, czyli są zamknięci we własnym świecie, izolują się od codziennego chaosu, koncentrują na nauce, badaniach. Nie tracą czasu na analizę sytuacji polityczno-gospodarczej kraju ani relacje z posiedzeń sejmowych. Jeśli regularnie biorą leki, to ich psychoza nie ma (z nielicznymi wyjątkami) przebiegu ekstremalnego. Mogą dokonać w życiu wiele ważnych rzeczy.

Co ich różni od nas, ludzi zdrowych? Otóż my tkwimy w sztywnych ramach historyczno-kulturowych, tak zwanych normach narzucanych nam świadomie lub nieświadomie. Tymczasem oni to wszystko burzą poprzez swój dereizm. My mówimy: „Nie, no muszą być przecież jakieś granice”, a oni wychodzą poza te granice. Dlatego ich świat jest tak bogaty.

Nie od dziś wiadomo, że schizofrenia często dotyka twórców: pisarzy, malarzy, aktorów i tancerzy. Ich zachowania są odmienne od pozostałych przypadków. Środowisko artystyczne, w którym żyją i pracują, ma ogromny wpływ na demonstrację objawów chorobowych – w psychozie talent eksploduje, stąd pojęcie „schizofrenia artystyczna”. Nieżyjący już aktor Mirosław Gruszczyński [związany z Teatrem Klasycznym w Warszawie, a potem Teatrem Polskim i Współczesnym w Szczecinie – przyp. aut.], grając w stanie psychozy, był po prostu genialny! Podobnie jak Wacław Niżyński, wybitny tancerz, a także wielu, wielu innych.

Schizofrenia była chorobą dwóch niemieckich filozofów: Immanuela Kanta oraz Georga Wilhelma Friedricha Hegla, szwedzkiego dramaturga Augusta Strindberga i polskiego pisarza Rafała Wojaczka. Także światowej sławy malarzy: Edvarda Muncha i Vincenta van Gogha.

– Kiedyś przeprowadzono taki eksperyment – kontynuuje psychiatra. – Grupie chorych na schizofrenię i osobom zdrowym pokazywano za pomocą rzutnika różne obrazy. Początkowo figury były zamazane, dopiero z czasem nabierały ostrości, aż stawały się całkiem wyraźne. Trzeba było je opisać na każdym etapie eksperymentu. Porównano wyniki obu grup i gdzie było więcej trafnych odpowiedzi?

– **U schizofreników?**

– Tak!

– **Dlaczego?**

– Bo nie mieli takiego typowego myślenia jak zdrowi. I to właśnie przekłada się na sztukę, która w wydaniu schizofreników jest niesamowita, niepowtarzalna, wyjątkowa. Wprawdzie między oryginalnością a dziwacznością granica jest płynna, ale wystarczy spojrzeć na obrazy pacjentów szpitali psychiatrycznych, żeby przekonać się o ich niezwykłości. Oni malują jak kubiści, mają podobną wizję świata. Często odnoszę wrażenie, że współczesna sztuka ulega schizofrenizacji, jakby artyści naśladowali twórczość naszych pacjentów. Trudno się dziwić, skoro niektórzy naprawdę są geniuszami.

Widziałem prace chorej dziewczynki, której obrazy wyglądały jak szkiełka spod mikroskopu: z ogromną ilością szczegółów, kolorów, namalowane z zegarmistrzowską precyzją. Wszystko brało się z jej wyobraźni, a nie z laboratorium.

Jakiś czas temu w szpitalu psychiatrycznym w Branicach, tuż przy granicy z Czechami, odbyła się konferencja poświęcona sztuce kreacji w schizofrenii. Dowiedziałem się tam, że na warsztatach terapeutycznych jeden z pacjentów nauczył się tkąć. Wystawa z jego gobelinami – wielkimi, dwa na trzy metry – zachwyciła profesjonalnych artystów. „Jakby wyszły

spod ręki dojrzałego plastyka”, komentowali jego prace z podziwem i niedowierzaniem.

– **Co było na tych gobelinach?**

– Przyroda i ludzkie postaci, tak wyraźne, jakby skopiowane ze zdjęcia.

– **A kim był pacjent – artysta?**

– Podpalaczem. Trafił do szpitala psychiatrycznego za wielokrotne podpalenia.

Schizofrenia dotyka też naukowców oraz ludzi o technicznych umysłach. Profesor John Nash, genialny matematyk, którego życie zekranizowano w *Pięknym umyśle*, był tego najlepszym przykładem. Mam pod opieką pewną pacjentkę, będącą „w stałym kontakcie” z osobą z zaświatów. Nie jest ani medium, ani jasnowidzem, ale osobą znaną i szanowaną w środowisku uniwersyteckim.

– Ona tu jest – mówi, rozglądając się po moim gabinecie.

– Nie przeszkadza pani jej obecność? – pytam w takich sytuacjach.

– Ja ją widzę i słyszę, żyjemy w wielkiej przyjaźni – odpowiada.

„Osoba z zaświatów” towarzyszy mojej pacjentce od wielu lat, lecz nie przeszkodziła jej w zrobieniu doktoratu i regularnym pisaniu po angielsku naukowych referatów.

Mój kolejny podopieczny, z bardzo rzadkimi objawami schizofrenii katatonicznej, w tzw. stuporze [chory zastyga w różnych pozycjach, patrzy w jeden punkt, nie mówi, nie reaguje na bodźce – przyp. aut.], przywieziony do szpitala w prześcieradle, został poddany regularnym elektrowstrząsom – dwa–trzy razy w tygodniu. Po dwóch miesiącach wszystkie objawy stuporu odpuściły. Owszem, pacjent do dziś słyszy głosy, i to pomimo brania leków, ale celująco ukończył politechnikę, zdobył odpowiedzialną pracę, sprawdził się na kierowniczych stanowiskach. Obecnie z sukcesem prowadzi działalność gospodarczą.

Leczyłem też pewnego literata, który w nawrotach choroby miał dar widzenia istot pozaziemskich. Rysował je i opisywał w języku z innej galaktyki. Komunikował się z kosmitami za pomocą sygnałów

niezrozumiałych dla zwykłych Ziemian. Miał dar obrazowego pisania, dynamicznego, jak w scenariuszach filmowych. Dostał nawet nagrodę w którymś z najbardziej prestiżowych konkursów literackich w Polsce.

Pewnego dnia przyszedł do kliniki ze zboląłą miną.

– Jestem zrozpaczony – oznajmił na wstępie.

Stał z pochyloną głową, nerwowo zaciskając dłonie. Jego twarz była w kolorze mojego fartucha. Wyglądał, jakby za chwilę miał zemdleć.

– Co się stało? – spytałem zatroskany.

– Nie widzę istot, nie słyszę żadnych sygnałów, zapomniałem kosmicznego języka.

– To znaczy, że leki działają – odpowiedziałem z wyraźną ulgą.

– Zabraliście mi cały mój świat! – wykrzyknął. – Wszystko mi zabraliście! Teraz żyję w waszej szarej, beznadziejnej rzeczywistości. Nic mnie tu nie cieszy, nie inspiruje.

– Choroba mija – próbowałem go pocieszyć.

– A ja wcale o to nie prosiłem. Chcę wrócić do siebie, oddajcie mi to wszystko, co zniszczyliście!

Opadł na krzesło i rozplakał się jak dziecko. Był nieszczęśliwy, bo był zdrowy.

I to jest właśnie schizofrenia artystyczna.

Prasówka:

–
„Wokół schizofrenii przez lata wyrosła legenda. Antoni Kępiński (1918–1972), wybitny polski psychiatra, nazwał ją chorobą królewską. Bo żadna inna nie ma tak bogatych i różnorodnych objawów! Często dotyka też umysły wybitne

i niezwykle. Kępiński pisał, że objawy schizofrenii pozwalają ujrzeć wszelkie cechy ludzkiej natury w katastroficznych rozmiarach. Genetyczny związek między schizofrenią a kreatywnością potwierdzili w 2009 r. węgierscy badacze z Uniwersytetu w Budapeszcie, pod kierownictwem prof. Szabolcsa Kéri. Z badań wynika, że o zapadalności na chorobę (choć nie jest znany dokładny model jej dziedziczenia) decyduje nasz genotyp. Na dziedziczenie choroby wpływ ma wiele genów, które pojedynczo nie są zbyt istotne, ale negatywny efekt ich obecności kumuluje się.

Kéri zwerbował 200 ochotników, którzy uważali siebie za kreatywnych i utalentowanych. Zostali przebadani testami twórczego myślenia, a potem zanalizowano ich genotypy, w tym gen neuregulina 1, którego mutacje zwiększają ryzyko choroby. Jak się okazało, osoby najbardziej twórcze miały dwie kopie zmutowanego genu. Jednak powiązania między genami a schizofrenią i geniuszem nie były jednoznaczne. Sama mutacja genu nie decydowała jeszcze o większej kreatywności. Prof. Kéri przypuszcza, że zmutowany fragment DNA może wpływać na funkcje mózgu odpowiedzialne za nastrój i zachowanie. U jednych ludzi mogą one stymulować twórczość, a u innych wpływać na psychotyczne iluzje. Czynnikiem decydującym jest, być może, poziom inteligencji”.

(Piotr Janczarek, Schizofrenia - nieszczęście i dar,
www.medonet.pl).

Mózg pod lupą

– Odnoszę wrażenie – kontynuuje psychiatra – jakby część naszych biegłych zapominała, że tak często rozpoznawana przez nich schizofrenia to

nie tylko omamy słuchowe, węchowe i wzrokowe. Chorobie towarzyszą również miękkie objawy neurologiczne, zmniejszające sprawność ruchową; delikatne, nie takie jak po porażeniu, przy niedowładach i zaburzeniach czucia. Czasami trudno je wychwycić tzw. gołym okiem, ale są na to sposoby. W testach osoby chore wypadają gorzej niż zdrowe.

Niedawno badano 27-letniego nożownika ze Stalowej Woli, który – będąc w psychozie schizofrenicznej, wywołanej wcześniej dopalaczami – wpadł do supermarketu z dwoma nożami szturmowymi, dźgał nimi na lewo i prawo. Osiem osób ciężko ranił w trzustkę i wątrobę, a jedną zabił. Ujęli go klienci galerii i przekazali policji. Wstępne badania ambulatoryjne nie dały jednoznacznej odpowiedzi, czy można go postawić przed sądem. Zlecono obserwację w warunkach szpitalnych. Prokuratura nie poprzestała na tej opinii. Poproszono kolejny zespół biegłych, aby go zdiagnozować najdokładniej, jak to jest tylko możliwe.

W Starogardzie Gdańskim neuropsycholog zrobiła mu pełne testy i stwierdziła miękkie objawy neurologiczne. Badano go m.in. rezonansem magnetycznym.

Prasówka:

„Nad sprawą Konrada K. pracowały aż trzy zespoły biegłych psychiatrów. Pierwsze dwa orzekły, że mężczyzna cierpi na zaburzenia psychiczne, ale później pojawiły się wątpliwości co do niepoczytalności podejrzanego.

Trzeci zespół biegłych uznał, że sprawca jest osobą niepoczytalną, w związku z czym nie może odpowiadać karnie za zarzucane mu przestępstwa.

Ostateczny wniosek o umieszczenie go w zakładzie psychiatrycznym trafił do Sądu Okręgowego w Tarnobrzegu. Posiedzenie sądu odbyło się w piątek 14 grudnia. Prowadził je sędzia Grzegorz Zarzycki.

Sędzia rozmawiał m.in. z dwiema kobietami, które 20 października ubiegłego roku zostały zaatakowane przez Konrada K.

Jedna z nich, 20-letnia Wiktoria, była najciężej poszkodowaną ofiarą nożownika. Została zaatakowana od tyłu, w plecy, nóż uszkodził płuco. Obrażenia były na tyle ciężkie, że cudem przeżyła. Operacja trwała kilka godzin, kobieta do dziś nie ma czucia w nodze, a jej rehabilitacja nadal trwa.

– Przedemną jeszcze długa droga do powrotu do zdrowia i nikt mi nie da gwarancji, że powrócę do pełnej sprawności – mówiła.

Pytana przez sędziego powiedziała, że jej zdaniem to, że Konrad K. nie trafi do więzienia, jest po prostu śmieszne.

Kolejną częścią posiedzenia była wideokonferencja z biegłymi, którzy wydali opinię o niepoczytalności Konrada K. Sędzia rozmawiał ze specjalistą psychiatrą Jerzym Pobołą, który opiniował w Sądzie Okręgowym w Szczecinie, oraz neuropsycholog Martą Kuklińską, psychologiem klinicznym Michałem Nowopolskim i specjalistą psychiatrą Leszkiem Ciszewskim z Sądu Rejonowego w Tczewie. Ta część posiedzenia odbyła się z wyłączeniem jawności.

Sąd potwierdził wcześniejszą opinię biegłych.

– Orzekł wobec podejrzanego środek zabezpieczający w postaci pobytu w odpowiednim zakładzie psychiatrycznym – informuje Marek Nowak, rzecznik Sądu Okręgowego w Tarnobrzegu.

Równocześnie postępowanie karne wobec niego zostaje umorzone. Nie wiadomo, ile potrwa leczenie Konrada K.

– W trakcie jego leczenia co pół roku lekarze psychiatrzy będą przedstawiać sądowi opinię na temat aktualnego stanu jego zdrowia. Sąd, mając też na uwadze wcześniejsze opinie biegłych, będzie decydował o tym, czy konieczne jest dalsze leczenie – mówi Andrzej Dubiel, rzecznik Prokuratury Okręgowej w Tarnobrzegu. – Są przypadki, że leczenie trwa do końca życia i taka osoba nigdy nie wychodzi na wolność”.

—
(Joanna Pasterczyk, *Nożownik ze Stalowej Woli trafi do zakładu psychiatrycznego*, „Gazeta Wyborcza”, 17.12.2018).

– Mózg wiele mówi o człowieku – podkreśla Jerzy Pobocho. – Na przykład osoby cierpiące na różnego rodzaju lęki mają mniejszą tę część, która jest odpowiedzialna głównie za pamięć. Jaki ma to wpływ na lęki – nie wiem, ale tak jest. Niegdyś, diagnozując stan psychiczny pacjentów, przeprowadzaliśmy odmę mózgową. Badanie polegało na wprowadzaniu do środka powietrza, poprzez nakłucie. Było to bardzo nieprzyjemne, ale niezwykle istotne badanie. Sam przeprowadziłem co najmniej dwieście takich badań. Pacjenci mdleli, wymiotowali, krzyczeli.

– **Czemu to służyło?**

– W badaniach obrazowych widać mózg. Czasami są tam zmiany, o jakich nikomu się nie śniło. Oto przykład: do Stargardu przyjeżdża z zagranicy chłopak, syn Polaka i Angielki. Zakochuje się w dziewczynie, adoruje ją, przywozi prezenty. Ale ona, jak to dziewczyna, wybrała innego. Niezrażony sytuacją znalazł nowy obiekt uczuć. Zakochał się w jej siostrze. Nie adorował jej, nie zwoził prezentów, tylko ją porwał i uwięził. Policja odbiła dziewczynę, a jego zakuła w kajdanki. Postawiono mu zarzut uprowadzenia i pozbawienia wolności. Ponieważ mówił, że mu „w głowie szumi”, trafił do nas na obserwację.

Tomografia wykazała, że miał w głowie ogromnego naczyniaka. Obecność guza nie rzutowała jednak na jego psychikę, więc poniósł karę,

ale za to był przebadany najdokładniej, jak tylko można. W Anglii na „szum w głowie” daliby mu aspirynę.

Inny pacjent, którego mózg nas zaskoczył, studiował na Politechnice Gdańskiej. Powtarzał rok, ponieważ nie zdał egzaminu poprawkowego z przedmiotu, którego wcześniej też nie zaliczył. Podczas tamtego egzaminu dość często opuszczał salę. Po jednym z takich wyjść „do toalety” nagle jego praca zyskała na objętości. Egzaminator uznał, że student wrócił ze ściągą, i wstawił mu dwóję.

Niezadowolony student dzień lub dwa później wybrał się do sklepu z narzędziami i zakupił siekiere. Tak wyposażony poszedł na uczelnię i odszukał egzaminatora. Zamachnął się na niego, a że niespodziewanie wkroczył między nich pracownik techniczny politechniki, siekiera spadła na jego głowę. Pomimo operacji neurochirurgicznej ten mężczyzna zmarł.

Studentowi postawiono zarzut zabójstwa z premedytacją. „Ale nam ciekawy przypadek przysłaliście” – powiedzieliśmy lekarzom z gdańskiego aresztu, kiedy zrobiliśmy tomografię. Ogromny naczyniak w mózgu, który także nie znosił poczytalności sprawcy.

– Ogromny guz nie zaburza myślenia, rozumienia znaczenia czynu?

– Zależy, w którym miejscu jest zlokalizowany. W obu przytoczonych przeze mnie przypadkach naczyniaki nie wywoływały skutków psychopatologicznych. Miały wpływ na ogólny stan zdrowia, ale poczytalność była w pełni zachowana. Natomiast w wielu innych przypadkach, np. przy padaczce, dochodzi do zaniku kory czołowej i to ma ogromny wpływ na świadomość. Zmiany są widoczne w zapisie EEG.

Badania neuropsychologiczne, które także pozwalają – za pomocą testów – na zdiagnozowanie pracy mózgu, niestety nie są w Polsce na najwyższym poziomie. Wciąż brakuje urządzeń umożliwiających analizę komputerową zapisu EEG, jak ten organ w środku działa. Drugie urządzenie nazywa się funkcjonalnym rezonansem magnetycznym. W Polsce jest tylko kilka takich aparatów. A szkoda, bo one świetnie diagnozują, które części mózgu przestępcy są bardziej aktywne, a które mniej i czy ma to związek z jego poczytalnością.

Nas, psychiatrów, zawsze interesowało, co tam w tym umyśle dzieje się takiego, że człowiek potrafi być skrajnie zły, robić rzeczy niewyobrażalnie okrutne i nie odczuwa z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Przeciętny zjadacz chleba myśli, że tacy ludzie w ogóle „nie mają mózgu”. Otóż mają, tyle że inny.

1. „*Psychoza* z 1960 r. to niedoścignione dzieło Alfreda Hitchcocka. Do dnia dzisiejszego nie powstał lepszy kryminał o tak wspaniałym scenariuszu i niesamowitym klimacie. Jeżeli ktoś spodziewa się marnego horroru, w którym pierwsze skrzypce grają latające flaki i tryskająca krew, to nie powinien nawet próbować obejrzeć majstersztyku opartego o powieść Roberta Blocha. Tutaj bowiem zamiast bezmyślnej brutalności otrzymujemy niesamowitą fabułę – historię, która szybko nie uleci z głowy. Hitchcock nie bez powodu jest uznawany za znakomitego reżysera. W *Psychozie* pokazał, jak niewiele trzeba, by stworzyć ponadczasowy majstersztyk, który straszy nie formą, a treścią” (fragment recenzji z www.filmweb.pl). [\[wróć\]](#)

Rozdział 8

Co się kryje w mózgu złoczyńcy

Działo się to w czasach, kiedy w polskim kodeksie karnym istniała jeszcze kara śmierci. Jeśli ktoś na nią zasługiwał, to właśnie człowiek, o którym teraz opowiemy.

Gdyby jego mózg był normalny, zapewne prokurator Irena Olga Marecka z Prokuratury Okręgowej w Szczecinie wnioskujełaby o najwyższy wymiar kary. W swoim zawodowym życiu robiła to osiem razy. W sześciu przypadkach wyrok śmierci wykonano. Wtedy jednak miała związane ręce. Nie można było posłać na szubienicę człowieka, w którego głowie lekarze odkryli coś niebywałego.

Historia jak z najgorszego horroru

Bohater tej historii wyglądał jak amant filmowy. Nosił ciemne okulary, dodające tajemniczości. Studiował na Politechnice Szczecińskiej, jednak szybko się znudził, więc zmienił szkołę na mniej absorbującą. Matka miała do niego o to pretensje. Nie wiedziała jeszcze, że jej adoptowany syn zarabia na życie podrabianiem dowodów osobistych i generalnie ma inklinacje przestępcze, a nie naukowe.

Była Wigilia. Matka i syn siedzieli przy stole, dzielili się opłatkiem. Czas mijał w miłej atmosferze, dopóki ona nie zaczęła narzekać, że on „taki zdolny, a się nie uczy, że renomowaną uczelnię porzucił dla zwykłej, pomaturalnej szkoły”. Tym jazgotaniem, bo tak odbierał jej uwagi, zaczęła go irytować. Odpyskował, dostał w twarz. Matka miała ciężką rękę, do tego strąciła mu okulary, a przecież wiedziała, jak były markowe i bardzo dla niego ważne. Tego już darować nie mógł.

Schylił się po nie. Leżały pod stołem, obok metalowego przecinaka – narzędzia używanego do łupania albo cięcia materiałów budowlanych.

Najpierw sięgnął po okulary, następnie po przecinak. Wyprostował się i wymierzył matce śmiertelny cios.

– Ciało ukrył w tapczanie, na którym kilka godzin później kochał się ze swoją dziewczyną – opowiada doktor Pobocho. – Uprawiać seks na trupie matki – już sam ten fakt świadczy, jak ciężkie zaburzenia osobowości miał sprawca. Potem było jeszcze gorzej, bo miał problem z pozbyciem się zwłok. Postanowił je rozczłonkować. Mięso odpreparował, resztę rozpuścił w ługu, a to, co z matki pozostało, spuścił w toalecie.

Monika Adamowska, dziennikarka szczecińskiego oddziału „Gazety Wyborczej”, w reportażu *Pamięć jest okrutną karą* tak to opisała:

„– Zawsze byłem wrażliwy na widok krwi, ale im dłużej myślałem, jak pozbyć się zwłok, tym bardziej dochodziłem do wniosku, że muszę je pokawałkować. To jedyny sposób usunięcia ich tak, by nikt się o tym nie dowiedział – tłumaczy.

Wynosi z pokoju meble. Na dywanie rozkłada ceraty. Kładzie na nich zwłoki. Nakrywa je prześcieradłem. Bierze nóż, ale później szuka jeszcze nożyc do cięcia blachy i piłki do metalu. W trakcie zażywa relanium. Odcięte kawałki wrzuca do ubikacji. Głowę, ręce i nogi wystawia w misce na balkon. Kości bezskutecznie usiłuje spalić w łazience. W końcu przypomina mu się opowieść znajomego, który zasadą sodową poparzył się w pracy. Ma w domu sodę. Matka używała jej do czyszczenia sedesu. Sporządza roztwór sody. Wlewa do dużego garnka. Na gazie gotuje roztwór i rozpuszcza w nim pozostałe części. Trwa to kilka dni. Parę razy biegnie do sklepu po nowy zapas sody.

Usuwa wszystkie ślady” ¹.

– Widać było tego sporo, gdyż pozapychał studzienki – opowiada dalej psychiatra. – Przyjechało pogotowie kanalizacyjne, lecz ekipa usuwająca nieczystości nie zorientowała się, że właśnie pozacieraa ślady zbrodni. Nikogo nie zdziwił widok mięsa i kości. Przecież były święta, ludzie wyrzucali resztki jedzenia. Widać ktoś kupił za dużo mięsa i się zepsuło.

Wkrótce zabójca stanął przed kolejnym problemem: śmierć matki oznaczała koniec stałych dochodów, a on zamierzał regularnie pobierać jej

rentę. Przyszła listonoszka, zdziwiła się, że matki nie ma. Zawsze czekała na pieniądze, proponowała herbatę i ciastko. Zgodziła się zostawić rentę synowi, ale zastrzegła, że robi to tylko raz.

Za miesiąc, gdy sytuacja się powtórzyła, listonoszka odmówiła stanowczo. Powiedziała, że matka musi pofatygować się na pocztę. Syn przerobił jej dowód, umieszczając w nim swoje zdjęcie. W kobiecym przebraniu udał się na pocztę. Urzędniczka obejrzała dokument, uznała, że wszystko jest w porządku i przygotowała kwotę do wypłaty.

Udało mu się dwa razy.

– Ma pani drobne? – spytała urzędniczka, gdy elegancka „kobieta” w prochowcu po raz trzeci przyszła po rentę.

– Nie mam – odpowiedziała petentka, ale... męskim głosem.

Pracownica poczty, pod niebudzącym podejrzeń pretekstem, opóźniła wydanie pieniędzy i zniknęła na zapleczu. O niecodziennej sytuacji dyskretnie powiadomiła kierownika, a ten milicję. Przyjechał radiowóz, mistyfikacja się wydała.

– Podczas obserwacji psychiatrycznej matkobójca udawał chorego – opowiada psychiatra. – Istniało ryzyko, że z oddziału wyjdą dwie sprzeczne opinie: moja – że to symulacja, i mojej koleżanki – że to psychoza.

Wtedy zrobiłem mu odmę mózgową i wszyscy na oddziale oniemieliśmy. On miał wodogłowie [nadmierne gromadzenie się płynu mózgowo-rdzeniowego w układzie komorowym mózgu – przyp. aut.], i to prawdopodobnie od urodzenia. Uznaliśmy, że stąd wzięły się jego zaburzenia osobowości, to w pewnym sensie tłumaczyło zbrodnię.

Zabójca stanął przed sądem. Próbował zrzucić winę na matkę:

„Zupełnie o siebie nie dbała, nie można jej było nakłonić, aby poszła do fryzjera, kosmetyczki czy kupiła sobie coś ładnego do ubrania – czytamy w książce *Z archiwum Sz.* – Cały czas była zmęczona i zaniedbana. Nigdy nikogo nie zapraszała, bo to i wydatek, i po prostu nie miała siły i ochoty na towarzystwo. Od śmierci ojca nie było w jej życiu żadnego mężczyzny. Udzielałem korepetycji. Niejednokrotnie zarabiałem więcej niż matka. Tylko dwa razy zgodziła się przyjąć większą sumę, za którą kupiła w Modzie Polskiej kilka rzeczy do ubrania. A ja chciałem mieć matkę wesołą, zadbaną [...].

Sądzę, że poprzez mnie chciała częściowo zrealizować swoje niespełnione marzenia. Tyrała jak wół, dla mnie była gotowa na wszystko. A we mnie powoli zaczynał się rodzić bliżej nieokreślony sprzeciw”².

– Podczas jednej z rozpraw wezwano na świadka jego biologiczną matkę – wspomina psychiatra. – O tym, że był w dzieciństwie adoptowany przez kobietę, którą zabił, dowiedział się dopiero wtedy. Raczej nie był tym poruszony. Jego prawdziwa matka wyglądała, mówiąc oględnie, raczej nieciekawie. Tymczasem on był naprawdę przystojny, z pewnością cieszył się powodzeniem u kobiet. Ale co z tego, skoro jego mózg działał nieprawidłowo.

To był bardzo bystry facet. W testach inteligencji uzyskał maksymalny wynik. Moje koleżanki zadawały mu pytania w stylu „czy słyszy pan głosy?”, „ktoś pana prześladowa?”. Szybko zorientował się, jak powinien – dla własnego dobra – odpowiadać, i nagle psychopatologia zaczęła w nim narastać. Coraz więcej „widział”, coraz więcej „słyszał”, dlatego moje koleżanki lekarki doszły do wniosku, że pacjent cierpi na schizofrenię paranoidalną.

O sprawie było głośno w mediach. Trudno się dziwić, zbrodnia niebywała. Wszyscy chcieli zobaczyć twarz zabójcy. Sala sądowa pękała w szwach. Kobiety-matki ubrane na czarno wypełniały ławy dla publiczności. Najpierw przejawiały wrogość wobec oskarżonego, jednak z czasem zaczynały mu nawet współczuć. On był młody, kulturalny, przystojny, do tego manipulował publicznością, robiąc z siebie ofiarę zaborczej matki. Grał na łagodniejszy wyrok. Byłem przesłuchiwany przez dwie godziny, pani prokurator Marecka i obrońcy zadawali mi mnóstwo trudnych pytań. To nie było dla mnie jedno z wielu wystąpień w charakterze biegłego. Mój umysł pracował na najwyższych obrotach.

Tamtego dnia w sądzie były moja żona i siostra. Przyszły po raz pierwszy, aby zobaczyć, na czym polega moja praca. Wyszły stamtąd wcześniej, niż zakładały – wstrząśnięte i zaskoczone, że „znoszę to wszystko ze spokojem”. Ale taki już jestem. Trudno mnie zdenerwować, wyprowadzić z równowagi. Pomaga mi to w mojej pracy, ale żona ma ze mną poważny problem, bo nie może się ze mną pokłócić.

Zabójca z wodogłowiec został skazany na karę śmierci, ale na skutek rewizji wniesionej przez adwokata sprawa rozpatrywana była po raz drugi. W maju 1979 roku zapadł wyrok 25 lat pozbawienia wolności. Matkobójca wyszedł z więzienia na warunkowe zwolnienie po odbyciu większości kary.

Sprawa Kota

W periodykach medycznych można znaleźć wiele przykładów na to, w jaki sposób chorobowe zmiany w mózgu zmieniają ludzkie zachowania. W Stanach Zjednoczonych głośno było m.in. o nauczycielu, który nagle zaczął się interesować pornografią dziecięcą. Nawet nie próbował ukrywać swoich skłonności pedofilskich, których nigdy wcześniej nie przejawiał. Nauczyciel skarżył się w tamtym czasie na silne bóle głowy, więc zrobiono mu tomografię komputerową. Okazało się, że w korze przedczołowej miał guz mózgu. Po usunięciu raka żył jak dawniej, ale kiedy nastąpił nawrót choroby – pedofilia ponownie dała o sobie znać.

W Polsce pretekstem do burzliwych sporów wokół tematu karania osób z zaburzeniami osobowości o podłożu organicznym była sprawa Karola Kota z Krakowa – zabójcy o twarzy dziecka. W latach 60. chodził jeszcze do szkoły średniej, a już zamordował dwie osoby, kolejnych 10 usiłował pozbawić życia. Atakował istoty najsłabsze – dzieci oraz starsze kobiety modlące się w kościele. Uderzał nożem w plecy, bo „to najkrótsza droga do serca”.

„Lubiłem pić ciepłą krew umierających zwierząt” – przyznał, gdy go zdemaskowano. „Marzyłem, żeby być katem, chciałbym dokonywać rzezi lub pracować w krematorium. Gdyby wybuchła wojna, obcinałbym kobietom piersi i wkładał żołnierzom do hełmów”³ – mówił bez skrępowania.

Proces przed Sądem Okręgowym w Krakowie unaoczniał wszystkim, że Karol Kot był potworem. Obrazu jego mrocznej psychiki dopełniła rozmowa, której zapis znalazł się w książce Bogusława Sygita pt. *Kto zabija człowieka... Najgłośniejsze procesy o morderstwa w powojennej Polsce*.

„Nie należałem do żadnych kółek, bo nie było takich, które mnie interesowały – powiedział autorowi książki Karol Kot. – Wyżywałem się więc w przerwach między nauką i na wspólnych wycieczkach. Zaczepiałem dziewczyny, ale przede wszystkim sprawdzałem swoje umiejętności na kolegach. Zaskakiwałem ich od tyłu i dusiłem. Kiedyś Jackowi zarzuciłem sznurek na szyję i tak ścisnąłem, że przez wiele dni miał ślad na szyi, albo Mańka podduszałem przewodem elektrycznym. Czerwienił się, dusił, ale oswobodzić się nie mógł – taką miałem wprawę [...].

Byliśmy kiedyś z klasą na wycieczce w Oświęcimiu. Zachwyciła mnie organizacja i idea obozów koncentracyjnych. Ja wymyśliłbym jeszcze okrutniejsze tortury. [...] Przyjemność sprawiał mi widok zarzynanych zwierząt i ich rozbierania. Z rodzicami jeździłem na wakacje do Pcimia (to taka dziura pod Myślenicami). Było nudno, chodziłem więc do tamtejszej rzeźni i asystowałem przy zabijaniu cieląt. Lubiałem ten widok i w końcu zasmakowałem w ciepłej krwi. Piłem krew z cielęcia i wieprza. Dawali mi rzeźnicy, ile chciałem. Wiedziałem, że ich to bawiło, i dziwili się mi, a ja z tego korzystałem. Zabijałem potem żaby, kury, gawrony, krety i cielęta. W domu mieliśmy dwa koty. Były to koty siostry. Może dlatego znęcałem się nad nimi. Kopałem je, rzucałem z pokoju do pokoju, uderzałem o ścianę. Nie mogłem natomiast patrzeć, jak prowadzili na rzeź cielęta, jak zabijano kury i świniaki. Płakałem jak bóbr. Może dla złagodzenia ich bólu i ze współczucia lubiałem ich krew. To prawdziwy napój bogów. Świadomość, że pijesz krew, która przed chwilą była żywa, to coś wzniosłego. Wy, którzy zostajecie wśród żywych, nie pojmiecie tego, zrozumieć to mogą tylko wybrani. Ja byłem naznaczony na tej ziemi, aby to odczuwać i sycić swój organizm odchodzącym życiem innych istot.

Można być mordercą i zarazem dobrym człowiekiem, tak jak ja – przekonywał. – Jak się coś robi dla przyjemności lub z namiętności, to według mojego pojmowania prawa nie jest to przestępstwo”⁴.

Skazano go na karę śmierci i powieszono w maju 1968 roku. „Czyny, jakie oskarżony popełnił, wykazują, że jest groźniejszy od dzikiej bestii, bo obdarzony rozumem” – uzasadniał wyrok przewodniczący składu orzekającego Sądu Wojewódzkiego w Krakowie.

Karol Kot miał guz mózgu, ale okazało się to dopiero po jego śmierci, podczas sekcji zwłok. Dzisiaj trudno przesądzać, co by było, gdyby sąd wiedział o tym przed ogłoszeniem wyroku. Niewykluczone, że kara śmierci nie zostałaby orzeczona i wykonana.

– Jeden z biegłych orzekających w tamtej sprawie był w ostrym konflikcie z innymi psychiatrami – wspomina doktor Pobocho. – Uważał bowiem, że zaburzenia osobowości Kota były tak ciężkie, że powodowały u niego co najmniej znaczne ograniczenie zdolności kierowania swoim postępowaniem. Pozostali biegli opowiedzieli się za poczytalnością sprawcy, przesądzając o karze, jaka zapadła w sądzie. Ekspert, który z tak wielką wyrozumiałością podchodził do zabójcy, reprezentował tzw. krakowską szkołę psychiatrii. Tamtejsi lekarze byli zwolennikami patologicznego wręcz paternalizmu. Jest to kierunek etyki mający zastosowanie w medycynie, głoszący, że lekarz jest powołany do opieki nad chorym. Oni ten paternalizm stosowali (i po części do dziś stosują) w odniesieniu do przestępców, że to są biedni ludzie, którym trzeba pomóc.

– W jaki sposób pomóc?

– Uznać go za chorego i dać mu większe ograniczenie poczytalności. W latach 70. to było bardzo wyraźnie widać. Prokuratorzy wiedzieli, że jak podejrzany pojedzie na obserwację sądowo-psychiatryczną do Krakowa, to będzie miał co najmniej znaczne ograniczenie poczytalności, a jak do Grodziska Mazowieckiego, Szczecina czy gdziekolwiek indziej – diagnoza będzie inna, mniej korzystna dla sprawcy.

„Panowie, tak nie może być, żeby w jednej sprawie, w jednym kraju, występowały diametralnie różne rozpoznania” – grzmiał minister sprawiedliwości podczas specjalnej narady w Prokuraturze Generalnej. Był rok 1972. Przypominam o tym nie bez powodu, ponieważ ten sam problem mamy teraz. Epidemia paranoi, rozpoznawanie chorób psychicznych tam, gdzie ich nie ma, nadmierny paternalizm – to się znów dzieje.

Mózg psychopaty

– Najważniejszą częścią naszego mózgu jest kora czołowa i pozaczołowa – mówi psychiatra. – Zachodzą tam m.in. procesy, które ukierunkowują decyzje moralne człowieka, empatię i odróżnianie dobra od zła. Jeśli w tym obszarze występuje defekt, to konsekwencje są daleko idące. Takie osoby słabiej hamują emocje, nie są zdolne do współczucia i nie przejmują się cierpieniem bliskich osób. Dotyczy to psychopatów, którzy byli obiektem wielu badań naukowych. Stąd wiadomo, że ich mózg funkcjonuje inaczej niż u normalnych ludzi.

Prasówka:

–
„Zachowanie morderców i gwałcicieli można wyjaśnić zmianami w budowie ich mózgów – twierdzą brytyjscy psychiatrzy.

U poddanych badaniom psychopatów naukowcy zauważyli uszkodzone połączenie obszarów mózgu sterujących emocjami i podejmowaniem decyzji. Im większe były te dziury, tym silniejsza skłonność do przestępczych działań – twierdzi dr Michael Craig z Instytutu Psychiatrii King’s College Hospital.

To, że zbrodnicze postęпки psychopatów mogą się wiązać z zaburzeniami funkcjonowania mózgu, podejrzewano od dawna. Świadczyły o tym m.in. wyniki badań, w których osoby ze zmianami zachowywały się agresywnie.

Zidentyfikowano również różnice w działaniu ciała migdałowatego i kory przedczołowej u psychopatów. Teraz udało się te odmienności precyzyjnie zlokalizować i zmierzyć.

– Odkryliśmy, że połączenia u psychopatów nie są tak dobre jak u normalnych ludzi – mówi agencji Reuters dr Craig. – Określiłbym to jako drogę między dwoma obszarami mózgu. U psychopatów jest ona dziurawa i generalnie źle utrzymana. Badania brytyjskich naukowców to kolejny dowód łączący zachowania przestępcze z budową anatomiczną i funkcjonowaniem mózgu. Szlak komunikacyjny, o którym mówi naukowiec, to tzw. pęczek haczykowaty łączący ciało migdałowate z korą przedczołową. Uważa się, że ten pierwszy region odpowiada za przetwarzanie emocji i podniecenia. Drugi – za podejmowanie decyzji i kontrolę emocji. Osoby z uszkodzeniami kory przedczołowej mogą się stać wulgarne i impulsywne, a także bezkrytyczne wobec siebie.

W eksperymencie opisywanym w «Molecular Psychiatry» dr Craig oraz Declan Murphy i Marco Catani przebadali dziewięć normalnych osób oraz dziewięciu psychopatów (m.in. wielokrotnych morderców, dusicieli, gwałcicieli, sprawców porwań i uwięzień).

Naukowcy skorzystali z nowej metody badania pracy umysłu – rezonansu magnetycznego z obrazowaniem tensora dyfuzji (DT-MRI). Pozwala ona śledzić połączenia nerwowe w mózgu. Jakie skutki dla medycyny i wymiaru sprawiedliwości może mieć odkrycie Brytyjczyków? Czy oznacza, że psychopatów, potencjalnych zbrodniarzy, będzie można wykrywać skanowaniem mózgu?

– Na dyskusję o tym, jakie to ma znaczenie moralne dla społeczeństwa i jak społeczeństwo chce rozwiązać ten problem, jest jeszcze za wcześnie – zastrzega dr Michael Craig. – Na razie najważniejsze jest ustalenie, skąd się

biorą te ubytki. Czy ludzie się z nimi rodzą, czy powstają w dzieciństwie, czy może są konsekwencją jeszcze czegoś innego? Badania te pozwolą na precyzyjne diagnozowanie zaburzeń osobowości.

– Znaczenia tych badań nie sposób przecenić. Ubytki w strukturze mózgu przestępców niosą implikacje dla naukowców, lekarzy i wymiaru sprawiedliwości – mówi Craig.

Nowe doniesienia Brytyjczyków to kolejny dowód ściśle łączący zachowania przestępcze z budową anatomiczną mózgu. Przed rokiem naukowcy z Uniwersytetu Cincinnati stwierdzili, że uszkodzenia mózgu sprawiają, iż ludzie stają się bardziej agresywni i statystycznie częściej trafiają do więzienia”.

—
(Piotr Kościelniak, Dziurawe głowy psychopatów, „Rzeczpospolita”, 11.08.2009).

Psychopaci niejako z definicji są predestynowani do roli przestępcy. Jeden z naukowych eksperymentów polegał na rozważaniu dylematów życiowych. Mowa o sytuacjach, w których trzeba podejmować trudne decyzje moralne, dokonać wyboru pomiędzy partykularnym interesem a dobrem innych. W badaniu brały udział osoby zdrowe i psychopaci. Rezonans magnetyczny rejestrował wszystkie reakcje ich mózgow. Wyniki eksperymentu dały wiele do myślenia. Okazało się, że w takich sytuacjach psychopaci po prostu nic nie czują (!). Odpowiednie części ich mózgu nie reagują na dylematy moralne. Oni po prostu nie wiedzą, czym jest empatia. To jest tak jak u daltonisty, który nie widzi kolorów nie dlatego, że nie chce, ale dlatego, że nie może ich rozróżnić.

Przełożmy to na życiowe sytuacje – jeśli psychopatyczny szef zwalnia z pracy samotną matkę z trudem wiążącą koniec z końcem, to nie odczuwa z tego powodu wyrzutów sumienia. Podobnie jak oszust o skłonnościach psychopatycznych okradający starych ludzi z oszczędności ich życia. Istota

bezbronna, a tacy właśnie są ludzie starzy, jest po prostu łatwym łupem. U gwałciciela-psychopaty łzy ofiary wywołują jedynie rozdrażnienie, a błagania o litość wręcz pogarszają sytuację. Ktoś taki nie ma skrupułów, żadnych oporów w zadawaniu cierpienia, hamulców nazywanych sumieniem. Stosuje przemoc i czerpie z tego przyjemność, stawia się ponad prawem. Daje mu to satysfakcję i poczucie mocy.

Mózgiem psychopatów zajmował się m.in. brytyjski psycholog Adrian Raine. Wraz z amerykańskimi naukowcami prowadził badania na grupie czterdziestu dwóch zabójców. „Zaglądał” do ich głów (tomografia pozytonowa) i odkrył, że w przedczołowym obszarze mózgu, odpowiadającym za planowanie i kontrolowanie ludzkich zachowań, u impulsywnych morderców po prostu coś szwankowało. Mówiąc wprost – ten obszar nie funkcjonował.

– Ta część mózgu, która u ludzi ze zdrowymi emocjami właściwie ocenia, co jest dobre, a co złe, reaguje wzruszeniem lub współczuciem, u psychopaty pozostaje nieaktywna – wyjaśnia doktor Pobocho. – Ukraść, oszukać, wykorzystać, zabić – nie budzi to w nich żadnych emocji. Przemoc jest dla psychopaty czymś oczywistym, ponieważ zbliża go do celu i pozwala pokonywać przeszkody. Gwałciciel zabija ofiarę, ponieważ powiedziała, że pójdzie na policję. Po co mu kłopoty, lepiej zlikwidować świadka. Dziewczyna zamordowała młodszego brata, ponieważ ojczym go faworyzował i chłopiec donosił rodzicom, że starsza siostra spotykała się z chłopakiem. Usunęła przeszkodę.

Prasówka:

—

„Na 25 lat więzienia skazał Sąd Okręgowy w Poznaniu 20-letnią Beatę Wawrzynowską i 19-letniego Piotra Adamczyka. Trzy lata temu zamordowali sześciolatniego brata Beaty.

Do tragedii doszło na poznańskim Grunwaldzie 7 lipca 2002 r. Wtedy Beata Wawrzynowska zamordowała swego sześciolatniego, przyrodniego brata Krystiana. Morderstwa dokonała wspólnie z kolegą Piotrem Adamczykiem. Sąd Okręgowy rozpatrywał wczoraj sprawę po raz drugi. Pierwszy raz skazał sprawców na 25 lat więzienia w 2003 r. Od tego wyroku odwołali się jednak obrońcy oskarżonych. W 2004 r. Sąd Apelacyjny uchylił wyrok i przekazał sprawę do ponownego rozpatrzenia. Wątpliwości sędziów wzbudziły bowiem niepełne opinie biegłych psychiatrów i psychologów. Wczoraj jednak Sąd Okręgowy podtrzymał wyrok 25 lat więzienia dla Beaty i Piotra. Psychiatrzy uznali, że sprawcy dobrze zdawali sobie sprawę ze swojego czynu i mogli pokierować swoim postępowaniem.

Matka Beaty płakała, gdy sędzia odczytywał wyrok. Uzasadnienie wyroku opisywało szczegóły zbrodni. Beata Wawrzynowska zabrała Krystiana na spacer na teren pobliskiej budowy, zadała mu nożem dwie rany w szyję. Nie zabiła go jednak. Chłopiec próbował uciekać, płakał i prosił, żeby przestali. Mówił, że będzie dobry. Siostra i jej kolega postanowili jednak zrealizować plan do końca. Piotr znalazł w krzakach resztki ceglanego muru i cegłą kilka razy uderzył chłopca w głowę i kręgosłup.

A wszystko dlatego, żeby zemścić się na ojczymie, z którym Beata nie mogła się porozumieć. – Była przekonana, że ojczym faworyzuje Krystiana. Wiedziała, że zabójstwo może wywołać rozpacz rodziców – powiedział, uzasadniając wyrok sędzia Leszek Matuszewski z Sądu Okręgowego w Poznaniu. – Oskarżeni zaplanowali zbrodnię makabryczną. Tym bardziej przerażającą, że wykonaną

przez starszą siostrę, do której młodszy brat miał zaufanie. Zabójstwo było zaplanowane i rozłożone w czasie. Oskarżeni nie chcieli męczyć ofiary, chcieli ją zabić w najprostszy dla siebie sposób – dodał sędzia Matuszewski”.

—
(Lidia Majdecka, Sąd podtrzymał wyrok dla zabójczyni brata, „Gazeta Wyborcza”, 24.10.2005).

– Defekt uczuciowości wyższej u psychopatów jest nieuleczalny – komentuje doktor Pobocho. – Sposób klasyfikowania przez lekarzy psychopatii jest kwestią umowną, tak jak np. homoseksualizm, który kiedyś był zboczeniem, a teraz jest normą. Psychopaty nie można ani wychować, ani zresocjalizować. Sprawy nie nazywa się dosadnie, jednak mamy do czynienia z ludźmi w pewnym sensie uszkodzonymi. Oczywiście nie jest to schizofrenia, jednak ich mózg funkcjonuje nieprawidłowo, co w pewnym sensie tłumaczy ich amoralność.

Dotykamy w tym momencie wielkiego dylematu prawnopsychiatrycznego, ponieważ mówimy o defekcie organicznym, niezależnym od człowieka.

– **Nieprawidłowo funkcjonujący mózg tłumaczy, w sensie prawnym, zbrodnie psychopatów?**

– Prawnicy na całym świecie przyjmują, że takich defektów wśród przestępców jest tak wiele, że zwalnianie sprawców zbrodni z odpowiedzialności karnej byłoby niewykonalne. Wymiar sprawiedliwości nie może być wobec nich tolerancyjny. W przeciwnym razie nikt i nic nie powstrzymałoby takich ludzi przed osiągnięciem korzyści z łamania prawa. Psychopaci najczęściej są intelektualnie sprawni. Doskonale wiedzą, że źle postępują, lecz nic ich to nie obchodzi. Jeśli chcą, to potrafią hamować swoje sadystyczne skłonności. W imię jakich zasad mieliby pozostawać bezkarni?

– Dziennikarze relacjonujący procesy karne zwracają uwagę, że psychopatyczni przestępcy nie wyrażają skruchy. Nie przepraszają ofiar ani ich rodzin za wyrządzone krzywdy. Niektórzy z zaskakującą łatwością tłumaczą swoje czyny: „Po co się stawiał”, „Sama tego chciała”. Gwałciciele z demonstracyjną pogardą patrzą na ofiary.

– Nie poczuwają się do winy właśnie dlatego, że te uczucia są im całkowicie obce. Ale oni szybko się uczą. Udają skruchę, aby zrobić lepsze wrażenie na sędziach lub dostać przepustkę z więzienia. Mało tego, potrafią oczarować otoczenie, umiejętnie zrzucać winę na innych. Są świetnymi aktorami. Nie można im odmówić uroku osobistego. Ale to wszystko gra, maska. Tacy ludzie są wyrachowani i bezwzględni.

Genetyk Anne Moir i dziennikarz David Jessel, autorzy książek *Płeć mózgu* i *Zbrodnia rodzi się w mózgu*, twierdzą, że brutalny psychopata ma te same cechy co oszust, właśnie dlatego że potrafi umiejętnie się maskować.

„U psychopaty brak sumienia i poczucia winy wynika stąd, że reakcje lękowe są całkiem oddzielone od planującej części mózgu. Wyrzuty sumienia nie mają na nie żadnego wpływu. W takiej sytuacji wszystko jest dozwolone – od drobnej kradzieży do morderstwa. Przemoc to wyłącznie instrument służący zaspokojeniu prostych potrzeb, takich jak popęd seksualny czy dążenie do władzy. Impulsywność, brak wewnętrznej kontroli, brak głosu sumienia, nieliczenie się z odczuciami innych – wszystko to składa się na sylwetkę brutalnego kryminalisty

Wśród przestępców dopuszczających się zabójstw bez żadnej prowokacji ze strony ofiary jest wielu agresywnych psychopatów. Notoryczni brutalni kryminaliści mają zapis EEG pięć razy bardziej odbiegający od normy niż przestępcy nieuciekający się do przemocy. Im poważniejsze uszkodzenie mózgu, tym większe prawdopodobieństwo, że impulsywna agresja przybierze formę zabójstwa. Dla agresywnego psychopaty krok do popełnienia morderstwa nie jest jakimś przekroczeniem granicy. Osobnik taki nie ma zahamowań. Psychopaci są

licznie reprezentowani w grupie zabójców przypadkowych osób, bo każdy może wejść im w drogę.

Jeżeli chcemy zapewnić naszym dzieciom większe bezpieczeństwo, nauczmy je unikać sytuacji, w których mogą się stać przypadkową ofiarą morderczego ataku. Wiele morderstw jest skutkiem interakcji między napastnikiem i ofiarą... Ofiara może rozgniewać napastnika jakimś działaniem bądź tylko obelżywą – w jego mniemaniu – uwagą. Sprawca traktuje to jako wyzwanie i atakuje. Ofiara oddaje. Niekiedy zbiera się publiczność i wtedy każdy z biorących udział w zwadzie chce zachować twarz. Zdarza się, że chwytają, za co popadnie – kufle od piwa, noże, kije. Na ogół kończy się to tragicznie. Według jednego z badań w 63 procentach zanalizowanych przypadków ofiara zainicjowała incydent, przyczyniając się do własnej śmierci.

Nie dajcie się więc wciągnąć w bójkę, zwłaszcza gdy w grę wchodzi psychopata niepanujący nad impulsami. Nie stawiajcie oporu, kiedy w dworcowej poczekalni nieznajomy osobnik pluje wam w twarz, pozwólcie włamywaczowi dokończyć «robotę» – wielu odważnych właścicieli domów zostało skopanych na śmierć przez psychopatycznych rabusiów, którym chcieli przeszkodzić”⁵.

Mistrzowie manipulacji

– Doktorze, czy można na pierwszy rzut oka rozpoznać psychopatę?

– Właśnie, że nie! Mówiąc ironicznie, każdy z nas ma szansę spotkać psychopatę i zyskać nowe doświadczenia życiowe. Oni są wszędzie, nie tylko w więzieniu. Dlatego Amerykanki wpadły na pomysł, aby na swoich portalach publikować listę cech typowych dla takich ludzi, żeby się ich wystrzegać, unikać zagrożenia.

– Taka ściągą dla laików?

– Właśnie tak. Nie są to cechy wyszukane, lecz najistotniejsze z punktu widzenia relacji międzyludzkich. Zachowanie i wygląd psychopaty może być przyczyną wielu nieszczęść. On lub ona potrafią być osobą elokwentną, miłą i błyskotliwą. Do tego wykazują się dużą dynamiką uczuciową: płomienne wyznania, kwiaty, listy. Całość zachowań z bogatym spektrum ma wyłącznie cel manipulacyjny. Psychopaci mają takie zdolności od urodzenia, nie muszą się uczyć manipulowania innymi, robią to znakomicie, włącznie z manipulowaniem prokuraturą. Na przykład w sprawie o zabójstwo generała Marka Papyły dopiero po wielu latach okazało się, że świadek koronny obciążający rzekomego zabójcę prawdopodobnie sam pociągnął za spust. To jest dopiero manipulacja, i ulegli jej doświadczeni śledczy. Zresztą sprawa byłego szefa policji nie jest przypadkiem odosobnionym.

W pewnym nadmorskim gospodarstwie agroturystycznym zamordowano właścicielkę i jej dwie córki, w wieku 10 i 12 lat. Przez osiem miesięcy traktowano je jako osoby zaginione, dopiero po takim czasie odkryto w szczerym polu ich mogiłę.

Zdaniem śledczych interes w śmierci kobiety mógł mieć jej mąż, który wyjechał do Hamburga i związał się z inną. Chodziło o spory majątek, więc zakładano, że zlecił zabójstwo. Aresztowano go i skierowano do nas na badania psychiatryczne. Konsekwentnie wszystkiemu zaprzeczał, był autentycznie przybity śmiercią bliskich, szczególnie dzieci.

Policję naprowadził na jego trop konserwator zatrudniony w tamtym gospodarstwie agroturystycznym. Po długim czasie okazało się, że to nie mąż właścicielki, ale właśnie konserwator jest zabójcą. Zmanipulował śledczych ekstremalnie! Naprawdę po mistrzowsku.

– **Pamiętam tę sprawę, doktorze. Opisywałam ją w swojej książce *Tajemnice zbrodni*.**

Z relacji konserwatora wynikało, że mąż zamordowanej kobiety miał przyjechać do domu w nocy, kilka godzin przed zbrodnią. Interesowało go tylko jedno: czy wszystko jest przygotowane, a grób na polu wykopany. „Powiedział, że w sekretarzyku, w środkowej szufladzie są pieniądze za wykonanie roboty” – wmówił prokuratorowi psychopatyczny kłamca.

Potem miał wsiąść do auta i wrócić do Niemiec, aby nie budzić podejrzeń. Pokonanie trasy do domu, do Hamburga, zajęło mu około sześciu godzin. Powinien bez trudu stawić się rano w pracy, jednak się spóźnił. W firmie ubezpieczeniowej, gdzie był zatrudniony, jeden z kolegów świętował podwyżkę. Stół był suto zastawiony, ale on nic nie tknął. Wszyscy zwrócili uwagę, że był przygnębiony, sprawiał wrażenie nieobecnego.

Ojciec zamordowanych dziewczynek przekonywał śledczych, że opowieści konserwatora to absurdalne pomówienia. Ale policjanci mieli wiele wątpliwości. Sąsiedzi z Hamburga mówili o zadrapaniach, które widzieli na twarzy mężczyzny dokładnie wtedy, gdy zaginęły jego żona i dzieci. To nie wszystko. Śledczy dowiedzieli się, że kobieta nigdy nie rozstawała się ze złotym wisiorkiem Versace w kształcie meduzy. Tymczasem złota meduza odnalazła się w Hamburgu, podczas sprzątanía. Leżała w łazience, za pralką.

Prokurator uznał, że zbyt dużo tych przypadków, zawniioskował o areszt dla podejrzanego. Dlaczego mężczyzna miałby zlecić zabójstwo żony i dzieci? „Oczywiście dla pieniędzy. Śmierć dziewczynek mogła być przypadkowa. Zginęły tylko dlatego, że stały się świadkami zbrodni na ich mamie” – sugerował śledczym brat zamordowanej kobiety.

Konserwator i jego współlnik w zbrodni wyrokiem sądu, który zapadł w Koszalinie w czerwcu 2007 roku, zostali skazani na dożywocie. Udusili dwoje małych dzieci oraz ich matkę dla kilku pierścionków i samochodu. Potem wrzucili ciała do dołu i zasypali piaskiem, jakby to były bezpańskie psy.

Niesłusznie oskarżany ojciec dziewczynek spędził w areszcie sześć miesięcy. Po roku śledztwa prokuratura umorzyła sprawę przeciwko niemu. Trudno sobie wyobrazić, co może czuć człowiek perfidnie pomówiony przez łotra, który wymordował mu rodzinę.

– Odebrano mi prawo do godnego przeżycia żałoby. W ciszy i spokoju, którego tak bardzo potrzebowałem – powiedział autorce po latach milczenia.

W marcu 2008 roku sąd przyznał mu dwieście tysięcy złotych odszkodowania za niesłuszne aresztowanie. Żadne pieniądze nie były w stanie wyrównać krzywdy, jaka go spotkała.

Prasówka:

„W 2003 roku dwóch zbrodniarzy zabiło w nadmorskich Chłopach 41-letnią Beatę Jeger i jej dwie córki – 12-letnią Biankę i o dwa lata młodszą Laureę. Sąd w Koszalinie wydał wyrok – dożywocie dla 40-letniego Rafała Jagiełły i 28-letniego Andrzeja Kozłowskiego. Sąd zgodził się też na opublikowanie pełnych nazwisk i zdjęć tych zbrodniarzy.

Policja odkryła zwłoki matki i dwóch córek dopiero osiem miesięcy po morderstwie. Sprawcy byli pewni, że wszystko ujdzie im na sucho. W ich głowach zrodził się plan zbrodni, aby okraść Beatę Jeger, która w Chłopach kupiła starą zagrodę i pięknie ją wyremontowała. Urządziła tam pensjonat dla turystów – pisze «Fakt».

Od lat 80. razem z mężem Leszkiem mieszkała w Niemczech, w Hamburgu. Dorobili się tam i postanowili zainwestować w Polsce. Ich pensjonat, piękny biały budynek z czerwoną dachówką, wyceniano wtedy na 600 tys. zł.

Rafał Jagiełło pracował u niej jako pomocnik, «złota rączka». «Nigdy dobrze mu z oczu nie patrzyło» – mówił «Faktowi» mąż Beaty, Leszek. Mąż Beaty wtedy, gdy mordowano mu rodzinę, był w Hamburgu, gdzie pracował. Rafał Jagiełło i Andrzej Kozłowski chcieli wynieść z domu, co się da. Najbardziej interesowały ich pieniądze. Tej nocy, gdy Beata wróciła z dyskoteki w pobliskim Mielnie, Rafał zawołał ją do kotłowni pod pretekstem awarii. Wtedy rzucił się na nią i udusił paskiem.

Dziewczynki spały już na górze. Obaj mordercy dopadli je w sypialni i też udusili. Znieśli ciała do kotłowni. Tam okazało się, że starsza Bianka jeszcze oddycha, więc dobili ją. Ciała kilka godzin leżały w kotłowni. W tym czasie oprawcy kopali 200 metrów za posesją, na łące wielki dół. Pod osłoną nocy przewieźli zwłoki taczkami i zakopali.

Przez osiem miesięcy nie było żadnego śladu po Beacie Jeger i jej córeczkach. Szukała ich policja w Polsce oraz w Niemczech. W hamburskiej szkole obie dziewczynki były bardzo lubiane, ich koleżanki i koledzy bardzo się przejęli tym zaginięciem – pisze «Fakt».

W marcu 2004 policja odkopła ciała”.

—
(Dożywocie dla okrutnych morderców dzieci, dziennik.pl, 13.10.2007).

Po uprawomocnieniu się wyroku autorka rozmawiała z policjantem, który zdemaskował mordercę i zmusił go do przyznania się. Oficer służb kryminalnych KWP w Szczecinie przyznał, że udało mu się to dopiero po wielu długich przesłuchaniach.

– Na wysokości jego wzroku powiesiłem zdjęcia ofiar zrobione za życia – opowiadał w rozmowie do „Focusa Śledczego”. – Ukazały się na pierwszej stronie lokalnej gazety. Bianka, Laura i Beata były na nich radosne, piękne. Kazałem mu patrzeć na te szczęśliwe twarze. Morderca to człowiek zdemoralizowany, od wielu tygodni zwodził nas i okłamywał. Ale zaczął wtedy płakać. Widać wróciły wspomnienia zbrodni, kiedy je dusił, potem – wraz ze współnikiem – wywiózł na pole, wrzucił do dołu i zasypał piaskiem.

Jak to możliwe, że doświadczeni policjanci dawali się tak zwodzić? Dla konsultanta tej książki to żadne zaskoczenie. Okazuje się, że psychopaci są w stanie lawirować do tego stopnia, że bez trudu potrafią oszukać nawet... wykrywacz kłamstw.

Kłamstwo w żywe oczy

– Psychopaci kłamią w żywe oczy i nawet powieka im nie drgnie – mówi doktor Pobocho. – Nie odczuwają z tego powodu jakiegoś specjalnego napięcia.

Niektórzy uczeni twierdzą, że psychopatia jest formą utraty pamięci, a kłamstwo w wydaniu psychopatów można tłumaczyć nie tylko ich złą wolą – opowiadają bzdury, ponieważ bardzo szybko zapominają, o czym przed chwilą mówili. Bardzo wygodne wytłumaczenie dla przestępców, którzy z premedytacją pomawiają innych.

Człowiek o prawidłowo ukształtowanym mózgu, zmuszony do ukrywania prawdy nie czuje się komfortowo. Zdradza go mowa ciała: podczas rozmowy ucieka wzrokiem, obgryza paznokcie, nie śpi po nocach, bo bije się z myślami, co ma zrobić: brnąć w kłamstwie czy wyjawić prawdę. Psychopata śpi spokojnie. Dla niego skrzywdzić, pomówić, wykorzystać to jak splunąć.

Tacy ludzie chętnie deklarują, że mogą się poddać badaniom na wykrywaczu kłamstw. Wyniki badań wariograficznych wychodzą na ich korzyść, ponieważ psychopaci potrafią oszukać maszynę. Naukowcy wyjaśniają, że pomaga im w tym wrodzony chłód emocjonalny, kontrola nad wegetatywnymi reakcjami organizmu. U większości ludzi kłamstwo wywołuje szybszą akcję serca, zdenerwowanie i pocenie się rąk. Oni czegoś takiego nie odczuwają.

Naukowcy opracowali narzędzia do pomiaru chłodu emocjonalnego psychopatów.

„Kryterium pomiaru są fizjologiczne reakcje organizmu podczas doznawania takich emocji, jak strach, radość, miłość czy nienawiść. Przy pobudzeniu wegetatywnego układu nerwowego (mechanizmu zawiadującego strachem, reakcja ucieczki lub walki) denerwujemy się, zaczynamy się pocić, zasycha nam w ustach, serce bije szybciej. Większość z nas odbiera te reakcje jako nieprzyjemne. Staramy się ich unikać, uczymy się więc unikać sytuacji, które je wywołują. Wiele

jednak przemawia za tym, że u psychopatów wegetatywny układ nerwowy reaguje bardzo słabo.

Jednym ze standardowych mierników psychologicznego pobudzenia jest elektryczne przewodnictwo skóry. Niewielkie zmiany bodźców – może to być nawet ciąg myśli lub jakaś emocja – powodują niekiedy krótkotrwałe zwiększenie tego przewodnictwa. Jest to część mechanizmu «walki lub ucieczki». Kiedy coś nas przeraża, zaczynamy się na przykład pocić, co sygnalizuje lub antycypuje strach przed bólem. Pot zwiększa elektryczne przewodnictwo. Zjawisko to wykorzystano w tzw. wykrywaczu kłamstw. Badania agresywnych psychopatów wykazały, że stopień elektrycznego przewodnictwa jest u nich niższy, słabsze też są spontaniczne fluktuacje.

Z tego powodu testy przeprowadzane przy zastosowaniu wykrywacza kłamstw okazują się najmniej skuteczne wobec tych właśnie ludzi, których najbardziej chcielibyśmy przyłapać na kłamstwie. Im się ręce nie pocą.

Niski stopień pobudliwości psychopatów wykazano w następującym eksperymencie, przeprowadzonym na grupie więźniów. Pokazano im ciąg liczb, od jednego do dwunastu. Eksperymentator uprzedził, że jeśli ukaże się osiem, zostaną porażeni prądem. U więźniów niebędących psychopatami w miarę zbliżania się do fatalnej ósemki pojawiły się silne reakcje elektrycznego przewodnictwa skóry. Innymi słowy, denerwowali się w oczekiwaniu elektrowstrząsu, co przejawiało się możliwym do zmierzenia poceniem.

Psychopaci nie przejawiali takich reakcji wcale, albo prawie wcale, zanim pojawiła się fatalna liczba.

Inne badania prowadzono na więźniach, którzy mieli niebawem stanąć przed sądem. Poziom katecholamin we krwi, znamionujący poziom podniecenia, podnosił się u normalnych więźniów w miarę zbliżania się dnia procesu.

Psychopaci podobnych sensacji nie doznawali, sprawiali wrażenie, jakby obojętne im było, co się z nimi stanie.

Psychopaci dopuszczają się takich a nie innych czynów, łamiąc wszelkie reguły cywilizowanego zachowania i wszelkie zasady, gdyż w mniejszym lub większym stopniu są odporni na strach i niepokój”⁶.

1. W: *Z archiwum Sz. Śladem szczecińskich historii niezwykłych XX wieku*, praca zbiorowa, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2005, s. 52–53. [\[wróć\]](#)
2. Tamże, s. 53. [\[wróć\]](#)
3. Bogusław Sygit, *Kto zabija człowieka... Najgłośniejsze procesy o morderstwa w powojennej Polsce*, wyd. I, Wydawnictwo Prawnicze, Warszawa 1989. [\[wróć\]](#)
4. Tamże. [\[wróć\]](#)
5. Anne Moir, David Jessel, *Zbrodnia rodzi się w mózgu: Zagadka biologicznych uwarunkowań przestępczości*, przeł. Hanna Jankowska, Książka i Wiedza, Warszawa 1998. [\[wróć\]](#)
6. Tamże. [\[wróć\]](#)

Rozdział 9

Jak się nie dać psychopacie

Człowiekiem, który wie wszystko o psychopatach, jest emerytowany kanadyjski naukowiec Robert Hare, ekspert w dziedzinie psychologii kryminalnej. Całe swoje zawodowe życie poświęcił studiowaniu ich zachowań. Szacował, że stanowią jeden procent ogólnej populacji, i ostrzegał, że nie wszyscy przebywają w więzieniach. Hare, cytowany przez Anne Moir i Davida Jessela, twierdzi, że psychopatów jest zaskakująco wielu, zarówno za więzienną kratą, jak i na wolności.

„Spotykamy ich na co dzień, wszyscy bywaliśmy przez nich oszukiwani i manipulowani. To drapieżnicy działający w społeczeństwie. Czarują, manipulują i bezwzględnie torują sobie drogę przez życie, zostawiając za sobą niezliczone złamane serca, zawiedzione nadzieje i puste portfele. Całkowicie pozbawieni sumienia i uczuć wobec innych. Zagarniają samolubnie wszystko, na co mają ochotę, i postępują według własnego widzimisię, łamiąc normy społeczne i zawodząc oczekiwania bez najmniejszego poczucia winy czy wyrzutów sumienia”¹.

Robert Hare wskazał, jak ich rozpoznawać (i unikać dla własnego dobra). W 1970 roku opracował Skalę Obserwacyjną Skłonności Psychopatycznych, czyli narzędzie diagnostyczne do wykrywania psychopatii. Stosowana z powodzeniem do dziś, dzięki upublicznieniu w Internecie, spełnia nie tylko naukowe, ale również profilaktyczne funkcje.

– To właśnie „skala Hare’a” znalazła się na amerykańskich portalach kobiecych ostrzegających przed zagrożeniem z ich strony – mówi doktor Jerzy Pobocho. – W USA chodzi głównie o aspekt finansowy, ponieważ jest tam wiele zamożnych kobiet, które stają się celem dla psychopatów. Omotane przez nich i zmanipulowane tracą nie tylko majątek, ale zdrowie

i pozycję społeczną. Warto przyjrzeć się ustaleniom naukowca, aby nauczyć się rozpoznawać takich ludzi w swoim otoczeniu.

Skala Hare'a, czyli demaskujemy psychopatę

Skala zawiera 20 elementów, które podlegają punktowej ocenie psychiatry lub psychologa klinicznego, od 0 do 2:

0 – zachowanie lub cecha zupełnie nie pasuje do osoby ocenianej

1 – cecha ta jest obecna, ale nie dominująca

2 – pasuje idealnie

Na użytek własny możemy sami pokusić się o ocenę np. despotycznego szefa, skaczącego z kwiatka na kwiatek znajomego lub chorego z zazdrości partnera (partnerkę). Bierzemy pod uwagę następujące cechy i zachowania:

- powierzchowny urok i swoboda w kontaktach z innymi
- wyolbrzymione poczucie własnej wartości
- potrzeba stymulacji, skłonność do szybkiego odczuwania nudy
- patologiczne kłamstwo
- oszustwa i manipulowanie
- brak wyrzutów sumienia i poczucia winy
- płytki afekt, nieumiejętność zaangażowania się w związek
- bezduszość i brak empatii
- pasożytniczy styl życia
- kontrola własnego zachowania
- sprawianie problemów wychowawczych w dzieciństwie
- brak realistycznych, długoterminowych celów
- impulsywność
- nieodpowiedzialność
- wiele krótkotrwałych małżeństw

- poczucie bezkarności
- przestępstwa popełniane w młodości
- naruszanie zasad zwolnienia warunkowego lub kurateli
- dokonywanie różnego rodzaju przestępstw
- promiskuityzm (kontakty seksualne pozbawione więzi uczuciowych, podejmowane z przypadkowymi, często zmienianymi partnerami)

Normalny człowiek mieści się w przedziale 3–6 punktów. Osoby z wynikiem 30 i więcej kwalifikowane są jako psychopaci (tak najczęściej oceniani są kryminaliści, m.in. zabójcy, gwałciciele, gangsterzy porywający dla okupu). Maksymalny wynik to katastrofa i sygnał do natychmiastowej ucieczki.

– Psychopaci to osoby z reguły wykształcone, inteligentne – ocenia psychiatra. – Pracują w wielu zawodach i sprawdzają się w korporacjach, ponieważ defekt uczuciowości wyższej sprawia, że nie mają skrupułów wobec pracowników. Nie uznają sprzeciwu, są głusi na logiczne argumenty. Dla nich pojedynczy człowiek nie ma znaczenia. Liczy się tylko wynik finansowy, interes firmy, sukces. Z punktu widzenia korporacyjnego są wzorowymi szefami.

Psychopata w korporacji

– Wykorzystywanie pracowników do granic możliwości jest dopuszczalne jedynie w krajach takich jak Polska, gdzie panuje dziki, początkujący kapitalizm. W wysoko rozwiniętych krajach, jak Japonia czy Szwajcaria, to jest nie do pomyślenia. Tam obowiązuje zasada, że im pracownik starszy, tym jest cenniejszy. U nas jest odwrotnie: skończysz 50 lat i wylatujesz z roboty. Wmawia się ludziom z doświadczeniem, że ich czas się skończył, że są już nieużyteczni. To jest skandaliczne, ale tak się dzieje.

Psychopaci świetnie nadają się do takiego sposobu zarządzania firmami. Prawo jest wobec nich bezsilne.

- **Przecież to, o czym pan mówi, doktorze, jest łamaniem praw pracowniczych.**

– Nikogo to nie interesuje. Liczy się wynik i tylko to „ile, kiedy”. Chodzi o maksymalne dociśnięcie pracownika. Jego samopoczucie, stresy, bezsenność to sprawy nieistotne. Wycisnąć z niego, ile się da – oto zadanie szefów korporacji.

– **Co może zrobić pracownik, jeśli się na to nie godzi?**

– Zawsze może odejść i na ogół się zwalnia. Zdecydowana większość pacjentów gabinetów psychiatrycznych trafia do lekarza właśnie z powodu problemów w pracy. Bezsenność, zaburzenia depresyjno-lękowe, niekiedy myśli samobójcze – tego wszystkiego można się nabawić w toksycznym miejscu pracy. Dochodzi poczucie bezsilności i przekonanie, że nic z tym nie można zrobić, dlatego najlepiej się zwolnić.

– **Ale czy to jest słuszne przekonanie?**

– Można znaleźć sposób na takich przełożonych, ale trzeba wiedzieć, że łatwo nie będzie i sprawa może zakończyć się w sądzie. Nie należy się tego bać, lecz umiejętnie przygotować na atak. Zawsze uprzedzam moich pacjentów, że ze strony psychopatycznego przeciwnika mogą się spodziewać absolutnie wszystkiego: pomówienia, preparowania dowodów, a przede wszystkim kłamstwa, które – jak już wiemy – przychodzi takim ludziom bez problemów. Osobiście znam przypadki, gdzie psychopaci polegli z kretesem. Były to na ogół prywatne firmy, a nie wielkie korporacje czy banki.

Miałem kiedyś pacjentkę z banku, na której wyżywała się psychopatyczna szefowa – bardzo ważna pani dyrektor. Zrobiła sobie z niej ofiarę. Kobieta, podobnie jak zdecydowana większość osób w takiej sytuacji, nie radziła sobie z emocjami. Nie spała, płakała, zapadła na depresję. Wykorzystała ponad 180 dni zwolnienia lekarskiego, a następnie świadczeń rehabilitacyjnych, które mogą trwać do 12 miesięcy. Chodziła do dziennej poradni terapeutycznej, powoli wraca do zdrowia. Pomimo tak długiego zwolnienia bank zatrudnił ją z powrotem, ale nie w oddziale u prześladowczyni.

– Ludzkie oblicze banku?

– Na to wychodzi. To jest kompetentna osoba, żal byłoby stracić tak cennego pracownika. Niestety ludzie z niskimi kompetencjami mają mniej szczęścia. Z moich obserwacji wynika, że rynek pracy dla absolwentów np. politologii, kulturoznawstwa, europeistyki czy socjologów jest bezwzględny. Młodzi ludzie, którym nikt nie powiedział, że po takich kierunkach nie ma pracy, są traktowani jako pracownicy drugiej kategorii. Szkoda mi ich, oni są później nieszczęśliwi, sfrustrowani. Mają wyższe wykształcenie, a muszą pracować fizycznie w magazynach albo lądują na kasie w markecie. Robią licencjaty, potem zaczynają kolejne kierunki i w sumie znają tylko języki.

To taka dygresja, ale wracamy do tematu przewodniego.

– Jak się przygotować do starcia z szefem-psychopatą?

– Przede wszystkim zbierać dowody w postaci maili, esemesów, nagrywać rozmowy. Trzeba wszystko dokumentować, nie roztrząsając moralnych dylematów, czy to jest etyczne czy nie. Przeciwnik takich oporów nie ma: podsłuchuje rozmowy, sprawdza pocztę, wyposaża samochody służbowe w GPS-y oraz inne urządzenia szpiegujące. Dlaczego zatem pracownik nie powinien się zabezpieczyć, nawet na wszelki wypadek? Nagrywanie wszystkich i wszystkiego jest znakiem naszych czasów. Pamięta pani ministra sprawiedliwości, który na konferencji prasowej, wskazując na dyktafon, mówił: „To jest gwoździec do trumny Andrzeja Leppera”?

– Oczywiście, że pamiętam.

– Teraz w grę wchodzi nie tylko nagrywanie, ale zakładanie urządzeń podsłuchowych nawet tam, gdzie nie ma na to oficjalnej zgody. Afera podsłuchowa z restauracji „Sowa i Przyjaciele” udowodniła, że można zdobyć haki nawet na ministra spraw wewnętrznych, który nielegalny podsłuch powinien wyczuwać szóstym zmysłem. Zatem jeśli nawet tacy

ludzie są rejestrowani, to dlaczego osoba nękana w miejscu pracy nie miałyby się posłużyć sprawdzonymi technikami operacyjnymi?

Przed sądem celem nie jest już wyłącznie psychopatyczny prezes czy kierownik, lecz korporacja dopuszczająca gnębienie pracowników. Oni mają pieniądze i doskonałych prawników, potrafią umiejętnie zastawić się przepisami, odwrócić kota ogonem. Do tego działają zespołowo, więc nie można wybierać się na wojnę z takim przeciwnikiem z „pustym magazynkiem”. Ofiara mobbingu w miejscu pracy lub molestowania seksualnego powinna mieć świadomość, że najtrudniej będzie ze świadkami. Ludzie boją się o swój byt, że dostaną wilczy bilet, nie chcą się zgodzić na składanie zeznań przed sądem. Rozmowy w cztery oczy, kiedy współpracownicy współczują i namawiają „zrób coś z tym”, wyglądają inaczej niż przesłuchanie w sądzie czy w prokuraturze.

– **Trzeba liczyć wyłącznie na siebie?**

– Jeśli coś nie jest nagrane, sfotografowane, zeskanowane, to tego nie ma. To jest szerszy problem, nie dotyczy wyłącznie sporów prawnych z psychopatami, ale generalnie wymiaru sprawiedliwości. Aby doczekać się zadośćuczynienia za doznane upokorzenia i karę dla sprawcy, trzeba mieć dowody, a nie dobre chęci i poczucie krzywdy. Liczą się fakty, a maile i nagrania nimi są. Im jest ich więcej, tym bardziej przemawiają.

Dla psychopaty kłamstwo jest czymś tak naturalnym, że oni tego w ogóle nie hamują. Nie boją się konsekwencji prawnych, szczególnie w sprawach cywilnych, trwających przecież latami. W toku postępowania przed sądem psychopata będzie oszukiwać, kręcić, wymyślać nie wiadomo co. Trzeba być na to przygotowanym. Normalni ludzie mają taką tendencję, aby sądzić innych według siebie: „Skoro ja bym tego nie zrobił, to przecież przeciwnik też mi tego nie zrobi”, np. nie zaatakuję mojej rodziny. Takie myślenie jest kardynalnym błędem, właśnie trzeba być na taki atak przygotowanym. Ułatwimy sobie wówczas funkcjonowanie w trudnym starciu z nieobliczalnym przeciwnikiem procesowym. Jeśli człowiek o tym wie, to jest przygotowany do konfrontacji.

Skrajnie wyrachowanym pracodawcą był dyrektor Teatru Akademickiego w Warszawie, napastujący swoje uczennice. Wulgarny,

prymitywny, chamski, stale tylko seks był mu w głowie. I pomyśleć, że ktoś taki prowadził zajęcia z młodzieżą od 20 lat. Studentki bały się wystąpić przeciwko niemu, wiedziały, że może je wykluczyć ze spektakli. Jedna z nich nagrała go ukrytą kamerą i odważyła się przekazać dowody dziennikarzom.

Prasówka:

„– Ćwicz dykcję, jakbyś robiła chłopakowi dobrze ustami. [...] Jeszcze masz striptiz przede mną zrobić. Może mi p...ła stanąć, jak to zrobisz – tak zwracał się do kandydatki dyrektor Ryszard A. w Teatrze Akademickim w Warszawie.

Ryszard A. swoim podopiecznym regularnie proponował seks, miał też nakłaniać dziewczyny do zdejmowania majtek, żeby przełamały strach. Jedna z kandydatek próbowała recytować tekst, dyrektor jednak przerywał jej w obrzydliwy sposób.

– Ścieka, wiesz, jak ścieka sperma? Myślałem, że się tak podnieciłaś, bo ci mokro. Masz już 18 lat. Nie możesz komuś powiedzieć, że cię c...a boli. A ty jeszcze masz striptiz przede mną zrobić. Nauczę cię, chcesz? On może być bardzo podniecający, może mi k... stanąć – zachęcał.

Seksistowskie zaczepki formułował, nie owijając w bawełnę.

– Ty masz piękną pupę. Nie wiem nigdy, kiedy mi k... stanie – mówił do studentek. Innym opowiadał ze

szczegółami, jak w wieku 21 lat stracił dziewictwo. Proponował ćwiczenia dykcji «tak jakbyś uprawiała ze swoim chłopakiem seks oralny».

– Kazał otworzyć usta, wkładał mi łyżeczkę do buzi i pokazywał, gdzie mam dotykać językiem zębów. Nie chciałam tego, to było po prostu obrzydliwe. Ewidentnie było widać, że miał przyjemność z tego, jak bardzo się stresowałam – opowiadała bohaterka reportażu *Superwizjera*. Na zajęcia przyszła z ukrytą kamerą.

– Nie masz rzeźączki? Nie będę ci teraz sprawdzał. Ja ci nie doradzam, kto cię ma bzykać, ale oczywiście, że bym chciał. Jak twój chłopak będzie ci lizał c...ę, to najlepiej byłoby, żeby całą lechtaczkę. Ale ja to robię lepiej. On liże c... od dwudziestu kilku lat, ja prawie dwa razy tyle – tłumaczył.

—

(Tak „rekrutował” dyrektor teatru w Warszawie. *Obrzydliwe praktyki wobec kandydatek, natemat.pl, na podstawie: Superwizjer TVN, 9.09.2018).*

– W podobny sposób zachowywał się profesor seksuologii z Poznania – przypomina psychiatra. – W swoim prywatnym gabinecie, gdzie przyjmował pacjentki z problemami w związkach partnerskich, dopuszczał się wobec nich molestowania seksualnego. Można go było postawić za to przed sądem dzięki nagraniu z ukrytej kamery, które także upublicznili dziennikarze. Prokurator żądał dwóch lat pozbawienia wolności, a sąd wydał wyrok znacznie surowszy, bo 4 lata. Seksuolog odbył go co do dnia.

Osoby nękanie przez psychopatów nierzadko załamują się już na starcie, przypisując oprawcom niemal nadprzyrodzone moce. Umniejszają swoje prawo do obrony, tłumacząc: „bo oni są tacy inteligentni i pewni siebie”. Psycholog Katarzyna Kolasińska, biegła sądowa (i skarbnica wiedzy o zaburzeniach osobowości), wbija nam do głowy, że nie wolno myśleć w ten sposób.

– Nie przesadzajmy z tą ich inteligencją – mówi stanowczo. – Ona nie jest jakaś nadzwyczajna, diametralnie inna niż u ludzi bez antyspołecznych skłonności. Po prostu psychopaci mają zdecydowanie mniej zahamowań, nie obawiają się konsekwencji swoich czynów, zatem są odbierani jako bardziej konkretni, zdecydowani w działaniu. W korporacjach tacy ludzie są pożądanymi, stąd te szybkie kariery osób bez skrupułów. Ale jeśli chodzi o inteligencję, to oni naprawdę nie plasują się w ścisłej czołówce. Kanadyjczycy przeprowadzili ciekawy eksperyment terapeutyczny z udziałem przestępców o psychopatycznym profilu. Po udziale w zajęciach, podczas których poniekąd uczyli się empatii oraz wrażliwości społecznej, ich przestępcze działania stały się bardziej wyrafinowane i niebezpieczne. Uczestnicy eksperymentu zostali wyposażeni w narzędzia, którymi zdobywali zaufanie ofiar: pochlebstwa i komplementy, czułe słówka. To była pożywka do tego, by mogli perfekcyjnie manipulować. Po latach okazało się, że statystycznie częściej uczestnicy eksperymentu powracali na drogę przestępstwa niż osoby, które w tym programie nie uczestniczyły.

– **Czy jesteśmy bezbronni wobec takich osób?** – pytam Katarzynę Kolasińską.

– Absolutnie nie! – przekonuje psycholog i służy radą: – Po pierwsze należy popracować nad asertywnością, czyli – w tym wypadku – zakreślanie własnych granic, które nie podlegają negocjacji, np. „Nie mogę brać dyżurów nocnych, ponieważ jestem matką samotnie wychowującą dziecko”.

Z asertywnością lepiej nie przesadzić, ponieważ sytuacja na rynku pracy nie stawia pracowników w uprzywilejowanej pozycji. Nawet świetnego fachowca można zastąpić innym, równie dobrym. Asertywność w firmie, będąca próbą obrony własnych praw i godności osobistej, przez pracodawcę odbierana jest w zdecydowanej większości jako przejaw arogancji i niesubordynacji, naraża pracowników nie tylko na gniew szefa, ale także na utratę pracy. Nikt nie chce negocjacji, tylko natychmiastowego wykonywania poleceń. Obowiązuje zasada „jak się nie podoba – droga wolna”.

Kiedy jesteśmy pod ścianą i nie mamy pomysłu, co dalej, w gabinecie psychologa pytamy: Co zrobić, by zachować szacunek do samego siebie i nie stracić posady? Sami wiemy, że mamy prawo bronić swoich racji i swojej godności, także w relacjach z przełożonym, ale nikt nie chce wylecieć na bruk. Psycholog Katarzyna Kolasińska podpowiada, że w sytuacjach spornych mamy trzy wyjścia:

1. Przyjąć postawę bierną – udawać, że nic się nie stało i racja przełożonego zawsze jest najważniejsza. Konsekwencją takiego zachowania będzie kumulowanie w sobie żalu i złości. Któregoś dnia, gdy miarka się przebierze, dojdzie do niekontrolowanego wybuchu emocji. Wtedy przypina się człowiekowi łątkę, że jest niezrównoważony, nieprzewidywalny i że w pracy nie można na nim polegać.
2. Postawić się, czyli sprzeciw (agresja) wobec szefa, ale wówczas pracownikiem jest się krótko. Sama złość i atak nie rozwiązują problemu.
3. Spróbować spokojnie, ale zdecydowanie bronić swoich praw i racji. Możemy powiedzieć „nie” – bez ironii, złości lub przeproszenia za odmowę. Nie tłumaczymy się, lecz wyjaśnijmy, o co nam chodzi. „To przekracza moje kompetencje, ale widzę rozwiązanie tego problemu: może pan/pani skierować mnie na dodatkowe kursy zawodowe”. Pomysł na rozwiązanie problemu zazwyczaj pacyfikuje przeciwnika, osłabia jego atak.

Unikajmy sformułowań: „pan powinien”, „szef nie może”, „niech pan...”. Mówmy wyłącznie o sobie: „ja widzę to inaczej”, „ja się z tym nie zgadzam”, „ja chcę zrobić to w inny sposób”. Informujmy, czego potrzebujemy, a czego nie akceptujemy: „nie chcę całego dnia spędzać w pracy – czas dla rodziny to dla mnie bardzo ważna rzecz”. Jeżeli zrezygnujemy z obrony tego, co dla nas ważne, to przyzwolimy na lekceważące traktowanie nas, będziemy w pracy wykorzystywani.

– Jeżeli szef ma wyraźne cechy psychopatyczne i wiecznie ma o coś pretensje, najlepiej zwrócić się do niego z prośbą, aby w oficjalnej korespondencji podał przykłady naszej niesubordynacji lub niekompetencji

– kontynuuje psycholog. – Wtedy przełożony będzie musiał trzymać się konkretów, a nie opinii, która zrodziła się w jego głowie. Owszem, jest to swego rodzaju upierdliwość, ale bywa skuteczna. Odbijmy piłeczkę na jego pole, wymuszamy merytoryczne podejście do sprawy. Za którymś razem szef powinien zrobić bilans zysków i strat. Niewykluczone, że odpuści.

– **A gdy sprawa stanie na ostrzu noża i zwiastuje „ rozmowę dyscyplinującą”?**

– Postarajmy się, aby świadkiem rozmów z psychopatycznym szefem był przedstawiciel związków zawodowych (jeśli takowe są w zakładzie pracy). Związkowcy nie są ulubieńcami pracodawców, ale w sprawach sądowych są najlepszymi świadkami. W przeciwieństwie do kolegów i koleżanek z pracy nie dają się zastraszyć. Każdy inny świadek też byłby wskazany, ale jeśli pracuje w tej samej firmie, do tego nie chce stracić posady – wycofa się, gdy sprawa trafi do sądu.

I jeszcze jedno – reasumuje psycholog. – Problem wynikający z psychopatycznych zapędów szefa trzeba nagłośnić, np. na zebraniu, kolegium, także w mediach. Sprawimy, że pole do manipulacji znacznie mu się zawęzi. Nie wolno dopuścić do sytuacji, kiedy wyczyny psychopaty będą jedynie prawdami szeptanymi.

Psychopata musi wiedzieć, że nie jest bezkarny, a poza korporacją jest świat, w którym obowiązuje prawo.

– Problem z psychopatią jest jeszcze inny – zwraca uwagę doktor Pobocho. – Pewien szwajcarski psychiatra opisał, że podczas zmian społeczno-politycznych to oni wypływają na wierzch i nami rządzą, stanowią prawo. W miarę jak społeczeństwo się cywilizuje, stabilizuje, oni zaczynają tracić na znaczeniu, ponieważ inne wartości stają się ważniejsze, nie tylko bezwzględność i nieczułość. Na razie jednak do stabilizacji nam daleko.

Wariatka do zwolnienia

Psychopaci wybijają się na liderów w instytucjach i służbach, które z definicji powinny stać na straży prawa. Ludzie, którzy w skali

Hare'a osiągnęliby wynik powyżej 30 punktów, ciągną do Policji i Służby Więziennej jak ćmy do światła. Sprawy psychicznego dręczenia podwładnych w formacjach, gdzie posiadanie broni jest na porządku dziennym, już nie raz kończyły się samobójczą śmiercią dręczonego pracownika. Sprawa najczęściej umiera wraz z człowiekiem, chociaż powinna trafić do prokuratury i sądu.

– Wina nie zawsze leży po stronie zwierzchnika – zaznacza psychiatra. – Osobami nękającymi mogą być współpracownicy, czyli koledzy i koleżanki. To jest jak fala w wojsku czy podkultura więzienna. I taka fala zdarza się w zakładzie pracy. Chodzi o to, aby kogoś wygryźć z zespołu lub stanowiska, niekoniecznie po to, aby zająć jego miejsce.

– **Więc po co to wszystko?**

– Dla samego dręczenia, poniżania, doprowadzenia kogoś słabszego na skraj nerwowego wyczerpania. Szuka się osoby wrażliwej, która wszystkim się przejmuje i nie potrafi się obronić. Na kimś takim łatwo się wyżywać. Taki człowiek się nie postawi, nie poskarży, znosi wszystko w milczeniu.

Ofiarą stają się też osoby, które „nie mają pleców”. Można być ofermą i na niczym się nie znać, ale jeśli ma się poparcie kogoś znaczącego, to nikt się nie wychyli, nie zaatakuje. Tak to wygląda – samo życie i psychologia społeczna.

Wielu pracowników jest w stanie to znieść, w szczególności mężczyźni. Gorzej, gdy jest to kobieta. W takich sytuacjach kobiety generalnie są bardziej pokrzywdzone. W „pakiecie” – przy okazji mobbingu – spotykają się z podtekstami seksualnymi i nieprzyzwoitymi propozycjami. Kiedy kobieta próbuje się bronić, robi się z niej wariatkę i kwalifikuje do zwolnienia. W służbach mundurowych to często stosowana praktyka.

Czy w ogóle można zrobić wariata/wariatkę z osoby zdrowej psychicznie? Tak dla hecy albo żeby się tego kogoś pozbyć z pracy? Oczywiście! Opowiemy o tym, przytaczając historię funkcjonariuszki Służby Więziennej z Koszalina, która przeżyła to na własnej skórze. Ten fragment książki, inspirowany reportażami autorki w „Kurierze Szczecińskim”, polecamy w szczególności pracodawcom dopuszczającym się mobbingu – ku

przestrodze. Niech pamiętają, że czasami kosa trafia na kamień, a kłamstwo ma krótkie nogi. Nawet jeśli później pną się po szczeblach kariery, to smród z przeszłości pozostaje.

Personalia bohaterki z oczywistych względów zostały zmienione.

Ona i oni

Lekarze z resortowej komisji zdrowia MSWiA musieli przyznać się do błędu, który zniszczył życie zawodowe i osobiste młodej funkcjonariuszce zwolnionej z pracy w atmosferze mobbingu.

Joanna Konarska, uznana przez nich za niezdolną do służby inwalidkę i „wariatkę”, okazała się w pełni zdrowa i jak najbardziej zdolna do służby w resorcie. Skandaliczna mistyfikacja wydała się po trzech latach, chociaż szczenińscy psychiatrzy: doktor Ewa Kramarz oraz doktor Jerzy Pobocho od początku alarmowali, że w diagnozowaniu stanu jej zdrowia dopuszczono się kardynalnego błędu. Stanęli za nią murem, chociaż sami byli psychiatrami resortowymi (na etatach Aresztu Śledczego w Szczecinie) i ryzykowali, że przełożonym w Służbie Więziennej bardzo się to nie spodoba.

– Przez trzy lata byłam zaszczutym człowiekiem – mówiła bohaterka tamtej historii. – Przegrałam z układem i odebrało mi to chęć do życia. Bałam się podnieść głowę, spojrzeć ludziom w oczy. Wydawało mi się, że wszyscy wiedzą, że jestem niespełna rozumu.

Ostatecznie wygrała z układem, chociaż jej sytuacja wydawała się beznadziejna. Oboje z mężem starali się wtedy o adopcję dziecka. „Żółte papiery” jednego z małżonków przekreślały szanse na stworzenie rodziny.

Pani do towarzystwa

Joanna Konarska była wtedy po trzydziestce i z pewnością podobała się mężczyznom: brunetka o wielkich oczach, nienagannej sylwetce i regularnych rysach twarzy. Miała klasę. W jej zachowaniu trudno byłoby doszukiwać się chociażby cienia seksualnej prowokacji. Skromna

i przyjazna, poza tym od dwunastu lat w szczęśliwym związku z wychowawcą zakładu karnego. Skończyła szkołę podoficerską, obroniła pracę magisterską z resocjalizacji na Wydziale Studiów Edukacyjnych Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu i dostała etat w administracji Inspektoratu Służby Więziennej w Koszalinie. Przełożeni nie mieli zastrzeżeń do jej pracy. Była chwalona, ceniona za kompetencje i sumienność do tego stopnia, że powierzono jej prowadzenie kancelarii tajnej zakładu karnego.

Przełomem w jej życiu okazał się kilkudniowy wyjazd służbowy do Hamburga w charakterze tłumacza.

– Propozycję wyjazdu złożył mi sam Dyrektor Okręgowy Służby Więziennej – opowiadała autorce Joanna Konarska. – Byłam zaskoczona, ponieważ mieliśmy w inspektoracie tłumacza. Kiedy próbowałam odmówić, dyrektor okręgowy stwierdził, że to polecenie służbowe i „nie mamy o czym dyskutować”. Widać zorientował się, że stawia mnie w niezręcznej sytuacji, ponieważ od razu dodał: „Nie ma się czego obawiać. Oprócz mnie będą jeszcze dwie kobiety”. Na wyjazd nalegał także dyrektor zakładu karnego. Stwierdził, że mam nie robić głupstw, bo będę tego żałowała. Argumentował: „To jest służba, a pani powinna czuć się wyróżniona”.

Już pierwszego dnia delegacji, tuż po godz. 23, nie był potrzebny tłumacz, lecz pani do towarzystwa.

– Do mojego hotelowego pokoju przyszedł dyrektor okręgowy z przyjacielem z resortu pod pretekstem uzgodnienia ważnej sprawy. Ich nocne wizyty z alkoholem powtarzały się codziennie: dobijali się do drzwi, zabierali „przez pomyłkę” moje klucze. Dyrektor powiedział, że oddaje mnie pod opiekę swojemu przyjacielowi, dla którego mam być miłą, bo to bardzo ważna osoba. Powód, dla którego zabrano mnie na delegację, stał się oczywisty: traktowano mnie jak świeżą krew w resorcie do przetestowania. Nie spełniałam oczekiwań przełożonego, który nawet nie próbował ukrywać, że jest ze mnie niezadowolony.

Kobieta zamykała się wieczorami w pokoju i udawała, że nie słyszy nawoływań stojących pod drzwiami podchmielonych mężczyzn. W ciągu dnia zachowywała się tak, jakby nic się nie stało. Miała nadzieję, że panowie wytrzeźwieją, przeproszą i sprawa pójdzie w zapomnienie. Nic bardziej mylnego.

– Po powrocie z Hamburga żona była wyraźnie zmieszana – przypomina sobie mąż molestowanej funkcjonariuszki. – Nie chciała mówić o szczegółach, a ja nie naciskałem. Dopiero po kilku miesiącach zaczęły dochodzić do mnie dziwne plotki. Koledzy z pracy powtarzali wieści z odpraw, na których dyrektor bez ogródek mówił, że Joannę trzeba zwolnić z pracy.

Persona non grata

Pierwszy oficjalny sygnał, że sprawy mają się kiepsko, pochodził z sekretariatu Dyrektora Okręgowego Służby Więziennej w Koszalinie. Dwa miesiące po niefortunnym wyjeździe jego sekretarka zatelefonowała do Joanny Konarskiej.

– Powiedziała, że przełożony jest ze mnie bardzo niezadowolony, a ona sama jest zawiedziona, że mnie poleciła jako tłumacza. Na moje pytania, co takiego złego zrobiłam, usłyszałam: „Dyrektor jest na ciebie wściekły i nie chce o tobie słyszeć”.

Pani Joanna próbowała – drogą służbową – umówić się na spotkanie z szefem. Sekretarka oznajmiła, że dyrektor nie chce jej widzieć i ma do niego zakaz wstępu. Coraz więcej osób w inspektoracie szeptało, że „zapałał do niej niechęcią”. W pracy zwiększono jej zakres obowiązków i przeniesiono biurko do piwnicy. Co rusz nasyłano kontrole, nie przyznawano nagród i wstrzymywano możliwość wyjazdu na kursy zawodowe. Kierownik działu kwatermistrzowskiego, któremu bezpośrednio podlegała, bez ogródek przyznał, że nie chciał jej w dziale, ale „dyrektor mu kazał”. Z udawaną troską kręcił głową, ubolewając, że będzie zmuszony wystawić jej negatywną opinię, bo ma w tej sprawie naciski z góry.

– Mój bezpośredni przełożony posuwał się nawet do tego, że bez ogródek wypytywał, dlaczego nie noszę sukienek i z jakiego powodu nie lubi mnie pan dyrektor okręgowy. Z kolei dyrektor zakładu karnego sugerował, że powinnam zmienić miejsce pracy. Oferował mi swoją pomoc w tym zakresie.

Kobieta nie przyjęła tej propozycji, chociaż szef inspektoratu coraz dobitniej okazywał jej swoje niezadowolenie.

– Któregoś dnia spotkałam go na terenie zakładu i powiedziałam „dzień dobry” – opowiadała. – Ostentacyjnie odwrócił się do mnie plecami i zaczął witać się z więźniami kopiącymi rowy. Osadzeni głośno to potem komentowali – zachowanie dyrektora zrujnowało mój autorytet. Okazał mi najwyższy stopień lekceważenia.

Kierownik działu kwatermistrzowskiego doradzał pani Joannie, aby stała się uległa i nauczyła się pokory. Nie precyzował, o jaką uległość chodziło. Kontrolował jej pracę ze wzmożoną energią, ale do niczego nie mógł się przyczepić. Ludzie mówili coraz głośniej, że dni Joanny Konarskiej w zakładzie karnym są policzone.

– To było piekło, byłam jak trędowata – oceniała wtedy. – Ludzie bali się rozmawiać ze mną, przewidując, że mogą mieć przez to podobne problemy. Czułam się zaszczuta, wyrzucona poza nawias.

Wszystko odbiło się na jej zdrowiu. Zaczęła mieć problemy z zaśnięciem, traciła na wadze, była roztrzęsiona. Na samą myśl, że musi iść do pracy, dostawała bólu żołądka. Zadręczała się też, że przez nią posadę może stracić mąż.

Psycholog od rujnowania życia

Kobieta zaczęła szukać pomocy lekarzy. Skorzystała z możliwości przeprowadzenia rutynowych badań w Szpitalu Specjalistycznym MSWiA w Jeleniej Górze Cieplicach. Została tam na dłużej, wystawiono jej zwolnienie lekarskie. Psycholog Piotr K. napisał opinię o stanie jej zdrowia. Stwierdził zaburzenia osobowości, stawiające pod znakiem zapytania jej dalszą służbę w więziennictwie. Niepokoiło go, że „pacjentka stale zgłaszała poczucie wewnętrznego napięcia, które prowadzi do obniżenia efektywności jej funkcjonowania” i to, że „na stres związany z odpowiedzialnością odpowiadała szeregiem objawów somatycznych, uzyskując w ten sposób tzw. wtórne korzyści – wzbudzanie poczucia żalu i litości, a także bycia w centrum zainteresowania”.

Zalecił jej dalszą terapię, ale ona wróciła do pracy. Natychmiast stała się (ona lub opinia psychologa) pożywką dla plotek i spekulacji.

– Powtórzono mi, co powiedział o mnie szef podczas narady dyrektorów i kierowników jednostek penitencjarnych z całego województwa zachodniopomorskiego: „Jak ktoś jest psychicznie chory, tak jak ta panienska z działu kwatermistrzowskiego, to trzeba go zwolnić i wyrzucić na zbity pysk, bo dla psychicznie chorych to my tu miejsca nie mamy” – wspomina kobieta.

Podobne wieści docierały do jej męża.

– Musiałem się powstrzymać, aby sprawy nie załatwić po męsku – mówił autorce mąż Joanny. – Miałem ochotę przywalić mu w zęby i powiedzieć, co o nim myślę. Jednak to byłoby poniżające.

Wkrótce wręczono Joannie skierowanie na obligatoryjne badania. Miała stanąć przed Okręgową Komisją Lekarską MSWiA w Gdańsku. Przewodnicząca tej komisji stwierdziła, że schorzenia Joanny czynią ją całkowicie niezdolną do pracy w Służbie Więziennej. Od tej diagnozy nie było odwołania.

– Lekarz psychiatra nie wykonał żadnych badań, nawet nie pytał, jakie leki biorę. Powiedział, że jeżeli dyrektor skierował mnie na komisję, to widać dobrze wiedział, co robi. Z kolei lekarka orzekająca o mojej rzekomej nieprzydatności do pracy kazała mi się rozebrać do naga. Wypytywała mnie o seks i miesiączkowanie. To był horror. Upokorzenie. Moja klęska – oceniała dręczona kobieta.

I tu można by zakończyć tę historię. Nieprzydatna do służby to nieprzydatna. Widać wariatka. Ale to jeszcze nie koniec bezprawia.

Kryminalna sprawa

Adwokat Włodzimierz Łyczywek ze Szczecina, reprezentujący funkcjonariuszkę, dotarł do opinii o stanie zdrowia innej osoby, wydanej przez tego samego psychologa, który w Jeleniej Górze badał jego klientkę.

– Opinia dotyczyła pewnej pielęgniarki, przebywającej w tym samym czasie na podobnych co pani Joanna badaniach – opowiadał adwokat. – Ekspertyza psychologa Piotra K. o tej kobiecie, zajmująca trzy kartki, była identyczna jak diagnoza mojej klientki (!). Nie różniła się nawet kropką czy przecinkiem. Dwie całkowicie różne osoby przebywające na leczeniu

w tym samym pokoju miały takie same zaburzenia? Identyczną osobowość? Przecież mieliśmy do czynienia z ewidentną manipulacją.

Podobne zastrzeżenia do pracy resortowego psychologa zgłosiła doktor Ewa Kramarz – kierownik Centrum Psychiatrycznego przy ul. Żołnierskiej w Szczecinie.

– Historia, która spotkała panią Joannę, to wielkie draństwo – skwitowała psychiatra i napisała swoją diagnozę:

„W zachowaniu – swobodna, poprawna, naturalna. Dyskretny niepokój psychoruchowy w stanach napięcia emocjonalnego, tj. głównie w chwilach, w których opowiada o stosunkach panujących w pracy. Rozpoznane w SP ZOZ Szpitalu Specjalistycznym MSWiA w Jeleniej Górze zaburzenia adaptacyjne i zespół zmęczenia są zaburzeniami przemijającymi. Mogą się one zdarzyć u każdego człowieka w trudnej dla niego sytuacji życiowej. Nie świadczą o tym, że dana osoba jest chora psychicznie. Jeśli więc pan dyrektor okręgowy powiedział o funkcjonariuszce, że jest ona psychicznie chora, to byłoby to określenie co najmniej niefortunne i niepolegające na prawdzie.

Schorzenia pani Joanny były reakcją na stres spowodowany atmosferą w miejscu pracy. Pacjentka może bez przeszkód powrócić do pracy zawodowej na dotychczas zajmowanym stanowisku, pod warunkiem normalizacji atmosfery w miejscu zatrudnienia”.

Tego samego zdania byli też specjaliści spoza MSWiA (w Nysie i Krakowie), do których zgłosiła się prześladowana kobieta. „Ponadprzeciętna inteligencja, wysoki poziom wiedzy ogólnej, dobra pamięć. Jej schorzenie było reakcją na stres bez podłoża zaburzeń osobowości” – uznali.

Niestety to nie biegli psychiatrzy, ale lekarze z MSWiA, orzekając o rzekomej „trwałej niezdolności do pracy w Służbie Więziennej” Joanny Konarskiej, przypieczętowali jej los. Kobieta, zgodnie z sugestią dyrektora okręgowego, dostała wypowiedzenie.

– To było draństwo, niebywała ludzka krzywda, niegodziwość moralna przełożonych i lekarzy z komisji lekarskiej – komentowała przed kamerami doktor Ewa Kramarz.

Do nagłośnienia prawdy przyczynił się też doktor Jerzy Pobocho oraz adwokat pokrzywdzonej.

– Moja historia sprawiła, że rozumiałam kobiety, które ulegają namowom seksualnym ze strony swoich szefów. One nie chcą przeżywać tego upokorzenia i koszmaru, na który ja zostałam skazana – mówiła rzekoma „wariatka”.

Śledztwo Prokuratury Rejonowej w Jeleniej Górze wykazało, że Joanna Konarska stała się ofiarą skandalicznych praktyk – wrobiono ją w „żółte papiery”. Powołani do wyjaśnienia sprawy biegli z Zakładu Psychologii Klinicznej Uniwersytetu Jagiellońskiego uznali, że „nieprawidłowość opinii psychologicznej wykraczała poza granice dopuszczalnego błędu w diagnozowaniu”. Psycholog Piotr K. stanął przed sądem, a lekarze komisji resortowej z Gdańska musieli przyznać się do błędu. Spektakularne wyroki sądowe nie zapadły, a szkoda, bo kara mogła odstraszyć ewentualnych naśladowców.

Najważniejsze, że mistyfikacja się wydała, a funkcjonariuszce przywrócono dobre imię.

– Nie widzę żadnych przeszkód prawnych, aby pani Joanna została przyjęta do pracy. Służba Więzienna jako instytucja nie miała wpływu na wcześniejsze orzeczenie o stanie jej zdrowia, ale nie wykluczam w tej sprawie wpływu osobistego – komentował w rozmowie z autorką generał Jan Pyrcak, ówczesny szef polskiego więziennictwa.

Dyrektor Okręgowy Służby Więziennej, od którego wszystko się zaczęło, po latach wsławił się dobrym uczynkiem – zapłacił kaucję za upośledzonego umysłowo więźnia. Już jako emeryt został zastępcą Rzecznika Praw Obywatelskich, a następnie Głównym Koordynatorem do spraw Ochrony Zdrowia Psychicznego w biurze RPO.

1. Tamże, s. 143–144. [\[wróć\]](#)

Rozdział 10

Perfekcyjna manipulacja, czyli jak kochają psychopaci

Psychopaci czasami się zakochują, ale ich miłość jest powierzchowna. Uczuciu towarzyszy chorobliwa podejrzliwość i zazdrość. Obiekt westchnień psychopaty nie ma lekkiego życia. Jego/jej poczta mailowa jest inwigilowana, a zdjęcia w telefonie regularnie przeglądane. Płomienny afekt dość szybko przeradza się w kontrolowanie i szpiegowanie.

Zamiast czułych słówek charakterystycznych dla początku znajomości pojawiają się: irracjonalne podejrzenia o zdradę, wieczne pretensje o czas spędzany poza domem i coraz gwałtowniejsze wybuchy zazdrości. Psychopata stara się odciąć partnerkę/partnera od znajomych, wbić ją/jego w nieuzasadnione poczucie winy i przede wszystkim – przejąć kontrolę nad jej/jego życiem. Zazwyczaj udaje mu się to, gdyż potrafi czarować słowem, budzić współczucie i karmić swoje ego naszymi słabościami.

Zanim zdecydujemy się budować zamek na piasku, posłuchajmy ostrzeżeń psychologa i psychiatry.

Bez balastu uczuć

– Na postępowanie psychopatów nie mają wpływu ani pozytywne, ani negatywne emocje, a to przecież one modyfikują nasze, czyli większości ludzi postępowanie – mówi psycholog Katarzyna Kolasińska. – Dlatego psychopaci są określanii jako osoby ze spłyconą afektywnością, a w skrajnych przypadkach nawet brakiem jakiejkolwiek uczuciowości. Skoro czynnik modyfikujący zachowanie w ich przypadku nie istnieje, to mogą działać na zimno. Rozgrywają ludźmi trochę jak szachiści, jeśli są intelektualnie bardzo sprawni, albo warcabiści – gdy są przeciętni. Nie mają balastu emocjonalności.

Zimna kalkulacja tłumaczy, dlaczego psychopaci wazą się na takie czyny i kroki, na jakie nie zdecydowałyby się człowiek z prawidłową emocjonalnością – choćby ze strachu przed zdemaskowaniem, kompromitacją czy obawą przed zranieniem drugiej osoby. Skoro nie bierze się pod uwagę czyjejś krzywdy, to łatwiej podejmować decyzje. Ludzie są tylko pionkami w rozgrywce, to istoty odhumanizowane, pozbawione człowieczeństwa, mięso armatnie w wojnie psychopaty. Takie spojrzenie na innych generuje łatwość w posługiwaniu się przez nich kłamstwem, często tak bezczelnym, że wręcz przybierającym cechy prawdopodobieństwa. W starciu sądowym z kimś takim, na przykład na sprawie rozwodowej czy o zniesławienie, trzeba się spodziewać wszystkiego najgorszego – przestrzega psycholog.

Kluczową sprawą w relacjach intymnych jest dla psychopaty poczucie władzy nad partnerem. Oni mają silną potrzebę kontrolowania, podporządkowania sobie osoby, która jest ich „własnością”. Pełna kontrola i władza łechce ego psychopaty, poczucie jego własnej „nadwartości” w porównaniu z innymi.

Zdaniem pani psycholog perfidia psychopaty uruchamia się wówczas, kiedy partner (ale też znajomy, współnik w interesach czy pracownik) próbuje uciec spod jego jurysdykcji.

– Psychopata – kontynuuje Katarzyna Kolasińska – myśli tak: „Dopóki jesteś moją własnością, dopóki ja tobą władam, mogę tobą pogardzać, korzystać z ciebie jak z użytecznego stworzenia domowego, to będę dla ciebie dobry. Ale biada ci, jeśli spróbujesz rzucić wyzwanie mojej władzy. Wtedy wytoczę ciężką artylerię, napalm, bomby, aby cię zniszczyć”.

Wszystko, co robi i mówi psychopata w walce o władzę (tzn. kontrolę nad sytuacją czy zachowaniem partnera), jest odbierane jako przejaw nienawiści, ponieważ właśnie tak to wygląda. W rzeczywistości psychopata nie nienawidzi, bo przecież nienawiść to też emocje, a on emocje ma spłycone albo w ogóle ich nie odczuwa – podkreśla psycholog.

Związek uczuciowy z psychopatą to beczka prochu i stan miłosnej zależności.

Kochać jak szczeniak

„W sprzyjających okolicznościach każdy z nas może popaść w stan miłosnej zależności, nawet wbrew własnej woli – ostrzega Jane G. Goldberg w książce *Ciemna strona miłości*. – Wielu z nas, nie posiadając wiedzy naukowej ani nie znając metod prania mózgu, z powodzeniem stosuje te techniki, doprowadzając je do perfekcji. W książce *In the name of love* [W imię miłości] Jill Tweedie wskazuje, jak łatwo jest kogoś w sobie rozkochać. Wystarczy daną osobę odizolować – wprowadzić ją w nowe, budzące trwogę otoczenie, denerwować ją, upokarzać, dezorientować, a kiedy jest już bez reszty udręczona i dezorientowana, objawić jej się w charakterze zbawcy, uspokoić, ugłaskać i przyrzec wszystko, co może złagodzić jej lęk. Bezsenność wzmocni ten efekt. Stosując na przemian groźby i łagodność, w zadziwiająco krótkim czasie uzyskamy od niej wyznanie dozgonnej miłości.

Niezliczone rzesze kobiet i mężczyzn przeżywają katusze z powodu tego zbyt powszechnego zjawiska lokowania uczucia właśnie w takiej osobie. Zepchnięta na krawędź przepaści romantyczna «miłość» może szybko zmienić się w patologię, którą wprawdzie odczuwamy jako miłość, lecz w rzeczywistości jest ona symulacją miłości, destrukcją towarzyszącą każdemu związkowi, którego główną cechą jest lęk.

Informacje, jakie posiadamy na temat ogniwa łączącego miłość i lęk, są wykorzystywane od setek lat w dobrych i złych celach. W ostatnich latach udało się nam nawet sformułować dość niezawodny wzór, oparty na stymulacji skrajnego lęku, który można wytworzyć w procesie laboratoryjnego odtwarzania zjawiska «zakochania». Przeprowadzono doświadczenie na trzech miotach szczeniąt, przy czym jeden miot był konsekwentnie źle traktowany, drugi traktowano dobrze, a trzeci na przemian, raz dobrze, raz źle. Zarówno te szczenięta, które konsekwentnie traktowano źle, jak i te, które traktowano dobrze, wyrosły na psy zdolne do niezależnych od swoich właścicieli zachowań. Natomiast szczenięta traktowane na przemian dobrze i źle nie zdołały wykształcić w sobie dorosłej niezależności i pozostały wiernymi sługami swych nieobliczalnych panów. Przejawiały oddanie, niezmienną

lojalność i przywiązanie, a ich zachowanie świadczyło o niezdolności do prawidłowego funkcjonowania pod nieobecność pana.

Czyż to służalcze przywiązanie, jakie okazywały owe psy, nie przypomina nam dziwnie tego rodzaju przywiązania, które odczuwamy, gdy naszemu «zakochaniu» towarzyszy poczucie utraty miłości?”¹

– W związkach partnerskich z psychopatą charakterystyczne jest to, że jego miłość przeradza się w nękanie – ostrzega doktor Jerzy Pobocho. – Patrząc na to z boku, można powiedzieć, że sprawa jest intrygująca: jak to się dzieje, że płomienna na starcie miłość zamienia się w skrajnie negatywne emocje. Najpierw był ślub, wielkie uniesienia, potem rozwód, a następnie stan totalnej wojny. Rozwód to prawdziwy test osobowości człowieka. Rozwód psychopaty to prawdziwy popis jego możliwości, istne pole minowe.

Pamiętajmy też, że u psychopatów występuje zwiększona skłonność do zazdrości, niezależnie od płci, chociaż w przypadku mężczyzn zazdrość jest generalnie zjawiskiem częstym. Oni te żony biją, podejrzewając o Bóg wie co. Wszystkie kobiety powinny mieć świadomość pułapki, jaką stwarza miłość do psychopaty. Powinny też kategorycznie skończyć z myśleniem życzeniowym.

– **Czyli jakim?**

– Myślenie życzeniowe, inaczej katatymiczne, polega na przekonaniu, że będzie tak, jak sobie tego życzymy, ponieważ bardzo tego chcemy. Inaczej mówiąc, jest to wiara, że wszystko będzie dobrze. Myślenie katatymiczne występuje przy hazardzie, nawet tak niewinnym jak gra w toto-lotka: „Tym razem wygram, na pewno” albo „Odegram się, karta dobrze mi pójdzie”.

W związkach z psychopatą takie myślenie przejawia się w podejściu: „Jak się ożeni, to się odmieni” albo „Jakoś nam się ułoży”. On się nie odmieni, nic się nie ułoży. Po prostu taki jest i będzie, ponieważ tak pracuje jego mózg, który – o czym już wiemy – ma defekt.

Do tego wszystkiego dochodzi manipulacja partnerem, prowadząca do nieszczęśliwej miłości i niekiedy wielkich tragedii. Oto jeden z przykładów.

Pewien zadłużony hazardzista upatrzył sobie na ofiarę niezbyt urodziwą kobietę, będącą u progu staropanieństwa. Dowiedział się, że ma ona pieniądze (zarobione przez jej matkę) i pół bliźniaka, do którego postanowił się wprowadzić. Wykalkulował, że wiążąc się z nią, zapewni sobie finansowe bezpieczeństwo. Omotał ją słowami: płomiennymi, poetyckimi, ale to wszystko było chłodną kalkulacją. Tyle że ona tego nie wiedziała. Marzyła o wielkiej miłości, tęskniła za nią, więc trafiło na podatny grunt. Nikt dotąd nie mówił jej, że jest piękna, jedyna, niepowtarzalna. Oto nagle w jej życiu pojawił się mężczyzna ze snów, królewicz z bajki, który ją docenił.

Zakochała się bezkrytycznie, bez opamiętania. Jedyne jej matka zorientowała się, jakie były prawdziwe intencje adoratora. Próbowwała uchronić córkę przed życiowym rozczarowaniem. „Mamo, nie bądź taka podejrzliwa, on naprawdę mnie kocha!” – przekonywała omotana kobieta. „Jest dla mnie taki dobry, nieba by mi uchylił”.

Na nic zdały się matczyne ostrzeżenia. Kobieta poszła na zatracenie. Tak ją zmanipulował, że pozwalała mu na wszystko i nie dostrzegała, jaki był naprawdę: że ją zdradzał, okłamywał i wykorzystywał. Oddała mu wszystko – pieniądze, dom. Była dla niego nikim, nawet nie starał się ukrywać swojej pogardy dla niej. Matka nieszczęsnej kobiety szalała wręcz, aby te darowizny unieważnić. Sądy odrzucały jej wnioski, chociaż – tu starałem się jej pomóc – wykazaliśmy cały szereg przykładów na manipulację z jego strony. Związek z nim był dla kobiety, powtórzę, drogą do zatracenia.

Niestety przepisy polskie nie chronią ludzi przed manipulacjami.

– Doktorze, w jaki sposób psychopata manipuluje partnerem?

– Przede wszystkim izoluje go od rodziny i przyjaciół. Bliscy widzą, co się dzieje, i próbują interweniować. Psychopata robi wszystko, aby im to uniemożliwić. Pod maską troskliwości kryje się wyrachowanie i chłód emocjonalny. Pewna psychopatyczna kobieta potrafiła tak zmanipulować męża, że uznał swoich rodziców za największych wrogów, chociaż byli mu przychylni i przez lata go finansowali. Skłóciła go z matką i ojcem, a potem namówiła, aby wszystko, co miał, przepisał na nią. I on to zrobił.

Przekonała go również, że najlepiej będzie, jeżeli znajdzie sobie pracę za granicą, z dala od domu rodzinnego, a nie tu w Polsce.

Mężczyzna oprzytomniał dopiero po jakimś czasie. Rodzice zestawili kilka faktów, bardzo dla niego niekorzystnych, za którymi stała ona. W końcu udało im się z nim porozmawiać, otworzyli mu oczy. Biegał potem i krzyczał, że ją zabije, ale niewiele mógł zrobić. Owinęła go sobie wokół palca, pretensje mógł mieć wyłącznie do siebie.

– **Manipulator działa w myśl zasady: „Wszystko, co twoje, będzie moje, ale to, co jest moje – nigdy nie będzie twoje”.**

– Odczuł to na własnej skórze stateczny, majątny pan po sześćdziesiątce, właściciel okazałego domu i dobrze prosperującej firmy. Zapalał afektem do pani w średnim wieku, która nad wyraz szybko przekonała go, że jest dla niej tym „jedynym, najważniejszym, najprzystojniejszym”. Manipulanci mają to do siebie, że ich „miłość” jest płomienna i rodzi się błyskawicznie. Tak więc wzięli ślub i przez krótki czas byli nawet szczęśliwi. Pani namówiła pana, aby wszystko, co posiadał, przepisał na nią z taką klauzulą, że w przyszłości nie będzie miał wobec niej żadnych roszczeń. On to zrobił i po kilku miesiącach znalazł się na ulicy. Co się stało? Żona wyrzuciła go z domu.

Był zdruzgotany i zrujnowany. Chciał popełnić samobójstwo, znalazł się w szpitalu psychiatrycznym. Zniszczyła mu życie.

Co skrywa maska

Psychopatyczny kochanek jest dynamiczny, płomienny, sypie komplementami, przynosi kwiaty. Szydło z worka wychodzi dopiero wtedy, gdy ofiara jest już w sieci. Wykorzystuje ją, nie dając niczego w zamian. Czasami partnerka sama przejrzy na oczy, ale na ucieczkę jest już za późno. Bardzo rzadko zdarzają się szczęśliwe zakończenia.

– Pewna kobieta powiedziała mi kiedyś: „Panie doktorze, coś mnie tknęło w ostatniej chwili, bo chciałam mieć z nim dziecko. Dobrze, że się opamiętałam”.

– Trafiła na oszusta matrymonialnego?

– Gorzej, trafiła na psychopatę, który był jej mężem i żył na jej koszt. Trwonił pieniądze, na które ona ciężko pracowała. On nie skalał się pracą, bo po co, skoro wszystko miał. Urodził się przecież do wyższych celów, a mianowicie był myślicielem, więc wymyślił sobie: „Niech inni urabiają się po łokcie”. Zwykły pasożyt, osobowość narcystyczna. Jednak ona go kochała. Dlaczego? Jak każdy manipulant był wybitnym znawcą psychiki kobiet.

– Kiedy przejrzała na oczy?

– Pewnego razu wracała z zagranicy, z wyjazdu służbowego. Mąż miał po nią przyjechać samochodem na lotnisko w Berlinie. Była zmęczona, przepracowana, do tego źle się czuła. Stała z bagażami, a jego nie było. Pomyślała, że korki na drogach, że pogoda kiepska. Sięgnęła po telefon. Zadzwoiła.

– Gdzie jesteś? – spytała.

– W domu.

– Jak to?

– Właśnie rozpalam w kominku.

Oniemiała.

– Przecież miałeś przyjechać.

– No wiesz, ślisko na drogach – tłumaczył obojętnie.

– Jak mogłeś?! – krzyknęła. – Padam z nóg, a tym masz to gdzieś! Zawiodłam się na tobie.

– Moja droga, nie dramatyzuj, przecież nic się takiego nie stało – skwitował.

Wtedy zrozumiała, że w ogóle nic dla niego nie znaczy. Gdyby był zaangażowany uczuciowo, o czym ją przy każdej okazji żarliwie przekonywał, zacząłby przeproszać, a tu zero emocji. Morał jest taki, że proza życia zawsze zdemaskuje psychopatę. Niestety dla partnera najczęściej bywa już za późno: albo są dzieci, albo wspólny kredyt i różne inne zobowiązania.

Tak właśnie „kocha” psychopata. Jego miłość jest przedstawieniem. Tacy ludzie mają dużą łatwość w odgrywaniu roli. Udawanie kogoś innego niż się jest to spory wysiłek, ale oni się nie męczą. Kłamią jak z nut. W tym względzie nie mają żadnych zahamowań. Manipulacja, kręctwo oszustwo to ich żywioł. Oni się z tym rodzą, więc jak mogliby się męczyć, skoro działają zgodnie z własną naturą. Są to zdolności wrodzone, a nie wyuczone. Uważam, że należałoby objąć kobiety odpowiednim szkoleniem, jak nie ulegać psychopatom, jak ich rozpoznawać w tłumie adoratorów.

Niektóre osoby mają wyjątkowy „talent” przyciągania takich ludzi. Pamiętam, jak któregoś razu pięć koleżanek wzięło sprawy w swoje ręce i przywiozło do mnie fatalnie zakochaną przyjaciółkę. „Niech pan coś z nią zrobi, doktorze, bo kogokolwiek by spotkała, to zawsze jest psychopata” – oznajmiły.

– **Gdzie popełniała błąd?**

– To nie jest kwestia błędu czy „przyciągania”, lecz oceny zachowania ofiary przez łowcę. Oceny, na ile może sobie pozwolić i co zyskać. Najważniejsze, czy będzie uległa i będzie robiła, co on chce. Jeżeli od początku kobieta jest asertywna, przebojowa, to na ofiarę zdecydowanie się nie nadaje. Psychopaci wybierają osoby uległe, bo takie łatwo omotać.

W Polsce przepisy dotyczące manipulacji powoli się zmieniają, chociaż wciąż nam daleko do USA. W tamtejszym prawie jest wyraźnie zapisane: *undue influence*, czyli „niedozwolone wpływy”. Manipulacja to właśnie niedozwolone wpływy. Wyroki zapadające w takich sprawach są surowe, zawsze na korzyść ofiary przestępstwa.

Na taki wyrok, tyle że w Polsce, liczy Oskar Prądziński z Juraty. Jego historia, którą opowiemy ku przestrodze, dowodzi, że podstępnej manipulacji może się dopuścić nawet (teoretycznie) bliska nam osoba.

Bo to zła kobieta była

Znali się praktycznie od dziecka, spotkali po latach, gdy oboje dobiegali czterdziestki. Ona: metr sześćdziesiąt wzrostu, miła twarz, jasne włosy. Ma na imię Karolina, od lat mieszka w USA. On: o głowę od niej wyższy, łagodne rysy i hurtowe ilości uroku osobistego. Do niedawna dysponował sporym majątkiem: salon Kawasaki w Gdyni – sprzedaż i serwis motocykli, Centrum Sportów Wodnych i gastronomia w Rewie.

– Zналиśmy się od podstawówki, od lat 80. – zaczyna swą opowieść Oskar Prądziński. – Jej mama uczyła mnie chemii. W ósmej klasie Karolina była moją szkolną miłością, ale w liceum ją olałem. Musiałem się wyszumieć, zintegrować z kolegami, taki wiek. Po latach ktoś mi powiedział, że wyjechała po studiach do Stanów. Nie wiedziałem nic więcej, nawet tego, czy ułożyła sobie tam życie.

Wiosną 2014 roku odezwała się do mnie na Facebooku: co u mnie słychać, czy mam dzieci itp. Odpowiedziałem, że jeszcze nie założyłem rodziny, ale zaczynam o tym myśleć, na co ona, że właśnie jest po rozwodzie, ma dwoje dzieci i latem przyjedzie do Polski.

Pojechałem po nią na lotnisko. Niewiele się zmieniła przez te wszystkie lata. Jej dzieci były przyjaźnie do mnie nastawione. Zamieszkały u dziadków, a ona u mnie. Miałem gest, czułem się jej partnerem, „wszystko, co moje, jest twoje” – tak zostałem wychowany. Opowiadała, że pracuje w firmie koleżanki, jest opiekunką starszej pani z Manster w Indianie i zarabia 5 tysięcy dolarów miesięcznie. Wydawała się osobą niezależną finansowo.

Mówiła, że nie miała dotąd szczęścia w miłości: „Mój mąż mnie zdradzał, to damski bokser, jego pierwsza żona się powiesiła. To przez niego nie mam jeszcze obywatelstwa. Robi wszystko, żeby mi w życiu zaszkodzić”.

Budziła współczucie. Co za psychopata – myślałem o nim. Jakim trzeba być draniem, żeby bić kobietę. Dobrze, że od niego odeszła. Teraz ja się nią i dziećmi zaopiekuję.

O tym, że wciąż była mężatką, dowiedziałem się wiele miesięcy później, a szkoda, bo nigdy nie związałbym się z kobietą, która ma partnera. Nieprawdą okazało się też i to, że jej mąż był sadystą. Nigdy jej nie uderzył. Raz tylko podczas kłótni trzasnął drzwiami, a ona trzymała palce we framudze, więc złamał jej palec. Ale to był wypadek, a nie przemoc.

W sumie okazał się porządnym facetem, z natury nieco bojaźliwym, uległym wobec niej.

Nie powiedziała mi również o tym, że 11 lat wcześniej, już podczas pobytu w Stanach, była karana za kradzież. Zapewne dlatego amerykańskie urzędy imigracyjne trzymały ją na zielonej karcie, bez obywatelstwa. Zresztą w opowieściach mojej dziewczyny było wiele takich „niedomówień”, ale widzę je jasno dopiero teraz. Wtedy wierzyłem w każde jej słowo, nie wyczuwałem zagrożenia.

Spędziliśmy lato, byłem zakochany i gotów pracować całe życie dla niej i dzieci. Pokochałem je całym sercem – sześciolatniego chłopca i dziesięcioletnią dziewczynkę. Zabierałem je na kempingi, wycieczki, a one zwracały się do moich rodziców „babciu, dziadku”. Byliśmy rodziną.

Karolina postanowiła, że ślub weźmiemy za rok, w Polsce. Wróciła do siebie, a ja rozpocząłem procedury likwidacji majątku w Polsce: sprzedałem mieszkanie, skutery wodne, motocykle, samochód, zamykałem firmy. Niestety trochę to trwało, ale przecież takich spraw nie załatwia się od ręki. Była pewna moich uczuć i zamiarów.

Przyjechała na sylwestra. Nowy rok przywitaliśmy w Zakopanem. Na wspólne wakacje wybraliśmy się do Kanady, a w grudniu 2015 roku wzięliśmy ślub.

Bardzo chciałem być z nią, jednak nie mogłem jeszcze wyjechać z kraju, nie zakończyłem paru ważnych spraw. Ona chciała kupić dom i już wertowała oferty. Odwiedziła ją w Stanach moja mama. „Lepiej trafić nie mogłeś – powiedziała po powrocie. – To wspaniała dziewczyna, pracowita. Jesteś szczęściarzem”.

Po ślubie Karolina miała złożyć papiery o moją emigrację, w ramach łączenia rodzin, ale zdecydowała się scedować procedury na prawnika. „Drogi jest” narzekała, a ja co chwila przelewałem grube tysiące na jego honorarium. W rzeczywistości zapłaciła 500 dolarów, taki jest koszt urzędowego wniosku. „Adwokat mówił, że musimy mieć spore oszczędności, aby urząd imigracyjny nie obawiał się, że będziemy tutaj dziadować. Musimy być dobrze sytuowanym małżeństwem” – tłumaczyła, a ja dalej słałem pieniądze.

– Dlaczego w USA nie zmieniałaś nazwiska? – pytałem. – Przecież procedury związane z moim przyjazdem toczyłyby się o wiele szybciej.

– Kochanie, to drogo kosztuje, po co mamy generować wydatki – odpowiadała.

– Kolega namawia mnie, abym zainwestował w restaurację w Juracie, jest okazja – napomknąłem.

– Nie inwestuj w Polsce, znalazłam dla nas piękny dom w Manster, potrzebujemy tych pieniędzy – nalegała.

– Ile?

– 220 tysięcy dolarów i dom jest nasz. Zobaczysz, będziemy tam szczęśliwi – zapewniała.

Komu miałem ufać, jak nie żonie? Wysłałem jej pół miliona, przeliczając na złotówki. Kiedy kupiła upragniony dom, przestała odbierać moje telefony, nie odpisywała na maile, zablokowała mnie na Facebooku.

– Koniec między nami – oznajmiła w ostatniej rozmowie.

– Jak to? – Myślałem, że sobie ze mnie żartuje.

– Żadnych pieniędzy nie dostaniesz i nic mi nie możesz zrobić. Nigdy nie przyjadę do Polski, a ty nie przyjedziesz do USA. Zostaw mnie w spokoju, najlepiej w ogóle zapomnij.

Nie wiem, co ona ze mną zrobiła, ale nawet wtedy miałem klapki na oczach. Pomyślałem, że „ma doła”, że zaraz jej przejdzie, że to nie dzieje się naprawdę. Przecież nigdy się nie kłóciliśmy, nawet nie mieliśmy cichych dni. Jedyne sprzeczki dotyczyły tego, że nie rzucam palenia, nie przestrzegam diety i nie chodzę na siłownię. Miałem złudne przekonanie, że troszczyła się o mnie. Żadna inna kobieta nie dopingowała mnie tak do „zdrowego życia”, jak robiła to Karolina. Dlatego nie uwierzyłem, że to już koniec.

Prawda dotarła do mnie po jakimś czasie. Znokautowała gorzej niż walka z mistrzem świata w boksie, na ringu. Totalne załamanie, szpital, leki – rozsypany człowiek.

Lekarz w Kościerzynie skierował mnie na oddział psychiatryczny.

– Nie chcę – oznajmiłem.

– Będzie pan na sali z osobą w depresji, a nie psychicznie chorą – uspokajał lekarz. – To właściciel gospodarstwa rolnego na Kaszubach, życie dało mu popalić.

Posłuchałem lekarza. Szpital, w którym spędziłem kilka tygodni, postawił mnie na nogi, nauczył szacunku do ludzi, których los wyrzucił

poza nawias. Ja też mogłem się tam znaleźć, gdyby nie pomoc rodziców i kilku przyjaciół.

W końcu otrząsnąłem się z letargu i napisałem list do Karoliny, wysłałem za potwierdzeniem. „Co się stało? Wytłumacz dlaczego. Nie potrafię tak żyć bez odpowiedzi” – prosiłem. Po dwóch tygodniach – zwrotka, nawet go nie otworzyła. Do USA polecili moi rodzice. Przez telefon nie chcieli powiedzieć, jak się sprawy mają. „Porozmawiamy w domu” – zbywali mnie. Bali się, że jak mi powiedzą, to się powieszę.

– Przyjechałem, żeby zaoszczędzić ci problemów, bo to, co zrobiłaś, jest przestępstwem – powiedział Karolinie mój ojciec.

Rozmawiali przez próg, nie wpuściła rodziców do domu.

– Wynoście się stąd, bo wezwę policję i powiem, że mi grozicie – oznajmiła.

– Nie chcesz z nami rozmawiać, to porozmawiasz z prokuratorem – odpowiedział tata, ale ona już tego nie słuchała, tylko zatrzasnęła im drzwi przed nosem.

Snułem się po świecie jak zjawa. Dopiero matka Karoliny pomogła mi zrozumieć, że jestem zwykłym frajerem. Pojechałem do niej do szkoły, gdzie wciąż uczy chemii.

– Nie mam kontaktu z pani córką, proszę jej przekazać, że... – zacząłem, ale mi przerwała.

– Nic nie będę jej przekazywać. Sami sobie wyjaśniajcie wasze nieporozumienia.

– Jeżeli to tylko nieporozumienie, to proszę, aby tu przyjechała i powiedziała mi, dlaczego to robi. I co z pieniędzmi.

– Jak to „co z pieniędzmi”? – parsknęła. – Te pieniądze powinieneś zostawić dzieciom. Za dobre chwile w życiu się płaci!

Dobre chwile z Karoliną i jej dziećmi kosztowały mnie znacznie więcej niż pół miliona na dom. Są przecież straty niewymierne, krzywdy nieporozumienia. Okazało się, że moja żona uzyskała w USA rozwód bez mojego udziału w rozprawie. Powiedziała, że porzuciłem rodzinę i od dawna nie daję znaku życia, że zapadłem się pod ziemię. Sąd nie sprawdził nawet tego, czy kiedykolwiek byłem w Stanach. Otóż nie byłem. Orzeczono rozwód z mojej winy i przyznano jej dom, za który zapłaciłem, a w którym już uwił sobie gniazdko umięśniony Meksykanin. Pewnie

zasponsoruje jej remont, a o mnie myśli tak, jak ja myślałem kiedyś o jej byłym.

Dzisiaj jestem „facetem z doświadczeniem”. Widzę rzeczy, których wcześniej nie dostrzegałem. Całe jej postępowanie było od początku chłodną kalkulacją. Kiedy po raz pierwszy przyleciała ze Stanów do Polski, zorientowała się, że jestem ustawiony i może na mnie zarobić. Oszukała mnie perfekcyjnie, a ja byłem naiwny, bo naprawdę ją kochałem.

Oszukańcza miłość

Oskar Prądziński złożył w prokuraturze zawiadomienie o przestępstwie. Początkowo odmówiono mu wszczęcia postępowania, ale zaskarżył decyzję prokuratora, i słusznie. Od 2018 roku toczy się śledztwo.

– Prokuratura Rejonowa w Gdyni prowadzi postępowanie w kierunku przywłaszczenia mienia znacznej wartości i bigamii – poinformowała autorkę prokurator Grażyna Wawryniuk, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Gdańsku.

Oszustka, w drodze pomocy prawnej, zostanie przesłuchana w USA i niewykluczone, że sprawa karna w Polsce przekreśli jej marzenia o amerykańskim obywatelstwie.

U nas takie śledztwa wciąż należą do rzadkości. W USA jest ich wiele.

– Tam manipulacja jest surowo ścigana prawem – podkreśla psychiatra.
– W Stanach Zjednoczonych żyje wiele bogatych, samotnych kobiet, które są celem dla łowców majątków. Amerykanie nazywają to zjawisko oszukańczą miłością. Z naciskiem na „oszukańcza”, bo przecież to nie miłość, ale oszustwo. Psychopaci manipulację opanowali do perfekcji. Z pozoru są troskliwi, opowiadają „szczerze” o swoich rzekomo bolesnych doświadczeniach z przeszłości, aby partner odpowiedział tym samym. W ten sposób poznają jego sekrety, kompleksy, aby w niespodziewanym momencie okrutnie tę wiedzę wykorzystać.

– **Zwierzenia w normalnym związku budują więź pomiędzy partnerami.**

– W relacji z psychopatą stają się pożywką dla manipulacji i budowania psychicznej przewagi nad partnerem. Zanim człowiek się zorientuje, będzie zrujnowany psychicznie, bez grosza na koncie i dachu nad głową. Występowałem niegdyś w charakterze biegłego w sprawie, gdzie ofiarą psychopatki stał się 19-letni chłopiec. Była od niego dwa razy starsza, obdarzyła go niespodziewanym, płomiennym uczuciem, ponieważ on był właścicielem okazałego domu. Dostał ten dom w prezencie od rodziców, na osiemnastkę, a że stan posiadania bardzo ożywia uczucia, tak więc pani chłopca „pokochała”.

Wzięli ślub, związek był namiętny i ona go namówiła, aby jej ten dom podarował. „Wtedy nasza miłość będzie pełniejsza, dasz mi życiową stabilizację” – szeptała czule. Był w niej tak szaleńczo zakochany, że gdy szła ulicą i napotykała kałużę, rzucał marynarkę, aby ukochana mogła przejść suchą stopą. Szlachetny do granic, nic dziwnego, że podarował jej dom, aby poczuła upragnioną stabilizację.

Wtedy jego akcje gwałtownie spadły.

Chłopak zrozumiał, w jakim kierunku to poszło. Wziął sznur i się powiesił. Właściwie to podwiesił, ponieważ przeżył, chociaż był już poważnie niedotleniony. Stał się rośliną z uszkodzonym mózgiem, otepiały.

Rodzice wystąpili do sądu, aby tę jego darowiznę dla niej unieważnić. W swojej opinii napisałem, że mamy tutaj do czynienia z ostrym zespołem zakochania, czyli taką ekstremalną miłością, w której osoba o złych intencjach może wszystko zdziałać. On właśnie był w takim stanie. Moje spostrzeżenia potwierdziła opinia pani psycholog. Nie wiem, jak się ta sprawa zakończyła, ale obawiam się, że nie najlepiej dla skrzywdzonego chłopca.

Gniew i nienawiść dodadzą ci skrzydeł

Psychopatę, który usiłuje odebrać nam godność, obrzydzić pracę i narazić na szwank nasze zdrowie (permanentny stres, zawały, depresje), można pokonać... gniewem. Ale nie ślepym, wymykającym się spod kontroli, bezproduktywnym, lecz konsekwentnym, generującym działania zgodne z prawem. Tylko nasz stanowczy sprzeciw wobec wyrządzanego zła może

sprawić, że psychopata odpuści, odda to, co ukradł, i poniesie karę za wyrządzone krzywdy.

– Błędem jest zamykanie się w sobie z problemem, trzeba okazywać swój gniew na jawną niesprawiedliwość – mówi psycholog Katarzyna Kolasińska. – Psychopaty można wręcz nienawidzić i nie należy się wstydzić własnych emocji. Krzywdy przez niego wyrządzane nie są przecież jednorazowym epizodem, lecz długotrwałym procesem obliczonym na zniszczenie ofiary: jej zdrowia, reputacji, pozycji zawodowej.

Okazanie gniewu oraz innych – niesłusznie uważanych za złe – emocji w kontaktach z psychopatami należy traktować jako reakcję obronną. To dla przeciwnika ostrzeżenie, tak jak szczerzenie kłów przez psa. Okazując gniew, wysyłamy wyraźny komunikat: „Mam w sobie tyle siły, że nie stanę się łatwą ofiarą. Nawet jeśli miałbyś mnie zniszczyć, będzie cię to drogo kosztowało. Zastanów się zatem, czy warto”.

Gniew i nienawiść są naszym paliwem. Dostarczają energii do słusznej walki z psychopatą – reasumuje psycholog.

O tym, że nienawiść może być konstruktywna, a nie destrukcyjna – o czym słyszymy od najmłodszych lat – przekonuje psychoanalitik Jane G. Goldberg w książce *Ciemna strona miłości*. Zacytujmy jej słowa, bo są ważną lekcją:

„Każdą z odmian nienawiści, a jest ich wiele, uznaje się za uczucie złe. Od najwcześniejszych lat wpaja się nam, że należy jej za wszelką cenę unikać, że powinniśmy wykorzenić to uczucie z naszych serc, jeśli pragniemy zachować zdrowie emocjonalne i duchową harmonię. Wpojono nam przekonanie, że nienawiść jest przyczyną wszelkiego zła, rozkładu i spustoszenia. Takie nauki pobieraliśmy od naszych rodziców i duszpasterzy, którzy ostrzegali nas, że nienawiść zatruwa tego, kto ją odczuwa.

Nasza formacja kulturowa doszła do przekonania, że nienawiść i wszelkie jej przejawy nie są sympatyczne i że nie będziemy sympatyczni, jeśli będziemy dawać jej ujście. Nauczono nas nienawidzić naszej nienawiści. Czujemy się winni, jeśli nie potrafimy znaleźć

sposobów na usunięcie jej z naszej psychiki. A przecież nienawiść, jak wszystkie inne uczucia, ma swoje korzenie zarówno w cechach odziedziczonych po przodkach, jak i w doświadczeniach z naszego dzieciństwa. Nie sposób jej wygnać, nie ma zresztą takiej potrzeby. Pęd agresji, którego nienawiść jest częścią składową, chroni nas przed wrogami.

Nienawiść jest destrukcyjna, jeżeli przekłada się na destrukcyjne zachowania. [...] Bez «negatywnych» uczuć człowiek staje się osobą uległą, pasywną, niedbającą o swoje interesy i nadmiernie starającą się przypodobać innym – krótko mówiąc, staje się żalonym cieniem osoby ludzkiej. Nienawiść jest naturalnym produktem ubocznym zdrowego, prawidłowego procesu.

Nienawiść utrzymuje nas również przy życiu, kiedy ból wynikający z poniesionej straty jest zbyt wielki, by móc go znieść. Interweniuje ona wówczas dopóty, dopóki inne uczucie nie zajmie jej miejsca. [...]

Życie byłoby oczywiście o wiele prostsze, gdybyśmy mogli żyć samą miłością. Reguły byłyby wówczas jasne i każdy by wiedział, jakie powinny być jego uczucia. Nie byłoby znęcania się nad dziećmi, rozwodów, wojen. Ale jesteśmy istotami o wiele bardziej skomplikowanymi, tkwi w nas całe bogactwo innych emocji. Nienawiść nie jest ani chorobą, ani zaburzeniem, lecz podstawowym biologicznym mechanizmem adaptacyjnym. Jest niezbędna, abyśmy mogli stawić czoło zagrożeniom, irytacji i frustracji. Nienawiść wykorzystywana w samoobronie stanowi uczucie konstruktywne, jest podstawową, dostępną człowiekowi reakcją. W przeciwieństwie do tego, co się o niej powszechnie sądzi, pomaga nam w utrzymaniu się przy zdrowych zmysłach. [...]

Ci z nas, którzy sami sobie zakazują nienawiści, przekonają się, że i tak nie pozbyli się tego uczucia, ale za to zyskało ono siłę destrukcyjną. Nienawiść zmienia kierunek i z osoby ukochanej przenosi się na nas samych. Jest to podstawowy mechanizm narcystycznej obrony, wykorzystywany do niszczenia siebie samych i naszych związków uczuciowych”².

Zatem kochajmy bliźniego, ale gdy jest nim psychopata – nie nadstawiamy drugiego policzka.

1. Jane G. Goldberg, *Ciemna strona miłości*, przeł. Aleksandra Lenobel, wyd. I, Wydawnictwo W.A.B, Warszawa 1994. [\[wróć\]](#)
2. Tamże. [\[wróć\]](#)

Rozdział 11

Prawo serii, czyli oko w oko z wielokrotnym zabójcą

Naukowcom udało się odkryć „gen zbrodni” – ogłoszono w latach 60. ubiegłego wieku, ale radość środowisk badawczych okazała się przedwczesna. Odkryciem wszech czasów miał być dodatkowy chromosom Y w parze chromosomów determinujących płeć męską, czyli XY (mężczyzna ma ich 46, w przypadku nieprawidłowości genetycznej – 47). Opisano, że osobnik z XYY, nazywany supersamcem, charakteryzuje się: ponadprzeciętnym wzrostem, impulsywnością, agresywnością, dużą płodnością, brakiem empatii, deficytem umiejętności panowania nad sobą oraz wątpliwą inteligencją. W młodości przechodził trudny do wyleczenia trądzik i miał spore problemy z nauką.

Posiadaczem „genu zbrodni” miał być masowy zabójca z USA Richard Benjamin Speck, który w jedną noc 1966 roku w Chicago torturował i pozbawił życia osiem pielęgniarek. Skazano go najpierw na karę śmierci, ale uniknął krzesła elektrycznego, ponieważ ostatecznie zmieniono mu wyrok na wieloletnie więzienie. Speck zmarł w swojej celi na rozległy atak serca.

– Koncepcje dotyczące chromosomu zbrodni okazały się zbyt uproszczone – komentuje doktor Pobocho. – Dodatkowy gen nie czyni z mężczyzn potencjalnych zbrodniarzy [Narodowy Instytut Zdrowia w USA szacuje, że z zespołem supersamca zmagają się 0,1 procent populacji mężczyzn na świecie – przyp. aut.]. Wielu zabójców nie przypomina Hannibala Lectera z *Milczenia owiec*. Wyglądają niepozornie, jak zwyczajni ludzie. Zabili z różnych powodów, najczęściej podczas awantury domowej. Z analiz policyjnych danych dotyczących zabójstw, i to nie tylko w Polsce, wynika, że o wiele bardziej niebezpieczni są ludzie, których znamy, niż psychopatyczni mordercy.

Autorzy książki *Zbrodnia rodzi się w mózgu* przywołują analizy amerykańskich i brytyjskich kryminologów:

„W Stanach Zjednoczonych 59 procent zabójstw zostaje popełnionych w kręgu rodziny i znajomych, a blisko 40 procent nie ma nic wspólnego z gwałtem, podpaleniem, porwaniem czy rabunkiem, lecz jest skutkiem kłótni o pieniądze, sprawy seksualne, o to, jaki kanał telewizyjny oglądać czy kto ma wypuścić kota do ogrodu. Z pewnej analizy kartotek policyjnych wynika, że 35 procent morderstw popełniono podczas kłótni, która wynikała z błahych powodów, ubliżania sobie, przepychania, przeklinania itp. Powody konfliktu są przeważnie banalne, z czego wynikałoby, że wiele zabójstw to czyny spontaniczne, popełniane w stanie wzburzenia, nie zaś z namysłem i premedytacją. [...]

Alkohol ma związek z 90 procentami morderstw w USA. Ze statystyk brytyjskich, choć liczby są tu mniejsze, wynika podobna konstatacja: o wiele bardziej należy obawiać się przyjaciół niż sąsiadów. Stąd wniosek, że prawdopodobnie wszyscy jesteśmy zdolni do popełnienia morderstwa. Większości z nas może się raz w życiu przydarzyć, że stracimy panowanie nad sobą i dopuścimy się najcięższego z przestępstw”¹.

Brutalne zbrodnie, które co jakiś czas wstrząsają opinią publiczną, statystycznie należą do rzadkości, podobnie jak seryjni zabójcy, chociaż opowieści o ich czynach żyją znacznie dłużej niż oni sami.

Zbrodnia, która... fascynuje (?)

„W tym czasie jak siedzę w więzieniu, odczuwam taką potrzebę, żeby kogoś zabić, chociaż wiem, że to niemożliwe. Drapię się, bo odczuwam potrzebę krwi widzenia. W zapachu krwi czuję zadowolenie i mimo że mnie boli, to jednak żywcem wrywam sobie ciało, by wymazać się krwią. [...] Normalny stosunek z kobietą nie dawał mi tyle, ile z zamordowaną. Najbardziej podniecała mnie jej krew”.

Nie jest to – jak mogłoby się zdawać – fragment książki z gatunku mrozących krew w żyłach thrillerów, ale więzienne zapiski Zdzisława Marchwickiego² zwanego „wampirem z Zagłębia” – seryjnego zabójcy z lat 60., którego skazano na karę śmierci za zamordowanie 14 kobiet i usiłowanie pozbawienia życia kolejnych siedmiu (wyrok wykonano w 1977 roku).

„Każdy mój czyn poprzedzała dziwna myśl, taka natrętna, drażąca cały mózg. Dręczyła mnie, prześladowała. Nie mogłem spać, uczyć się. Cierpiałem okrutnie, musiałem więc szybko myśleć, gdzie i kogo zabić. Po mordzie momentalnie się uspokajałem. Złe głosy ode mnie odstępowały, nie czułem potrzeby biegania za ofiarą. Byłem zadowolony”.

Tak o swoich zbrodniach opowiadał Bogusławowi Sygitowi w wywiadzie poprzedzającym wykonanie kary śmierci wymieniany już w tej książce Karol Kot – nożownik z Krakowa.

Gdyby pamiętnik Marchwickiego lub nieocenzurowany wywiad z Kotem trafił na księgarskie półki, zapewne byłby bestsellerem. Thrillery, których fikcyjni bohaterowie są wzorowani na psychopatycznych zabójcach, od lat biją rekordy popularności w księgarskich rankingach. Mroczne postaci przyciągają jak magnes.

– Doktorze, lubimy się bać, a może zbrodnia po prostu fascynuje?

– Już w starożytnym Rzymie tłumy domagały się chleba i igrzysk, a przecież igrzyska były niczym innym, jak mordowaniem ludzi na arenie. Popularność książek i filmów o tej tematyce wynika z ludzkiej ciekawości. Naturalną rzeczą jest, że śledząc kolejne zbrodnie, chcemy się dowiedzieć, kto morduje w taki „przemysłowy” sposób. Oczywiście, że pewnie lepiej by było czytać o miłości i oglądać przyjemne obrazki, ale prawdą jest, że to właśnie seryjni zabójcy rozbudzają ogromne emocje.

Na takich emocjach bazuje nie tylko literatura i film. Strony internetowe o seryjnych zabójcach są regularnie odwiedzane przez rzesze internautów. Ludziom-potworom poświęcone są kluby dyskusyjne, blogi oraz „galerie najślynniejszych morderców” z biografiami i fotografiami rodzinnymi. Tytuł mordercy wszech czasów, odnotowany w *Księdze rekordów Guinnessa*, przypadł Kolumbijczykowi Pedro Alonso Lópezowi. „Potwór z Andów”, bo tak zapamiętała go historia, został schwytany w 1980 roku w Ekwadorze. Przypisywano mu zabójstwa ponad 300 dziewczynek, ale udowodniono 57 zbrodni.

Prasówka:

„Gdyby zło miało twarz, z pewnością mogłaby ona przypominać oblicze Pedro Alonso Lópeza, który mordował w Kolumbii, w Peru i Ekwadorze.

López nie miał łatwego dzieciństwa, co z pewnością wpłynęło na jego mordercze skłonności. Jako 12-latek trafił do sierocińca, z którego szybko uciekł. Według zeznań był molestowany seksualnie przez jednego z wychowawców. W 1969 roku trafił do więzienia za kradzież samochodów. Po zaledwie dwóch dniach pobytu został zgwałcony przez dwóch starszych więźniów. Postanowił się zemścić – za pomocą noża, wykradzonego ze stołówki, zamordował napastników. Udało mu się uniknąć dodatkowej kary – uznano, że działał w samoobronie.

W 1971 roku, po dwóch latach więzienia, wyszedł na wolność. Żądny zemsty za wszystko, co spotkało go w dotychczasowym życiu, zaczął mordować. Szukał łatwych ofiar – dziewczynek z ubogich rodzin, w wieku 8–12 lat. Nie atakował dzieci rasy białej, aby nie zwracać szczególnej uwagi. Nigdy także nie używał przemocy, nie porywał ofiar. Namawiał je, aby wskazały mu drogę, albo kusił świecidełkami. Atakował, kiedy znajdowali się w ustronnym miejscu. Często spędzał wiele godzin ze swoimi ofiarami, aby później je udusić po zaspokojeniu chorych żądz. Ta rzeź trwała latami. Aż trudno uwierzyć, że władze tak mało uwagi poświęciły całej sprawie.

Początkowo policja nie chciała wierzyć w przerażające rozmiary jego zbrodni. Jednak kiedy zaprowadził ich do masowych grobów z ciałami 57 ofiar, inaczej spojrzano na jego «przechwałki».

Podczas pobytu w więzieniu w Ambato López w 1994 roku zgodził się udzielić wywiadu dziennikarzowi Ronowi Laytnerowi. I opowiedział ze szczegółami o swoim koszmarnym procederze.

Na pytanie, dlaczego mordował i gwałcił dzieci, odpowiedział: «To jak z jedzeniem kurczaka. Po co jeść starego, skoro można jeść młodego». Mówił także, że dziewczynki wabił świecidełkami, a następnie gwałcił je i dusił. Za każdym razem miało to trwać od kilku do kilkunastu minut. Zawsze mordował w dzień, żeby móc patrzeć w oczy swoich umierających ofiar i wszystko wyraźnie widzieć. Morderstwo w nocy byłoby «marnotrawstwem»».

(Potwór z Andów, opracowanie na podst. *Inside the Mind of Serial Killer Pedro Alonzo*, Ron Laytner; *Police find 53 bodies i Killer of 300 gets 16-year term*, agencja AP; oraz A&E Biography, Pedro Alonso López, Onet.pl. 30.06.2015).

„Potwór z Andów” nie dostał kary śmierci, ponieważ okazał się niepoczytalny. Trafił na przymusowe leczenie, skąd któregoś dnia wyszedł na wolność i przepadł bez śladu.

Karę śmierci wymierzono za to „następcy” Lópeza, 42-letniemu Louisowi Alfredo Garavito Cubillosovi, schwytanemu w 1999 roku. Kolumbijczyk przyznał się do zamordowania 140 chłopców w wieku 8–16 lat. Zdobywał ich zaufanie, podając się za zakonnika, zapraszał na spacer, a potem brutalnie gwałcił i mordował, często obcinając im głowy. Każda kolejna ofiara stawała się kreską w jego notesie. Kiedy kolumbijska policja odnalazła jeden z cmentarzy, gdzie Cubillos zakopywał zwłoki, była przekonana, że trafiła na ślad sekty satanistów.

Już choćby te dwa przykłady dowodzą, że historie napisane przez życie są drastyczniejsze niż najbardziej wymyślne scenariusze filmowe. Trudno oczekiwać od widza lub czytelnika wyrzutów sumienia, że fascynują się opowieściami o zbrodni. Tak funkcjonuje kultura masowa: każdy z nas czyta i ogląda to, co mu się podoba. Światem rządzi komercja, a zbrodnia obudowana wartką fabułą jest świetnie sprzedającym się towarem.

Warto wiedzieć, że „ulubieni bohaterowie” kultury masowej oraz ich pierwowzory, czyli prawdziwi seryjni zabójcy, też nie mają wyrzutów sumienia. Emerytowani pracownicy Aresztu Śledczego w Szczecinie wspominają Tuchlina z Gdańska skazanego na śmierć za zabójstwo dziewięciu kobiet, który podczas pobytu na obserwacji psychiatrycznej miał powiedzieć: „Gdybym wyszedł na wolność, wziąłbym młotek i stuknął jakąś fląderkę”. Karol Kot we wspomnianym wywiadzie przed śmiercią nawet przez chwilę nie udawał skruchy: „Nie żałuję niczego. Gdybym mógł, mordowałbym dalej. Jeśli coś się robi dla przyjemności lub namiętności, to według mojego pojmowania prawa nie jest to morderstwo. Cieszyła mnie moja robota, krew, śmierć, cierpienie ofiar. To było najważniejsze”.

Kiedy we wrześniu 2004 roku śledczy w Szczecinie przesłuchiwali 25-letniego wówczas Daniela W., zatrzymanego w związku z zabójstwem bezdomnego na Dworcu Centralnym w Warszawie, przeżyli szok, gdy ten

beznamiętnie zaczął relacjonować makabryczne szczegóły kolejnej zbrodni. Mężczyzna stwierdził, że dwa miesiące wcześniej zabił innego bezdomnego, a dwóch kolejnych chciał zabić, ale mu nie wyszło. „Mam uraz z dzieciństwa – nie lubię brudnych i pijanych. Nikt nie lubi bezdomnych” – tłumaczył bez śladów emocji motywy działania.

Prokuratura ostrożnie podchodziła do relacji podejrzanego, stawiając mu początkowo zarzut dokonania jednego zabójstwa. Obawiano się, że mężczyzna odwoła wszystko, co powiedział w przypływie szczerości, a bez innych dowodów nie uda się postawić mu kolejnych zarzutów.

– To typowe dla sprawców seryjnych zabójstw – ocenia psychiatra. – Najpierw szczerze opowiadają o swoich zbrodniach, a potem, gdy posłuchają rad kolegów z celi i pójdą po rozum do głowy – wszystko odwołują. Tak zrobił skazany na karę śmierci Paweł Tuchlin z Gdańska, którego badałem osobiście. Wszystkie swoje zeznania złożone w śledztwie odwołał w sądzie.

Nie kusić losu

– Brutalni zabójcy to psychopaci, zatem w ogóle nie wiedzą, co to wyrzuty sumienia, skrucha – tłumaczy psychiatra. – Wprawdzie podczas procesów sądowych niektórzy wylewają krokodyle łzy, ale to gra obliczona na konkretny efekt, czyli niższy wyrok. Wiedzą przecież, że skrucha może znacząco wpłynąć na decyzję sądu. Psychopaci zabijają między innymi dlatego, że usuwają przeszkodę. Siostra zabija brata, bo ten skarży na nią rodzicom. Nauczycielka morduje syna swojego kochanka, ponieważ mężczyzna nie chce odejść od rodziny.

– **Zemściła się na kochanku, zadając dziecku ponad trzydzieści ciosów nożem.**

– Niewykluczone, że on jej mówił, że nie odejdzie od żony, bo ma zobowiązania wobec syna, który jest mały i chodzi jeszcze do szkoły. Zatem dziecko stało na drodze do ich szczęścia, trzeba je było usunąć za wszelką cenę, aby ratować związek. Ona to zrobiła. Zlikwidowała

przeszkodę. To było celowe działanie, tyle że pod wpływem emocji. Chłodna kalkulacja, a nie zbrodnia „z miłości”.

Przeszkody likwiduje też psychopatyczny gwałcieł, który morduje ofiarę, gdy ta go postraszy, że pójdzie na policję. Po co mu problemy? Lepiej zabić i po sprawie.

Wiele zgwałconych kobiet, brutalnie potem zamordowanych, prawdopodobnie przeżyłoby, gdyby wiedziały, jak się zachować „po wszystkim”, co należałoby powiedzieć sprawcy, a czego powiedzieć nie wolno. W USA prowadzone są szkolenia, które uczą takich zachowań. U nas to raczej nie do pomyslenia.

– Za to mówi się kobietom, że powinny ćwiczyć chwytty i ciosy. Wtedy będą mogły bezpiecznie wracać z dyskoteki wyludnionymi ulicami.

– Umiejętności z zakresu samoobrony to ważna sprawa, ale najważniejsze to nie prowokować losu. Trzeba unikać odludnych miejsc, pozornie wyglądających na bezpieczne, na przykład plaża, oświetlony deptak nad rzeką. Pamiętajmy, że człowiek o złych zamiarach podąża za upatrzoną ofiarą, czeka na odpowiedni moment. Pamiętajmy też, że generalnie mężczyzna jest silniejszy od kobiety. Ja też, chociaż nie jestem długonogą blondynką, nie zapuszczam się w nocy na samotne spacer. Nie chcę dostać w głowę, gdy ktoś zechce mnie obrabować, nie wystawiam życia na próbę.

– Nie prowokować losu. To prawda stara jak świat.

– Z wielu spraw dotyczących zabójstw na tle seksualnym, w których opiniowałem, wynikało, że gdyby kobieta tam się nie znalazła: w miejscu odludnym, po zmroku, to do zbrodni by nie doszło. Pozwolę sobie teraz na pewną dygresję. Na ile skuteczne są informacje ostrzegające kobiety, aby nie pojawiały się wieczorami w pewnych miejscach, bo grozi to gwałtem?

– Nie chcę zgadywać, ale chyba są skuteczne, skoro policja ostrzega w mediach o zagrożeniu. Niedawno zakapturzony gwałcieł grasował na Oksywiu w Gdyni, napadał kobiety na ulicy Pułkownika Dąbka. Było o tym głośno.

– Wydaje się oczywiste, że kobiety trzeba ostrzegać. Tymczasem skutki mogą być zaskakujące. Pamiętam spotkanie z pewnym amerykańskim kryminologiem, który specjalizował się w eksperymentach testujących ludzkie zachowania w różnych sytuacjach. Rozmawialiśmy w Klinice Psychiatrycznej w Krakowie w 1979 roku, opowiadał o wynikach swojej pracy. Jeden z jego eksperymentów polegał na nagłośnieniu w mediach ostrzeżeń o gwałtach, w ramach szeroko pojętej profilaktyki. Kobiety miały unikać pewnych miejsc. I co się okazało?

– **Odwrotny skutek?**

– Dokładnie! Zwiększona liczba kobiet wybierała się na spacerunki akurat w tamte rejony.

– **Ciekawość?**

– Ciekawość i lekceważenie problemu. To może być śmiertelnie niebezpieczne. Zawsze trzeba zdawać sobie sprawę, że jest się potencjalną ofiarą. Dla wielu osób nie jest oczywiste, że trzeba minimalizować zagrożenie. Ta zasada powinna obowiązywać również w kontaktach ze znajomymi z Internetu.

Jesienią ubiegłego roku skazany za zabójstwo przestępca podczas jednodniowej przepustki udusił swoją partnerkę i jej trzyletniego syna. Znali się z Internetu. O sprawie zrobiło się głośno, w mediach szeroko dyskutowano o dziurawym systemie penitencjarnym i zbyt liberalnych zasadach w udzielaniu zabójcom przepustek z więzienia.

Prasówka:

—
„40-letni Artur K., który gołymi rękami udusił w Warszawie kobietę i jej trzyletnie dziecko, w 2004 roku został skazany na 15 lat więzienia za zabójstwo swojej ówczesnej partnerki. Od 2016 roku przebywał w zakładzie półotwartym, wtedy też zaczął korzystać z przepustek. Służba więzienna twierdzi, że mężczyzna nie sprawiał żadnych problemów, ani w więzieniu, ani na przepustkach. [...]

— Potrzebna jest głęboka reforma, zaostrzenie kryteriów przyznawania przepustek. Jednym z poważniejszych błędów jest to, że pod uwagę bierze się tylko, jak dany osadzony zachowuje się w więzieniu. A przecież tam nie dokona zbrodni. Literatura zna wiele przypadków, że instynkt zabójcy uruchamia się ponownie na wolności – wyjaśnia profesor Hołyst”.

—
(Bartłomiej Frymus, *Pół tysiąca morderców dostało przepustki. „Instynkt zabójcy uruchamia się na wolności”*, „Gazeta Wyborcza”, 11.09. 2018).

Sprawę szeroko komentowano w mediach. Podczas jednego z programów telewizyjnych eksperci z różnych dziedzin wymieniali swoje spostrzeżenia. Doktor Pobocho poruszył wątek nadmiernego zaufania ofiary do człowieka, który w przeszłości zabił swoją partnerkę. Wspomniał też o specjalnych szkoleniach dla kobiet, na wypadek gdyby miały się stać ofiarami gwałtów. Wtedy obecna w studiu pani profesor prawa karnego bardzo się obruszyła. Autorka tej książki odniosła wrażenie, jakby chciała pogrozić psychiatrze palcem, bo przecież kobiety mogą ubierać się, jak chcą, i spotykać, z kim chcą.

— Byłam tym zaskoczona, bo szanuję panią profesor i jej poglądy, ale tu nie miała racji – przyznaje psycholog Katarzyna Kolasińska. – Żałuję, że pan doktor taktownie wycofał się z dalszej dyskusji, zamiast poprosić panią profesor o konkretne uwagi. Młode i coraz odważniejsze dziś kobiety tracą

instynkt samozachowawczy, szczególnie po alkoholu i powszechnie dostępnych dopalaczach. Dochodzi do tragedii. Przykładów jest całe mnóstwo, wystarczy przejrzeć Internet: jedne są gwałcone, inne mordowane, jeszcze inne przepadają bez śladu.

O unikaniu zagrożeń mówi nie tylko troskliwy rodzic, którego nastoletnie dziecko odkrywa szaleństwa sobotniej nocy, ale i wiktymologia – nauka badająca czynniki sprzyjające stawianiu się ofiarą i sposoby zapobiegania temu. Warto tę sprawdzoną wiedzę upowszechnić.

– **Dlaczego wycofał się pan, doktorze, z tamtej dyskusji?**

– Czas antenowy się kurczył, więc uznałem, że to nie miejsce na taką dyskusję. Ale zapewne wrócimy z panią profesorem do tematu, może na jakiejś konferencji naukowej. Oboje wiemy, że warto pochylić się nad tematem.

Dopaść drania

Seryjni zabójcy nie wyglądają na złoczyńców. Żaden z nich nie ma na czole wizytówki „Jestem wampirem”. Ted Bundy, morderca kilkudziesięciu pięknych, długowłosych kobiet, głównie studentek, uchodził za przystojnego, dowcipnego i pełnego uroku osobistego młodzieńca. Stracony na krześle elektrycznym w 1989 roku przeszedł do historii USA jako jeden z najkrwawszych seryjnych zabójców w dziejach tego kraju (swoim ofiarom odcinał głowy). W innej części świata, w ZSRR, Andriej Czikatilo – „rzeźnik z Rostowa” – miał wyjątkowe podejście do młodych ludzi. Był z zawodu nauczycielem, potrafił rozmawiać z dziećmi, wzbudzał ich zaufanie. Traktowały go jak przyjaciela, dobrego człowieka, dlatego z własnej woli szły z nim do lasu na spacer, gdzie je z zimną krwią mordował. Czikatilo przyznał się do 56 zabójstw, stracono go strzałem w tył głowy w 1994 roku.

Psychiatrzy sądowi i kryminolodzy (m.in. prof. Tadeusz Hanausek, autor wielu podręczników akademickich dla prawników) od lat powtarzają, że niebezpieczeństwo czai się tam, gdzie się go nie spodziewamy. Seryjni

zabójcy na tle seksualnym potrafią doskonale maskować swoje prawdziwe oblicze. W swoim środowisku budzą sympatię, uchodzą za cichych, spokojnych, zrównoważonych. Nie rzucają się w oczy. Wielu z nich cieszy się dobrą opinią. Tymczasem ich prawdziwa natura jest z piekła rodem, są istotami o ekstremalnym okrucieństwie.

Wielu zachowuje pamiątki po ofiarach, swoiste trofea potwierdzające, że „to” zdarzyło się naprawdę. Ale fetysz nie dorównuje rzeczywistości, więc znów zabijają.

Kiedy 9 marca 2000 roku w poniemieckim bunkrze na wydmach w Świnoujściu policja odnalazła poszukiwaną od kilku dni dziewczynę, nikt jeszcze nie przypuszczał, że zamordował ją ten sam człowiek, który dwa lata wcześniej zgwałcił i udusił inną kobietę. Jego pierwsza ofiara była celniczką, nazywała się Jolanta R. Zabójca upozorował samobójstwo, ale zrobił to nieudolnie. Dziewczyna z wydm miała na imię Aneta, skończyła 22 lata, uczyła się w studium pomaturalnym. Miała lśniąco, kasztanowe włosy, była wysportowana i świetnie znała karate. Wyszła z domu przy Inżynierskiej, spieszyła się do swojego chłopaka, na Uzdrowską, szła skrótami.

Przed śmiercią została zgwałcona, a jej ciało zmasakrowane. Musiała walczyć z zabójcą, bo miała połamane paznokcie, zapewne próbowała wydrapać mu oczy. Jednak on był silniejszy, wpadł w furję, że go uderzyła, że podjęła walkę na śmierć i życie. Zemścił się za to okrutnie.

Historię „polowania” na seryjnego zabójcę i gwałciciela, którego obie kobiety stały się ofiarami, autorka opisała w książce *Tajemnice zbrodni*. Oto jej fragmenty:

„Szukano śladów mordercy i znaleziono kroplę jego spermy, lecz jedynym elementem, który łączył oba zabójstwa, było Świnoujście. Wkrótce cała policja przy zachodniej granicy została postawiona na nogi, ponieważ właśnie tam miała miejsce seria zuchwałych gwałtów. Zboczeniec zaatakował nawet dziewięcioletnie dziecko. Dziewczynka szła na pocztę w centrum miasta, przechodziła przez Park Zdrojowy. Gwałciciel dopadł ją w miejscu publicznym, gdzie w każdej chwili ktoś mógł go zobaczyć i wezwać policję. Jednak on nic sobie z tego nie robił.

Chwycił małą za rękę i zaciągnął do lasu, żeby nikt nie usłyszał płaczu i wołania o pomoc.

Właśnie rozpoczął się sezon turystyczny, nad morze ściągały tłumy. Ośrodki wypoczynkowe pękały w szwach, wypełniały się pola namiotowe. Tymczasem nieuchwytny wciąż sprawca wyraźnie nabierał pewności siebie. Kolejną ofiarę wypatrzył na zatłoczonej promenadzie. Kobieta w plażowym stroju nawet nie mogła krzyknąć, bo jego wielka dłoń zakneblowała jej usta. Próbowwała wyrwać się z uścisku, ale on uniósł ją jak piórko. Nikt nie zwracał na nich uwagi, wyglądali na zaprzyjaźnioną parę, która urządzała sobie zabawę z dreszczykiem. Mężczyzna był w kominiarce i różowych slipkach, tak jaskrawych, że oczy bolały.

Tamtego dnia policja nadała sprawie nieoficjalny kryptonim «różowe gacie», wymyślony przez lokalnych dziennikarzy. Ale nikomu nie jest do śmiechu. O gwałcie przy promenadzie mówiło całe miasto, temat nie schodził z pierwszych stron gazet. Był to dopiero początek koszmaru, który na długo sparaliżował Świnoujście.

Komendant wojewódzki powołał wtedy specjalną grupę pościgową. Analitycy wertowali piętrzące się akta gwałcicieli i ustalili, że wiele wcześniejszych seksualnych napaści musiało być dziełem tego samego człowieka”³.

– Postawiliśmy tezę, że obie kobiety zginęły, ponieważ stawiały mu opór – opowiadał autorce szef specgrupy. – Obawialiśmy się, że jeżeli teza okaże się prawdziwa, to będziemy mieli kolejne śmiertelne ofiary. Dlatego musieliśmy dopaść drania, zanim znów zabije.

Minęło wiele miesięcy, zanim się to udało. Seryjny przestępca jakby śmiał się śledczym w twarz. W parku, dokładnie tam, gdzie wcześniej napastował dziewięcioletnie dziecko, zaatakował nastolatkę w typowy dla siebie sposób: od tyłu, w kominiarce, strasząc bronią. Krótco potem zaskoczył na wydmach parę nastolatków. Kiedy gwałcił dziewczynę, jej chłopak leżał twarzą do ziemi, gwałciciel trzymał go na muszce.

– On wyraźnie się rozkręcał, czuł się bezkarny – mówił szef grupy pościgowej.

„Zachowywał się wręcz brawurowo, jakby dopiero rozpoczął swój szlak, nabierał apetytu. Nikt nas nie szkolił, jak łapać seryjnych sprawców. Wiedzieliśmy, że największe doświadczenia z seryjnymi sprawcami mają Amerykanie, u nich przecież roi się od takich popaprańców. Komendant na odprawie oznajmił: «W takim razie uczcie się od FBI, jak się do tego zabrać. Przeczytajcie wszystko, co o tym na świecie napisano». I przeczytaliśmy, chociaż większość tekstów trzeba było przetłumaczyć z angielskiego.

Lektura opracowań ekspertów z FBI okazała się na wagę złota, ponieważ zawierała sporo praktycznych wskazówek. Na całym świecie schwytywanie seryjnego przestępcy jest nie lada wyzwaniem, udaje się to tylko najlepszym. Prawda o kulisach pracy śledczych jest okrutna: tym większa wiedza policji na temat sprawcy, im więcej jest ofiar, które za sobą zostawia.

«Wampir» ze Świnoujścia nazywa się Tomasz Włodarek (wyrok Sądu Okręgowego w Szczecinie zezwala na upublicznienie nazwiska). Miał wtedy 27 lat. Zdemaskowała go m.in. kropla spermy z bunkra na wydmach, w którym znaleziono martwą dziewczynę, okazała się jego wizytówką.

Policjanci, który go w końcu rozpracowali, namierzyli i schwytali na świnoujskiej promenadzie, mówili potem, że «polowanie» na kobiety Tomasz Włodarek podnosił do rangi sztuki. Był wilkiem. One jego zwierzyną. Miał dwie twarze: na co dzień troszczył się o swoją partnerkę, od święta gwałcił i zabijał. Wyruszał na łowy, gdy konkubina wychodziła do pracy na popołudniową zmianę. Potrafił czekać na okazję godzinami, był cierpliwy. Starannie wybierał ofiary. Nie zadowalał się podchmielonymi turystkami. Lubił dziewczyny całkowicie mu «oddane», wykonujące wszystkie polecenia. Polował z bronią, żeby było łatwiej. Nie znosił sprzeciwu, zabijał, gdy kobieta stawiała opór. Aneta spotkana na wydmach dała mu prawdziwy wycisk. Sporo wysiłku musiał włożyć, żeby ją pokonać. Potem wybierał już tylko dziewczyny bardzo szczupłe i niezbyt wysokie, żeby nie oberwać.

Przez lata czuł się bezkarny. Szum medialny sprawiał, że miał się za kogoś wyjątkowego, lepszego od innych. Rozzuchwalał go ten rozgłos, nie przejmował się policją.

Tomasz Włodarek do niczego się nie przyznał, ale dowody okazały się druzgocące. Jednym z nich był odcisk palca zdobyty przez dziewięciolatkę, która szła przez park na pocztę z rachunkiem za telefon. «Wampir» chciał ją zgwałcić, ale męskość go zawiodła. Wściekły przeszukał kieszenie ubrania dziewczynki i zabrał pieniądze. Na rachunku pozostawił swój ślad.

Dzielna dziewięciolatka wiedziała, że to ważny dowód. Sama dostarczyła go policjantom. Zebrała za to pochwały od sędziego prowadzącego rozprawę w Sądzie Okręgowym w Szczecinie.

– Chciałbym mieć na sali więcej tak rezolutnych świadków – powiedział z uznaniem sędzia Maciej Strączyński. – Jak to się stało, że tak młoda osóbką tyle wie o ważnych dowodach?

– Bo ja, panie sędzio, oglądam program 997.

Tomasz Włodarek był sądzony dwukrotnie: najpierw odpowiadał za zabójstwo Anety P. i gwałty, a następnie za zabójstwo celniczki Jolanty R. W obu sprawach zapadł wyrok dożywocia. «Wampir» ze Świnoujścia nie opuści więzienia co najmniej przez trzydzieści pięć lat”⁴.

Polowanie na łowcę

Oparta na portrecie psychologicznym metoda tropienia seryjnych przestępców wzięła swój początek na przełomie lat 70. i 80. XX wieku w USA. Za jednego z twórców profilowania kryminalnego uważa się emerytowanego dziś agenta federalnego Johna Douglasa z Jednostki Wsparcia Dochodzeń FBI, konsultanta filmu *Milczenie owiec* według powieści Thomasa Harrisa. Za najważniejsze uważał zbadanie motywów działania i odtworzenie schematu myślenia brutalnych przestępców. Wychodził z założenia, że sposobem na schwytanie psychopaty jest

wczucie się w jego doznania, „wejście” w jego skórę. Uczył swoich agentów, że na zbrodnię muszą spojrzeć oczami zabójcy.

„Czasami można ich schwytać tylko w jeden sposób: trzeba nauczyć się myśleć jak oni – napisał w swojej książce *Mindhunter*. – Nie zawsze jest rzeczą łatwą, a już na pewno nie jest rzeczą przyjemną postawienie się w pozycji sprawcy lub wejście w jego umysł. Na tym właśnie polega zadanie moje i ludzi, którymi kieruję. Staramy się wcielać w postacie zbrodniarzy.

Aby poznać sprawcę, trzeba przyjrzeć się zbrodni. Zawsze powtarzam agentom: «Jeżeli chcecie zrozumieć artystę, musicie poznać jego obrazy». Przez lata obejrzelśmy wiele «obrazów» i przeprowadziliśmy pogłębione rozmowy z wieloma «wybitnymi artystami».

Termin «seryjny zabójca» nie ma żeńskiego odpowiednika, ponieważ niemal wszyscy prawdziwi seryjni mordercy są mężczyznami [...]. To zazwyczaj jednostki całkowicie zdegenerowane, dopuszczające się szokujących czynów. Ludzie ci mają ograniczoną zdolność do przeżywania normalnych uczuć, takich jak współczucie, wyrzuty sumienia czy skrucha. Wszyscy oni są do siebie pod pewnymi względami podobni. Jednocześnie różnią się od siebie i pozostawiają ślady indywidualnych cech charakteru, więc dzięki nowemu orężowi pozwalającemu na wyodrębnienie określonych typów brutalnych przestępców możemy ich wytropić, aresztować i skazać”⁵.

Douglas najpierw gromadził szczegółowy materiał dowodowy w postaci raportów, fotografii, zeznań świadków i wyników sekcji zwłok, a potem zadawał podstawowe pytania: „Kto mógłby coś takiego zrobić? Jaki charakter musi mieć sprawca czynu?”. Swoją pracę opierał na przekonaniu, że osobowość mordercy i motywy, jakimi się kierował, można zdemaskować m.in. po sposobie, w jaki ofiara została potraktowana za życia i po śmierci.

W portretowaniu seryjnych zabójców był niedościgniony.

Dzięki niemu FBI schwytało m.in. zabójcę z Atlanty, który pozbawił życia co najmniej jedenastu czarnoskórych chłopców. Podczas gdy większość śledczych skupiała się na białych, rasistowskich maniakach, agent specjalny twierdził, że sprawcą jest „czarny, niezonały facet w wieku 25–29 lat, który ma bzika na punkcie policji, jeździ samochodem podobnym do radiowozu”. Kiedy zatrzymano Wayne’a Williamsa, okazało się, że jego portret psychologiczny był strzałem w dziesiątkę. Skąd przekonanie agenta federalnego, że morderca nie jest biały? Jego zdaniem tylko ktoś tej samej rasy mógł mieć dostęp do czarnych chłopców. Biały mężczyzna z czarnym dzieckiem skupiałby na sobie uwagę, z miejsca wzbudzałby podejrzenia.

O agentach, którzy wyszli „spod ręki” Johna Douglasa, mówi się, że to najlepsi z najlepszych. Niektórzy szkolą polskich policjantów, wytypowanych przez Komendę Główną Policji do nauki w Międzynarodowej Akademii Policyjnej w Budapeszcie. Szkoła powstała w 1995 roku, amerykański Senat wyłożył na jej uruchomienie 3,5 mln dolarów. Agenci FBI od początku stanowili tam trzon kadry akademickiej.

Niestety mimo amerykańskich szkoleń i zachowania najwyższych standardów profilowania kryminalnego nie udało się dopaść sprawcy jednej z najokrutniejszych w Polsce zbrodni na dziecku. Policjanci, którzy pracowali nad tamtą sprawą, byli przekonani, że ścigają seryjnego zabójcę. Mieli jego portret psychologiczny, ale on się wymknął. Autorka tej książki od początku przyglądała się pracy ekipy kryminalnej, publikowała reportaże o kulisach śledztwa, rozmawiała z rodziną dziewczynki (zamieszczone poniżej wypowiedzi policjantów i siostry Pauliny pochodzą z artykułów m.in. z „Głosu Szczecińskiego” i „Focusa Śledczego”).

Od śmierci 11-letniej Paulinki Dominiuk z Morzyczyna koło Stargardu minęło ponad dwadzieścia lat, lecz tak straszliwej zbrodni nigdy nie można odpuścić. Śledztwo nadal jest w toku. Każdy nowy sygnał może pomóc ekspertom w zdemaskowaniu mordercy.

Dlatego wracamy do tej sprawy.

Paulinka w pasiastej sukience

Początek czerwca 1996 roku był wręcz upalny.

„Mamuniu, puść mnie nad jezioro – namawiała mamę Paulina. – Najpierw pojedę do babci, zawiozę jej słoiki po przetworach, prosiła, żeby je oddać. To przecież tylko pięć przystanków autobusem. Potem pójde do tatusia na grób, a dopiero na koniec nad jezioro, popluskam się przy brzegu”.

Tamtego dnia mama dziewczynki czekała na nowe meble, w domu było sporo zamieszania, więc pozwoliła córce, żeby pojechała sama. W drodze na przystanek Paulina spotkała koleżankę, zagadały się, spóźniła się na podmiejski autobus, nie dotarła do babci. Podobno ktoś widział, że zatrzymało się jakieś auto i dziecko skorzystało z okazji. Mama Paulinki przez całą noc błąkała się po lesie, szukając córki, a starsza siostra zaginionej dziewczynki miała proroczy sen. „Widziałam Paulinkę, jak przerażona przed kimś uciekała, wpadła w pokrzywy. Wokół był iglasty las, znikąd pomocy. Potknęła się i upadła. Ktoś ją dusił, wielokrotnie uderzał nożem w serce i plecy. Wszędzie była krew. Potem morderca ułożył ją w samochodzie na tylnym siedzeniu. Przykrył ciało kocem w kratkę. Powiedziałam mamie, że Paulinka już nigdy nie wróci i że musimy się modlić, by znaleziono jej ciało. Mama uderzyła mnie w twarz” – opowiadała autorce siostra Pauliny.

Cztery dni później z jeziora Wisola koło Ińska wyłowiono jej ciało. Dziewczynka była naga, miała na ciele ponad dwadzieścia ran od noża, cztery – zadane prosto w serce. Zanim umarła, była bita, duszona i gwałcona. Po śmierci morderca bestialsko ją okaleczył: rozpruł brzuch i wyciągnął narządy. Zrobił to precyzyjnie, żeby nie poprzecinać jelit i żeby trzewia nie zostały odcięte. Nienaturalnie skuloną, martwą Paulinę wynosił z wody twardy z natury policjant, ten sam, który schwytał „wampira” ze Świnoujścia. Ktoś okrył ją kocem i odgarnął włosy z twarzy, jakby jeszcze żyła.

– Musiałem wyrzucić ze świadomości tamto wspomnienie, nie mógłbym żyć z obrazem w pamięci tak bestialsko okaleczonego dziecka – wyznał szczerze policjant. – Pamiętam za to w szczegółach protokół z sekcji zwłok. Czytając go, dziwiłem się, że jest poplamiony. Dopiero po kilku chwilach zorientowałem się, że to moje łzy rozmazywały litery.

Sztab specjalistów pracował nad portretem psychologicznym sprawcy. Eksperci orzekli, że zrobił to człowiek o dwóch twarzach, przykładowy

ojciec rodziny, miły, inteligentny. Może być z zawodu rzeźnikiem, wojskowym lub myśliwym, bo fachowo posługiwał się nożem. Potrafił wzbudzić zaufanie, zapewne zabrał Paulinkę z przystanku autobusowego, zaproponował podwiezienie samochodem. Zabił ją tego samego dnia, ciało ukrył w chłodni. Trzeciego dnia, kiedy lało i wiało, pojechał do Ińska, nad jezioro. Wiedział, że woda zmyje wszystkie ślady.

Policjanci byli o krok od zdemaskowania domniemanego zabójcy – rzeźnika, który regularnie kursował do Niemiec trasą, przy której czekała na autobus Paulina. Jeden z funkcjonariuszy miał się do niego zbliżyć pod tzw. przykryciem. Operacja zaplanowana na terenie Niemiec była ściśle tajna, wiedziało o niej zaledwie kilka osób. Tuż przed zatrzymaniem rzeźnik zniknął i prawdopodobnie wciąż jest na wolności.

– Tragedia tego dziecka pozostała we mnie na całe życie – powiedział autorce Edward Olejnik, emerytowany policjant, wówczas szef służb kryminalnych w Szczecinie. Właśnie on miał pod przykryciem zbliżyć się do podejrzanego. – Patrzyłem na moją dorastającą córkę, która była o rok młodsza od Paulinki, i przez lata narastał we mnie gniew. Spałem po dwie-trzy godziny na dobę, niczym innym nie umiałem żyć, mówiłem i myślałem tylko o niej.

Prasówka:

—
„W taką sukienkę Paulina była ubrana, gdy wychodziła z domu. Nigdy jej nie odnaleziono. Nie jest wykluczone, że zabójca może ją przechowywać. Rysunek powstał na podstawie zeznań.



Ten, kto ją zabił, jest prawdopodobnie bardzo chory i bardzo zły, choć jego otoczenie może o tym nie wiedzieć.

Wszystko wskazuje na to, że Paulina złapała na szosie okazję, jak to miała w zwyczaju (kierowcy pekaesów jej nie widzieli). Najprawdopodobniej to przypadek sprawił, że za kierownicą siedział okrutny psychopata, który ją wprowadził, zgwałcił i zamordował.

Jest pewne, że miejsce znalezienia zwłok nie było miejscem popełnienia zbrodni. Najprawdopodobniej zabójca przewiózł ciało samochodem. Rodzaj obrażeń nakazuje sądzić, że na nigdy nieodkrytym miejscu zbrodni (jakaś odludna okolica, opuszczona szopa, altanka, a może dom zabójcy) musiało zostać bardzo dużo krwi. Krew mogła również pozostać w samochodzie. Także sam zabójca powinien mieć zakrwawione ubranie. Może po latach ktoś przypomni sobie przypadkowe odkrycie krwawych śladów, których wcześniej nie kojarzył z tą zbrodnią?"

(Adam Zadworny, *Morderca Pauliny znów uderzy? Mroczna historia z Archiwum X*, „Gazeta Wyborcza”, 28.08.2010).

Znalazłem w Polsce analogiczną sprawę – kontynuował Olejnik – ale nie udało mi się obu tych zabójstw połączyć. Takich ludzi można porównać do bomby z opóźnionym zapłonem, nawet po latach kompletnej ciszy mogą się uaktywnić. Byłem doświadczonym policjantem, miałem za sobą trzydzieści lat pracy, a nigdy wcześniej i nigdy później nie zaangażowałem się tak w żadną sprawę.

„Nie ma jednego wzorca mózgu mordercy – przekonują Anne Moir i David Jessel w rozdziale *Psychika mordercy* [*Zbrodnia rodzi się w mózgu*]. – Jeśli otworzymy czaszkę, zmierzymy i zbadamy jej zawartość, nie znajdziemy przepisu na morderstwo. Zdarzają się jednak mordercy o szczególnie ukształtowanej psychice, która determinuje ich czyny.

Zastosowanie emisyjnej tomografii pozytonowej pozwala nam dziś zajrzeć – dosłownie – do środka mózgu. Profesor Adrian Raine, wybitny naukowiec zajmujący się zagadnieniami przemocy i problemami psychicznymi, przeanalizował i porównał wyniki badań mózgow czterdziestu dwóch morderców, których ofiarami były nieznajome osoby. Stwierdzono u nich zakłócenia w określonym miejscu, mianowicie przedczołowym obszarze mózgu. Obraz tomograficzny stwarza niesamowite wrażenie: wyraźnie widać na nim, że u tego typu morderców część mózgu po prostu nie funkcjonuje [...].

Seryjni zabójcy, którzy niejako z natury nie są zdolni do zrozumienia czyichś uczuć, często popełniają czyny, które normalnym ludziom nie mieszczą się w głowie. Jak stwierdza doktor Hare, «potrafią torturować i kaleczyć swoje ofiary z równym skupieniem, jak my kroimy indyka na świąteczny stół w Dniu Dziękczynienia». Ted Bundy przyznał przed egzekucją: «Jestem najbardziej zimnym skurwysynem, z jakim żeście się

kiedykolwiek zetknęli». Ustalono, że zabił sto młodych kobiet. Często udawał kalekę, aby wywołać współczucie swoich ofiar. Jego zdaniem poczucie winy to złudzenie, niezdrowy mechanizm społeczny, za pomocą którego kontroluje się ludzi.

Seryjny zabójca może długo pozostawać niewykryty, umie bowiem maskować swoją brutalność. Wszyscy tego typu sprawcy wydają się bardziej normalni, lepiej ukrywają swoje myśli i zamiary niż agresywni psychopaci”⁶.

1. A. Moir, D. Jessel, op. cit., s. 241. [\[wróć\]](#)
2. W latach 90. pojawiły się wątpliwości, czy rzeczywiście na śmierć posłano prawdziwego mordercę. Zdzisław Marchwicki nigdy nie przyznał się do winy, chociaż zdaniem śledczych pasował do profilu psychologicznego seryjnego zabójcy. Mówiono o naciskach na prowadzących sprawę i błędach w śledztwie, wynikających z faktu, że jedna z ofiar była krewną Edwarda Gierka – ówczesnego pierwszego sekretarza Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Katowicach. Sprawę drążył m.in. Przemysław Semczuk, autor książki *Wampir z Zagłębia*. [\[wróć\]](#)
3. Ewa Ornacka, *Tajemnice zbrodni*, Wydawnictwo Prószyński i Media Sp. z o.o, Warszawa 2010. [\[wróć\]](#)
4. Tamże. [\[wróć\]](#)
5. John Douglas, Mark Olshaker, *Mindhunter*, przeł. Jacek Konieczny, Znak, Kraków 2017. [\[wróć\]](#)
6. A. Moir, D. Jessel, op. cit. [\[wróć\]](#)

Rozdział 12

Seks na skróty, głód zabijania i... kochania

„Towarzyszący polowaniu dreszczyk emocji stymuluje łowców – opisywał John Douglas w swojej książce *Mindhunter*. – Podejrzewam, że gdyby dało się odczytać napięcie elektryczne na ich skórze w momencie wypatrzenia ofiary, otrzymalibyśmy taki sam wynik, jak u polującego lwa. Nie ma znaczenia, czy chodzi o ludzi polujących na dzieci, młode kobiety, emerytów, prostytutki lub jakąkolwiek inną możliwą do wyodrębnienia kategorię, a nawet tych, którzy wydają się dobierać ofiary losowo. Wszyscy są do siebie pod pewnymi względami podobni”¹.

– Normalne relacje z kobietą wymagają od mężczyzny ceremoniału, czasami długotrwałych zabiegów. Seryjni zabójcy nie mają na to czasu, chcą mieć wszystko od razu, dlatego wybierają drogę „na skróty” – tłumaczy motywy zbrodni na tle seksualnym konsultant tej książki.

Amerykański psycholog Joel Norris, szkoląc agentów FBI, podkreślał: „Wielokrotni zabójcy boją się seksu, dlatego uprawiają go ze swoimi ofiarami dopiero wtedy, gdy je zwiążą, pozbawią przytomności lub uśmiercą. Większość z nich nie jest po prostu w stanie odbyć stosunku z żywą, normalnie funkcjonującą osobą. Zwłoki nie stanowią zagrożenia”.

W Polsce o tego typu skłonności podejrzewano Leszka P. – „wampira” z Bytowa, zresztą on sam mówił śledczym, że zabijał, ponieważ nie radził sobie z popędem płciowym. Nie przeszkadzało mu, że partnerka nie żyła. „Była ciepła, a za życia by mi nie dała” – tłumaczył. Podczas trzymiesięcznego pobytu na oddziale psychiatrii sądowej w Krakowie wielokrotnie w ciągu dnia onanizował się, chociaż wiedział, że jest obserwowany. Lekarze orzekli, że ma upośledzenie umysłowe, zaburzoną osobowość (jest sadystą i nekrofilem), ale zabijając, był poczytalny.

Prokuratura oskarżała Leszka P. o dokonanie kilkunastu zabójstw: dziewczynek, dorosłych kobiet i starszych mężczyzn. W początkowej fazie śledztwa mężczyzna spontanicznie opowiadał o masowych napaściach na tle seksualnym, przyznał się do blisko 70 morderstw. W sądzie wszystko odwołał i poskarżył się na policjantów, którzy mieli mu obiecywać, że jeśli przyzna się do blisko stu zabójstw, to będzie lepiej traktowany i trafi do szpitala psychiatrycznego, a nie do więzienia. Ostatecznie udowodniono mu jedno zabójstwo i skazano na 25 lat pozbawienia wolności. Autorka była w Sądzie Okręgowym w Słupsku – w 1996 roku – na odczytaniu wyroku. Odniosła wrażenie, że Leszek P. nie przejawiał specjalnego zainteresowania tym, co mówił przewodniczący składu sędziowskiego. Wbijał wzrok w obecne na sali sądowej kobiety, oblizywał się.

W 2017 roku Sąd Apelacyjny w Gdańsku orzekł, że po odbyciu kary „wampir” z Bytowa nie wyjdzie na wolność, lecz jako osoba wciąż niebezpieczna trafi do ośrodka w Gostyninie. Na mocy „ustawy o bestiach”² pozostanie tam prawdopodobnie do końca życia.

„Bestie” przeżywają katusze, gdy odzywa się w nich głód zabijania. „Każdy mój czyn poprzedzała dziwna myśl, taka natrętna, drażąca cały mózg – mówił w wywiadzie, tuż przed straceniem «nożownik z Krakowa». – Dręczyła mnie, prześladowała, nie mogłem spać, uczyć się. Cierpiałem okrutnie, musiałem więc szybko myśleć, gdzie i kogo zabić. Po morderstwie momentalnie się uspokajałem. Złe głosy ode mnie odstępowały, nie czułem potrzeby biegania za ofiarą. Byłem zadowolony”.

Podobne napięcie przeżywał Paweł Tuchlin z Gdańska nazywany „Skorpionem” (choć w rzeczywistości pod takim kryptonimem działała w milicji grupa pościgowa). Seryjny morderca, którego diagnozował m.in. doktor Jerzy Pobocho, swój wieloletni krwawy szlak rozpoczął jesienią 1975, a zakończył w maju 1983 roku. „Wiele godzin przedtem drżałem z podniecenia – opowiadał biegłym w trakcie pobytu w areszcie. – Byłem dziwnie niespokojny. Nie mogłem się skupić na tym, co robiłem. Coś mnie ciągnęło, chodziło mi w środku, po piętach. Nie jestem w stanie dokładnie tego określić. Gdy się we mnie nazbierało, wyruszałem na wędrowkę po mieście, wyszukując kobiet”.

W obezwładnianiu ofiar posługiwał się powszechnie stosowaną w gospodarstwach rolnych metodą ogłuszania zwierząt hodowlanych –

uderzał je młotkiem w głowę. Po każdej napaści przyrzekał sobie, że to był ostatni raz. Wieczorami łykał pigułki nasenne, aby nie wychodzić z domu. Wyrzucił nawet swój ulubiony młotek – narzędzie zbrodni. Zew krwi niweczył jednak wszystkie jego wcześniejsze postanowienia.

Człowiek o dwóch twarzach

– Paweł Tuchlin był przykładem człowieka o dwóch twarzach: miły i serdeczny dla rodziny, bezwzględny i okrutny dla ofiar – charakteryzuje go Jerzy Pobocho. – Był rok 1984, kiedy przywieziono go do nas na obserwację psychiatryczną. Miałem wtedy 44 lata i bogate doświadczenie – na tym oddziale pracowałem już od dziesięciu lat. Wiedzieliśmy, z jakimi zarzutami do nas trafił i jakie zbrodnie mu zarzucano. Przekazano nam akta sprawy. Jego „dorobek” nie budził w nas dreszczyku emocji. Mieliśmy wcześniej do czynienia z wielokrotnymi zabójcami. Jeśli na co dzień człowiek styka się z takimi ludźmi, to kolejny przypadek nie robi jakiegoś nadzwyczajnego wrażenia. Co go wyróżniało? Był „hurtownikiem”: 9 kobiet zamordowanych i 11 brutalnie zaatakowanych, okaleczonych.

Był cichy, uczynny i spokojny. Właśnie ten spokój wyróżniał go spośród zabójców. Mówił powoli, prostym językiem. Nie był specjalnie elokwentny, nie miał wykształcenia.

Do wszystkich zarzucanych mu czynów prokurator chciał mieć pełną analizę jego zachowań, aby udowodnić, że on nie tracił kontroli, wiedział, co robi, unikał identyfikacji. Wiadomo było, że jeśli okaże się poczytalny, to czeka go kara śmierci. Opinia musiała być pełna i kompletna, aby nie trzeba było sporządzać kolejnych. Pracował nad tym cały sztab ekspertów. Powołano aż dziesięciu biegłych: psychiatrów, psychologów, seksuologów, endokrynologa, neurologa i genetyka. Oczywiście miał robione EEG, odmě mózgową i pobraliśmy od niego dermatoglify – czyli fragmenty unikatowej struktury linii i bruzd wytworzonych przez skórę właściwą w postaci uwypukleń naskórka na wewnętrznej powierzchni dłoni i stóp. Po co nam to było? Otóż skóra rozwija się z tego samego listka zarodkowego co mózg. W przypadku pewnych anomalii one się mogą ujawnić właśnie w dermatoglifach.

Jego zachowania podczas „polowania”, tzn. precyzja, szybkość działania i orientacja w terenie, stanowiły – z naszego punktu widzenia – testowe sytuacje, w których on wykazywał się absolutną sprawnością. Oto przykład: o piątej rano jedzie kradzionym samochodem przez wieś i widzi, że w jednym mieszkaniu pali się światło, a to oznaczało, że ktoś prawdopodobnie będzie szedł na przystanek autobusowy. W związku z tym on zatrzymał samochód, zaczekał i zobaczył, że wychodzi stamtąd kobieta. Nawet nie wysiadł z auta, tylko ją potrącił. Upadła na jezdnię, straciła przytomność, a on wrzucił ją do środka i wywiózł do lasu.

Miał pecha, bo samochód był żółty i ktoś go tam wypatrzył. Poza tym wszędzie było błoto, więc samochód nie mógł ruszyć z miejsca. Kiedy jeszcze usłyszał w pobliżu jakiś hałas, porzucił auto i uciekł.

Innym razem jechał autobusem i zobaczył, że na przystanku wysiada córka leśniczego, więc też wysiadł. Szedł za nią przez las i czterysta metrów od domu zaatakował ją młotkiem. Zaspokoił się, a następnie oddalił z miejsca zbrodni. Wykazał się błyskawiczną orientacją sytuacyjną, perfekcyjnie wykorzystał sytuację.

Prasówka:

—
„Tuchlin przez pół roku przebywał na obserwacji psychiatrycznej w Szczecinie. Miły, uczynny. Odkrył w sobie uzdolnienia plastyczne, wygrał nawet konkurs na lepienie rzeźb z chleba. To dobre tworzywo, wymieszany ze śliną chleb daje się znakomicie formować, a potem zastyga w kształcie, jaki mu nadano. Tuchlin wykonał w ten sposób trzy makiety waginy, ozdobił je nawet naturalnym włosiem.

Zakochał się w pani doktor psychiatrii, zaczął pisać do niej listy, żeby nie lekceważyła go, bo dopiero przy nim może poznać, co znaczą słowa «prawdziwy mężczyzna». Jedną z tych wagin podarował jej w prezencie. Pani doktor doznała rozstroju nerwowego”.

—
(Roman Daszczyński, *Wkładał za pasek młotek i wychodził z domu. Wstrząsająca historia psychopatycznego mordercy z Pomorza*, „Gazeta Wyborcza”, 22.08. 2018).

– **Zauważyliście z jego strony jakieś próby aktorskie?**

– Nie, on przyjmował taką postawę, że jest niewinny, że to nieporozumienie. Kiedy zbliżały się żniwa, z aresztu wystosował pismo do prokuratora, aby go zwolnić do domu. Argumentował, że ma gospodarstwo rolne, ziemia leży odłogiem, nie ma komu robić na roli i podatku zapłacić. Jakby zupełnie nie rozumiał powagi sytuacji. Nie był roszczeniowy, a wręcz przeciwnie – na nic się nie skarżył, nie miał żadnych pretensji.

Rozmawiałem z nim wiele godzin. Może wprowadzał mnie w błąd, ale mówił, że bardzo lubi bawić się ze swoim półtorarocznym dzieckiem.

– **Dlaczego zabijał?**

– Jego kontakty z kobietami były złożone. Generalnie nie miał szczęścia w miłości. One śmiały się z niego, nazywały śmierzdzielem, ponieważ Tuchlin moczył się do szesnastego roku życia. Z racji nieprzyjemnego zapachu nie miał szansy na normalne zbliżenia intymne. Pierwszych kontaktów seksualnych doświadczył z prostytutkami.

– **Mścił się, że go wyśmiewały?**

– On miał psychikę drapieżnika, polował na swoje ofiary, czasami długo je obserwował, a potem atakował zniemacka. Twierdził, że „nie zabijał, tylko ogłuszał”, i naprawdę w to wierzył. To są mechanizmy obronne osobowości – wypieranie, mamy je po to, abyśmy nie zwariowali. Psychika broni się przed informacjami o najgorszych zdarzeniach. Niektórzy mają te mechanizmy silne, inni słabe. On widocznie miał silne. „Kiedy odchodziłem, one były jeszcze ciepłe, więc żyły. Zmarły z innych powodów, to nie ja” – przekonywał. Tylko z martwą kobietą mógł zaspokoić perwersyjne potrzeby seksualne, na które nie wyrażała zgody jego żona.

– **Jego niepozorny wygląd mógł być mylący, a jednak był człowiekiem brutalnym, sadystycznym. Skąd w nim tyle zła?**

– Jako dziecko doświadczał przemocy ze strony dorosłych, więc kiedy sam stał się dorosły – też zaczął ją stosować. Generacyjne przekazywanie przemocy to jedno ze znanych zjawisk w kryminologii i psychologii społecznej. W stosunku do żony nie okazywał agresji, chociaż trudno powiedzieć, czy ją kochał. On raczej nie miał rozbudowanej uczuciowości wyższej.

Podczas wizji lokalnej szczerze opowiadał o wszystkim i odtwarzał wydarzenia ze szczegółami. Na koniec się uklonił, a później, już w trakcie procesu, ze wszystkiego się wycofał, wszystkiemu zaprzeczył.

– **Sugestia adwokata?**

– Albo więźniów, chociaż w aresztach i zakładach karnych takich biją, a wręcz mogą zabić. Recydywiści są wyjątkowo wrogo nastawieni do tej kategorii przestępców, to znaczy zabójców kobiet na tle seksualnym. Z tego względu przebywał w celi z dwoma mężczyznami, którzy mu nie zagrażali.

U więźniów potrzeby seksualne przybierają formę fantazji, dlatego lepił z chleba kobiece narządy płciowe. Seryjni zabójcy wykazują duże anomalie osobowości, zaburzenia psychiczne, ale on był nietypowy. Jego życiorys, doświadczona przemoc, niezaspokojona ciekawość seksualna – wszystko to ukierunkowało tego człowieka na konkretny sposób działania. Wynalazł

sposób, aby kobieta była posłuszna, i to zaledwie w kilka sekund. Potrzeba matką wynalazków. W inny sposób nie mógł doprowadzić do zbliżenia.

Prasówka:

—
„W czasie wizji lokalnych z udziałem Tuchlina rolę ofiary pozorowała jedna z milicjantek. Młotek był atrapą wykonaną ze styropianu, ale i tak podpiłowano go u nasady, na wypadek gdyby «Skorpion» nie mógł się opanować.

– Lubił wizje lokalne, mówił, że samo wspomnienie go podnieca, tak na 50 procent – wspomina ówczesny prokurator Ryszard Zegar. – Raz zaczął biec, ja za nim. Widzę, że jakiś nie w sosie jest. O co chodzi, pytam. A on, że ta milicyjna pozorantka w ogóle go nie bierze i on chciałby inną. Pokazuje na aplikantkę prokuratorską, ładną blondynkę”.

—
(z reportażu Romana Daszczyńskiego).

Ostatecznie uznaliśmy, że Paweł Tuchlin był osobą poczytalną. Miał jedynie zaburzenia osobowości, a wyłącznym powodem jego morderczych działań było to, że nie potrafił nawiązywać kontaktów z kobietami, chociaż później miał żonę.

– **Odwiedzała go w więzieniu?**

– Nie pamiętam, ale wątpię. Na naszym oddziale przeprowadzaliśmy wiele rozmów z członkami rodzin zabójców, ale w tym przypadku tego nie było. Żona wyrzekła się go. Zresztą miała małe dziecko, trudno by jej było w tamtych czasach przemieszczać się z nim z Gdańska do Szczecina. Wyrok wykonano w maju 1987 roku przez powieszenie. Orzeczono też utratę praw publicznych na zawsze, co oznaczało odebranie prawa do posiadania grobu. Dobrze się stało – w przeciwnym razie przychodziłyby tam jakieś pielgrzymki: jedni pluliby na mogiłę, inni uczyniliby sobie z jego grobu miejsce kultu.

Prasówka :

–
„Tak więc 25 maja 1987 r., w poniedziałek, w gdańskim więzieniu zaprowadzono go do sali, gdzie jest zapadnia. Na szyję nałożono pętlę. Potem odcięto mu głowę – i zanurzono w słoju z formaliną, który następnie gdzieś zaginał.

Gdzie znajduje się grób Tuchlina, też nie bardzo wiadomo. Oficjalnie – na cmentarzu w Pieniążkowie, gmina Gniew. Nieoficjalnie – na gdańskim cmentarzu Łostowice, jedna z kwater NN.

Mecenas Marek Maj, obrońca Tuchlina na etapie śledztwa: – Z tego, co wiem, przed zamknięciem wieka grabarze nasikali do trumny. I jest to informacja z dobrego źródła”.

—
—
(z reportażu Romana Daszczyńskiego)

„Skorpion” podejrzewano o jeszcze jedno zabójstwo, z identycznym modus operandi, ale on się do niego nie przyznał. Młoda kobieta została napadnięta w lesie, gdy zbierała jagody. Miała roztrzaskaną głowę i zasinione wargi sromowe, prawdopodobnie od mocnego uciskania. Morderca nie pozostawił nasienia.

Tuchlin przedstawił mocne alibi – w tamtym czasie odbywał karę za kradzieże. Przebywał w zakładzie półotwartym i niewykluczone, że wychodził na „lewe” przepustki. Podejrzewano, że umożliwił mu to jeden ze strażników, który remontował dom. Paweł Tuchlin był „złotą rączką”, mógł pójść na cichy układ z funkcjonariuszem i niepostrzeżenie opuścić więzienie. Były to jedynie spekulacje śledczych i nie miały żadnego przełożenia na dowody.

Niektórzy sugerują, że gdyby „Skorpion” przyznał się wtedy do nieujętego w akcie oskarżenia zabójstwa, kara śmierci byłaby odroczone do czasu zakończenia kolejnego śledztwa i z dużym prawdopodobieństwem morderca w ogóle nie zawisłby na szubienicy. W Polsce od 1988 roku obowiązywało faktyczne moratorium na wykonywanie kary śmierci (choć ustawowo zniesiono ją dopiero siedem lat później). Na mocy amnestii w 1989 roku jego wyrok automatycznie byłby zmieniony na 25 lat pozbawienia wolności, czyli najwyższą karę w ówczesnym kodeksie karnym.

Gdyby tak się stało, Paweł Tuchlin byłby dziś wolnym człowiekiem.

Czy „to” można naprawić?

Szczęściarzem, którego zmiany w polskim prawie uchroniły przed szubienicą, okazał się Mariusz Trynkiewicz, który za zabójstwo czterech chłopców został – we wrześniu 1989 roku – skazany na karę śmierci. Był

nauczycielem wychowania fizycznego, potrafił rozmawiać z dziećmi. Wzbudzał zaufanie, dlatego dali się zwabić do jego domu. Przyszli po śmierć. Ich nadpalone ciała, ułożone na kształt gwiazdy, znaleziono w lesie w Piotrkowie Trybunalskim.

Prasówka:

—
„Piotrków Trybunalski, lipiec 1988 r. Żar leje się z nieba, a grupa chłopców kąpie się w miejscowym zalewie. Podchodzi do nich młody nauczyciel wychowania fizycznego. Ten ciemnowłosy, szczupły facet to Mariusz Trynkiewicz. Dla 11-letniego Tomka Ł., 12-letnich Artura K. i Krzysztofa K. spotkanie oznacza wyrok śmierci.

Nauczyciel kusi chłopców, by poszli do niego do domu, chce im pokazać akwarium, o którym wcześniej im opowiadał, wspomina też o możliwości postrzelania z wiatrówki. Chłopcy nie podejrzewają nic złego, idą do domu Mariusza. Nie wiedzą, że zapraszający jest na przepustce z więzienia – został skazany za seksualne wykorzystywanie nieletnich. Chłopcy idą do mieszkania przy ulicy Działkowej w Piotrkowie Trybunalskim. To, co się potem tam działo, wiemy tylko z opisów mordercy. Śledczym wyjaśniał on tak: «Jeden z chłopców chciał w pewnej chwili wyjść, wtedy poczułem niepokój, nie pamiętam, co się działo dalej».

– Poszedł do łazienki po nóż, wrócił i każdemu z chłopców zadał wiele ciosów tym nożem – wspominał Andrzej Matuszczyk, emerytowany policjant z Piotrkowa, wtedy oficer w wydziale dochodzeniowo-śledczym.

Matuszczyk zastanawiał się potem wiele razy, dlaczego chłopcy nie bronili się, dlaczego sąsiedzi nie słyszeli żadnych krzyków. Ustalono, że chłopcy nie zostali zgwałceni, seksualną satysfakcję sprawiła nauczycielowi świadomość odebrania im życia. Morderca walił na oślep, był w amoku. Przestał, gdy żaden z nastolatków już się nie ruszał.

«Zobaczyłem chłopców leżących w pokoju, z ust ciekła im krew, byli pokrwawieni. Potem zakładałem im worki z polietylenu» – zapisano w jego zeznaniach.

Morderca ochłonał, umył się i poszedł do rodziców na obiad. To niedaleko, w sąsiednim bloku przy ul. Działkowej. Po kilku godzinach wrócił do swego mieszkania i przeniósł zwłoki do piwnicy. Schodził tam co jakiś czas i polewał je środkami dezynfekującymi, bał się, że sąsiedzi poczują odór rozkładających się ciał.

Posprzątał mieszkanie, chciał usunąć ślady krwi. Po kilku dniach wziął wartburga ojca i wywiózł w środku nocy ciała do lasu. Podpalił je, by zatrzeć ślady. Nadpalone ciała chłopców znalazł przypadkowo jeden z grzybiarzy – jego pierwszego milicja wzięła w obroty, bo tłumaczył się mętnie. Sądzono, że to on mógł być sprawcą zbrodni.

—

(Kazimierz Sikorski, Trynkiewicz: Kiedy wyjdę na wolność, będę znów zabijał – to silniejsze ode mnie, „Focus”, 8.10.2018).

„Mordował z lubieżności, zadawanie bólu sprawiało mu seksualną przyjemność – napisał Piotr Pytlakowski w książce *Trynkiewicz i inni*.

Rozmowy ze skazanymi na karę śmierci. – Tłumaczył, że odczuwał narastające napięcie, które mijało, kiedy jego ofiary umierały. [...] Sam ocenił, że na osobowość zabójcy wywarło wpływ kilka okoliczności: nadopiekuńczość rodziców, odrzucenie pracy magisterskiej, powołanie do wojska, pobyt w więzieniu (po pierwszym wyroku skazującym), gdzie siedział razem z aferzystą i człowiekiem, który zabił swoją narzeczoną, oraz zakaz wykonywania ulubionego zawodu nauczyciela”³.

Piotr Pytlakowski był jedynym dziennikarzem, z którym rozmawiał Trynkiewicz. Oto jak tłumaczył mu swoje straszne czyny:

„Moim problemem była inność. Odróżniałem się od pozostałych, musiałem z tym żyć. Nie potrafiłem sobie z tym poradzić. Nie chodzi o pedofilię i o inność seksualną, ale o to, jak społeczeństwo traktuje tych innych. Żeby żyć wśród ludzi, musiałem udawać kogoś innego, niż w istocie byłem. Więc żyłem w ciągłym strachu. Przychodzi czas, kiedy psychika nie wytrzymuje ciągłego napięcia. Czasem prowadzi to do samobójstwa, czasem przeradza się w głęboką chorobę psychiczną. To, co uczyniłem, ktoś mógłby wyjaśnić w sposób prymitywny: zemsta na społeczeństwie. Ale to był raczej zbieg złych okoliczności”⁴.

Autor przytoczył też opinię o Mariuszu Trynkiewiczzu wystawioną przez seksuologa, doktora Zbigniewa Lwa-Starowicza:

„Posiada biseksualną orientację płciową z cechami pedofilii. Nie identyfikuje się z rolą męską. Popęd seksualny od pokwitania zaspokajał przy pomocy samogwałtu. Rozczarował się pierwszym kontaktem seksualnym z kobietą. Za radą lekarza nawiązał kontakty ze środowiskiem dorosłych homoseksualistów, ale szybko z tego zrezygnował”⁵.

Dziś Mariusz Trynkiewicz, objęty ustawą o bestiach, przebywa w pilnie strzeżonym ośrodku w Gostyninie. Odbywa wyrok za posiadanie

pornografii dziecięcej.

– **Nie pomogłaby mu chemiczna kastracja?**

– Owszem, taka możliwość istnieje, ale leki są bardzo drogie i do tego bardzo toksyczne. Uszkadzają wątrobę. Firmy farmaceutyczne, które te leki sprzedają, zrobiły odpowiedni PR, ale prawdą jest, że takie rozwiązanie nie jest wyjściem z sytuacji.

Jest jeszcze druga kwestia – wprawdzie mówimy o chemicznej, ale jednak kastracji. Na tej płaszczyźnie – abstrahując od przypadku Trynkiewicza – wciąż istnieją opory natury etycznej. Po prostu tego człowieka trwale się okalecza, a przecież stara zasada medyczna głosi: „Po pierwsze nie szkodzić”. Z góry wiemy, że kastracja chemiczna pacjentowi zaszkodzi, zatem nie może być powszechnie stosowaną metodą. Nie chodzi o to, aby mu obciąć wszystko, lecz żeby ten popęd ukształtować.

– **Czy to jest w ogóle możliwe?**

– Podejmowane są takie próby. Psychoterapia pedofili w warunkach otwartych musi trwać minimum pięć lat. To długi czas, pacjent znów może coś zrobić i trafić za kraty. Efektywność terapii szacowana jest na 10-20 procent.

W pierwszym etapie obserwujemy u pacjentów bardzo silne mechanizmy wyparcia i zaprzeczenia: „Ja nie jestem pedofilem, to był przypadek, czego wy ode mnie chcecie?” – mówią. Trwa to rok, zanim przestaną zaprzeczać, uświadomią sobie problem i zrozumieją, że nie są normalni w sferze seksualnej.

Dopiero gdy pedofil sam przed sobą to przyzna, można przejść do drugiego etapu terapii. Polega on na ćwiczeniach hamowania skojarzeń seksualnych do dzieci i przenoszenia tych skojarzeń na osoby dorosłe. Żmudny proces i – nie wdając się w szczegóły – niewielu go wytrzymuje. Większość niestety wraca do starych nawyków, do polowania na dzieci. Miałem kiedyś takiego pacjenta. Odsiedział cały swój wyrok za pedofilię. Do mnie przychodził po leki tłumiące jego popęd seksualny. Przez pewien czas udawało mu się żyć według ogólnie przyjętych zasad, lecz któregoś

dnia stanął gdzieś pod szkołą, omotał jakieś dziecko i znów zrobił to samo. Tłumaczył mi potem: „Doktorze, jak jest taka okazja, to ja nie potrafię się powstrzymać”.

– **Co zawiodło?**

– Był na lekach, ale widać za słabych. W sądach zapadają wyroki przymusowej terapii ambulatoryjnej dla pedofili, tak jak w przypadku tego pacjenta, ale kieruje się ich do odległych placówek – on był ze Szczecina, a miał się leczyć w Krakowie. Sytuacja niedorzeczna, nie wiem, jak można coś takiego wymyślić. On miał szczerą chęć. Niestety, był bezrobotny, nie miał pieniędzy, a musiał tam dojeżdżać na własny koszt. W ten sposób nikogo nie da się „naprawić”.

W przypadku Mariusza Trynkiewicza chodziło przede wszystkim o zabijanie, a nie o seks z dziećmi. Trzej zamordowani przez niego chłopcy nie zostali zgwałceni.

Życie pokazało, że nawet takie bestie jak on znajdują swoją drugą połowę. W październiku 2015 roku w ośrodku w Gostyninie odbył się ślub Mariusza T. z kobietą, którą poznał drogą korespondencyjną. „Ta kobieta oszalała. Trynkiewicz będzie ojcem jej dziecka” – grzmiał jeden z tytułów internetowych.

– Nie jest to ewenementem w skali światowej – komentuje psychiatra. –

W Stanach Zjednoczonych, gdzie w więzieniach przebywa wielu takich przestępców, kobiety nagminnie zakochują się w skazańcach. Nawet takich, którzy są w celach śmierci.

Pokochać bestię

– **Doktorze, jak zawierane są takie związki?**

– Tylko w jeden sposób – oni piszą do siebie listy. Poza nielicznymi przypadkami korespondencję inicjują skazańcy i jest to zjawisko o globalnym zasięgu. Po pierwsze: mężczyźni z oczywistych względów

czują się odcięci od świata, samotni, zatem chcą nawiązać kontakt z kobietami. Po drugie: dobrze mieć kogoś na wolności, kto kupi kartę telefoniczną i zatroszczy się o wypiskę, czyli zasilenie konta na zakupy w więziennej kantynie. Pamiętajmy, że są to w większości psychopaci, a ci – jak wiemy – manipulację opanowali do perfekcji.

– Dlaczego kobiety zakochują się w skazańcach?

– Listy od skazańców są płomienne, pełne komplementów, wręcz buchają emocjami. Kobiety są tego spragnione, uważają, że to zachwycające. Niektóre nigdy wcześniej nie spotkały się z takim uwielbieniem. To je motywuje, podnosi samoocenę, dopinguje do zmian – w ich mniemaniu – na lepsze. Na ogół mężczyźni są oględni w wyrażaniu uczuć, a tu nagle taka eksplozja emocji. Tymczasem oni biorą je „na miłość”, w rzeczywistości nie odczuwają tego, o czym piszą. Pamiętajmy, że w tle zawsze jest manipulacja.

– Nie przeszkadza tym kobietom, że skazaniec jest pedofilem, seryjnym gwałcicielem czy zabójcą?

– U kobiet często wyzwalają się postawy samarytańskie. One mają niezaspokojoną potrzebę obdarzania kogoś uczuciem. Pochylają się nad żebrakami, biedakami, ludźmi wyrzuconymi poza nawias społeczeństwa, a tacy są skazańcy, szczególnie ci z dożywociem lub w celach śmierci. Jeżeli on pisze do niej, że miał ciężkie dzieciństwo, boleśnie przeżywa rozłąkę, przebacza wrogom, tęskni za nią dniami i nocami, ponieważ kocha ją ponad życie, to ona zaczyna postrzegać go jako osobę wrażliwą i wspaniałą, której zmarnowano życie.

– Zaprzeczają faktom?

– Większość daje sobie wmówić, że on siedzi za niewinność. Skazańcy opisują swoje czyny pokrętnie, a one w to wierzą. Na tym etapie znajomości u kobiet uruchamiają się mechanizmy obronne organizmu, wyparcie. Myślą i mówią: „Nie, to nieważne, że go skazali, on jest przecież

taki kochany, a w więzieniu jest niszczone, zamykany. Ja odmienię jego los, ofiaruję mu całe swoje serce, uczucia, całe swoje życie!”.

Fragment książki Piotra Pytlakowskiego o Trynkiewiczu:

„Młoda doktorantka z wydziału resocjalizacji Uniwersytetu Warszawskiego spędziła z Trynkiewiczem kilkadziesiąt godzin. Obiecała mu, że przynajmniej przez pięć lat tych rozmów nie opublikuje ani nie udostępni swoich notatek dziennikarzom. Pracownicy więzienia zapamiętali, że dziewczyna była zafascynowana «wampirem z Piotrkowa», a on po tych sesjach wyraźnie nabierał wiary we względność swojej winy” ⁶.

– Mariusz Trynkiewicz, zanim się ożenił, otrzymywał listy od kilkudziesięciu kobiet, które chciały się nim „zaopiekować” – kontynuuje psychiatra. – Uważały, że jest „biedny, niewinny, nieszczęśliwy”.

Postawy samarytanki zdarzają się również wśród pracownic Służby Więziennej. Jedna z naszych pielęgniarek wdała się na oddziale psychiatrii sądowej w romans z osadzonym, przez co straciła pracę. W relacje z przestępcami wchodziły też funkcjonariuszki SW. Akurat one dobrze wiedziały, z kim miały do czynienia, a jednak uważały, że „on taki biedny, skrzywdzony”.

Samarytanki

– Podejrzewam, że kobieta zamordowana wraz z dzieckiem w Warszawie przez więźnia na przepustce była typem samarytanki i obdarzyła nadmiernym zaufaniem obcego de facto człowieka – mówi doktor Pobocho.

– Jej śmierć, a także śmierć jej dziecka, nie była odosobnionym przypadkiem. Szczególnie utkwiła mi w pamięci historia lekarki psychiatrii z Elbląga, leczącej alkoholików i więźniów. Była samotna, mieszkała z córką. Odczuwała silną potrzebę opieki nad pacjentami. Wpuszczała ich do domu, karmiła, hołubiła.

Jeden z jej podopiecznych, podczas przepustki z więzienia, przyszedł do niej rzekomo po pomoc. Drzwi otworzyła córka, była wtedy sama w domu. Wpuściła go do środka, być może знаła go z wcześniejszych wizyt. Oczekiwanie pacjenta na lekarkę przedłużało się, mężczyzna zaczął dobierać się do dziewczyny. Stawiała mu opór, wobec czego związał ją, a następnie torturował, rażąc prądem z zerwanej instalacji elektrycznej. Czuł się panem sytuacji.

Lekarka pojawiła się w domu po kilku godzinach. Córka była już martwa. Skazaniec zabił i ją, po czym wrócił na czas z przepustki. Jego zachowanie nie zdradzało, że stało się coś szczególnego. Zdemaskował go złoty pierścionek skradziony dziewczynie. Morderca schował go w spłuczce klozetowej, tam został znaleziony. Zabójca dostał karę śmierci.

– Czy z kobietami, które zakochują się „korespondencyjnie” w zabójcach, jest coś nie tak?

– One często nie mogą sobie znaleźć życiowego partnera, z wielu zresztą powodów. Zazwyczaj są wykształcone, mają pracę, ale w kontaktach damsko-męskich wykazują pewną nieporadność. Stawiają mężczyznom wysokie wymagania, zbyt wysokie. Najlepiej, żeby to był królewicz z bajki: wykształcony, przystojny, pachnący, do tego wierny i bogaty. Ale w życiu nie ma królewiczów. Kobiety pragną, by ktoś je kochał, zabiegał o nie, mówił do nich czule.

Ideału nie spotykają, a lata lecą. Z biegiem czasu coraz trudniej o związek partnerski. Owszem, można nawiązać romans w pracy, ale nie o to kobietom chodzi, gdyż większość mężczyzn jest już „zagospodarowanych”, mają rodziny.

Znajomość ze skazańcem odmienia ich życie. W ten sposób one się dowartościowują. Myślą o sobie: „Jaka jestem szlachetna, potrafię się poświęcić, bezinteresownie ofiarować swoje uczucia. Ja go odmienię, ja go naprawię”. Typowe myślenie życzeniowe.

– Mężczyźni też przejawiają takie postawy?

– Mężczyźni mają w sobie zdecydowanie mniej samarytanizmu. Owszem, mogą się tacy pojawić, ale to rzadkie przypadki.

– **Miłość kobiety może naprawić takich mężczyzn jak Trynkiewicz?**

– A skąd! To wyłącznie kwestia dowartościowania się kobiety. Kiedy tacy przestępcy trafiają na wolność, partnerka u boku może być dla nich parawanem. Ludzie pomyślą: „On się zmienił, ma żonę, normalne życie. Ustatkował się, nie jest już niebezpieczny. Trzeba dać człowiekowi szansę”. Daliby mu spokój. Dziennikarze i sąsiedzi z czasem przywykną, stracą czujność

– **Czy po latach więzienia morderca-pedofil to wciąż tykająca bomba?**

– Oczywiście, to w człowieku zostaje.

Pisarka i świetna reportażystka Justyna Kopińska w swojej książce *Polska odwraca oczy* zamieściła wstrząsającą rozmowę z żoną Mariusza Trynkiewicza. Oto jej fragmenty:

„– Gdy po raz pierwszy czytałam list od Mariusza, poczułam takie ciepło, jakby ktoś wrzątek na papier wylał i zanurzył mnie w cichym i spokojnym śnie. [...] Pojechałam do niego do więzienia w Strzelcach Opolskich. [...] Zauroczyłam się nim od pierwszego spotkania [...].

On jest teraz takim grubaskiem, więc ma trochę niezdarne ruchy, które mnie rozczulają. Dużo mnie przytula, gładzi po włosach. Mówi, że jestem jego aniołem, cudem i nigdy nie myślał, że spotka go takie szczęście. W listach rysuje dla mnie pocałunki. [...]

Nigdy wcześniej nie byłam przez nikogo tak kochana. Zanim poznałam Mariusza, czułam, że w moim życiu brakuje ważnego fragmentu układanki. Nie wiem, jak to wytłumaczyć: taka pustka w duszy, której nic i nikt nie potrafi zapełnić. Teraz wreszcie jestem bezpieczna. [...]

Teraz planujemy dziecko z Mariuszem. Na razie widzenia są w obecności strażników, więc nie mogliśmy skonsumować związku w pełny sposób, ale to jest wisienka na torcie [...].

Mariusz nie jest psychopata, ludzie nie biorą pod uwagę, że po pierwsze, te zabójstwa były dawno, a po drugie, nie wiadomo, kim obecnie byłyby te dzieci. Może wyrosłyby na zabójców lub złodziei. Kto włóczy się samotnie przy rzece w wieku kilkunastu lat? [...]

Według mnie w przypadku osiemdziesięciu procent molestowań i gwałtów ofiara sama jest sobie winna. [...] Mariusz tych chłopców nie ciągnął na siłę do mieszkania. Obiecał im, że postrzelają z wiatrówki. Więc oczywiście w pierwszym odruchu mogli się zgodzić, ale później przeszli długi odcinek drogi. Mieli czas, aby ochłonać, zastanowić się, uciec. Nie zrobili tego. To była ich decyzja, że nie żyją”².

Prasówka:

—
Fragment wywiadu z Justyną Kopińską, autorką książki
Polska odwraca oczy:

„– Jestem dumna z bycia panią Trynkiewicz, «W 80 procentach ofiary gwałtów i molestowań są same sobie winne», «to była decyzja tych chłopców, że nie żyją». Słyszysz takie zdania i...?»

– Trudno było mi tego słuchać. Gdy rozmawiam z ludźmi, staram się ich wysłuchać i nie pokazywać moich ocen. Ale przy słowach o chłopcach Anna zobaczyła, że jestem

poruszona. Zaczęła opowiadać, jak wiele lat temu została zgwałcona. Anna obwinia nie tylko ofiary o to, co je spotkało, ale także siebie. Też była ofiarą, cudem uniknęła śmierci. To bardzo skomplikowany psychologicznie obraz kobiety, którego nie powinni oceniać dziennikarze, a psychologowie.

– Ale dlaczego zafascynowała się zbrodniarzem?

– Nie ona jedna. Trynkiewicz dostawał mnóstwo listów od kobiet. To jest zjawisko społeczne znane na całym świecie. Gdy w 1989 roku w stanie Nowy Jork zniesiono przepis zakazujący więźniom skazanym na dożywocie brania ślubów, to w ciągu roku ożeniło się 800 skazanych.

Ted Bundy, który miał na koncie 30 ofiar, podczas wizyt małżeńskich w więzieniu spłodził syna. Odpowiedzialny za brutalne zamordowanie ośmiu pielęgniarek Richard Speck, gdy zobaczył stertę listów miłosnych zaadresowanych do siebie, powiedział:

– Te kobiety mają chyba źle w głowie.

– A twoja bohaterka ma źle w głowie?

– To już ocenią czytelnicy. Formalnie jest normalną, atrakcyjną kobietą po trzydziestce, pracuje w korporacji, wykonuje pracę umysłową.

– Dlaczego z tobą rozmawiała?

– Chciała to wszystko wyjaśnić. Kilka miesięcy temu media poinformowały, że Trynkiewicz bierze ślub. Wszyscy próbowali ją wytropić, ale nikomu się nie udało. Mimo to newsy dalej powstawały. Anna chciała to raz na zawsze uciąć.

– Myślałaś o tym, że rodzice zamordowanych chłopców przeczytają: «Planujemy z Mariuszem podróż poślubną do tego lasu w Piotrkowie. Tak, do tego, gdzie ich zamordował?»

– Jestem przekonana, że rodzice tych chłopców docenią to, iż wszystko zostało powiedziane i ujawnione: to, że Trynkiewicz był już na wolności i nikt go nie poznał, ma prawo do widzeń małżeńskich, być może zaraz wyjdzie

ponownie na wolność. Oni mają prawo wiedzieć, co się dzieje z zabójcą ich dzieci. A jeśli się dowiedzą – mogą przeciw temu protestować”.

—
(Szymon Jadczak, „Ci chłopcy sami są sobie winni, że Mariusz ich zabił” - usłyszałam od żony Trynkiewicza, „Gazeta Wyborcza”, 2016; <http://weekend.gazeta.pl/weekend/1,152121,19714479,ci-chlopcy-sami-sa-sobiewinni-ze-mariusz-ich-zabil-uslyszalam.html>).

1. J. Douglas, M. Olshaker, op. cit. [\[wróć\]](#)
2. Ustawa o bestiach, czyli „postępowaniu wobec osób z zaburzeniami psychicznymi stwarzających zagrożenie życia, zdrowia lub wolności seksualnej innych osób”, została wprowadzona 22 stycznia 2014 roku i była reakcją na medialne doniesienia o spodziewanym wyjściu na wolność Mariusza Trynkiewicza – gwałciciela i zabójcy czterech chłopców. Jeżeli biegli ocenią, że zagrożenie ze strony „bestii” jest bardzo wysokie, to pobyt w Gostyninie takiego przestępcy – niezależnie od kary, którą odbył – jest bezterminowy. Co sześć miesięcy lekarze raportują sądowi o stanie zdrowia pacjenta i na tej podstawie pobyt jest przedłużany (lub uchylany, co się jeszcze nie zdarzyło). [\[wróć\]](#)
3. Piotr Pytlakowski, *Trynkiewicz i inni. Rozmowy ze skazanymi na karę śmierci*, Media Obok, Poznań 2014. [\[wróć\]](#)
4. Tamże. [\[wróć\]](#)
5. Tamże. [\[wróć\]](#)
6. Tamże. [\[wróć\]](#)
7. Justyna Kopińska, *Polska odwraca oczy*, Wydawnictwo Świat Książki, Warszawa 2018. [\[wróć\]](#)

Zamiast epilogu

– Doktorze, dlaczego wybrał pan psychiatrię?

– Prawdę mówiąc, trochę przez przypadek. Po studiach medycznych trafiłem w ramach dwuletniego stażu na pediatrię, a potem na internę i chirurgię. Musiałem asystować przy operacjach, a tam wnętrzności, krew, zgony. Ta chirurgia mnie załamała. Powiedziałem sobie: o nie, lekarzem to ja nie będę, złożę papiery na politechnikę, na wydział sprzętu medycznego. Już wcześniej chodziło mi to po głowie.

Wtedy profesor Leonard Wdowiak, autorytet w dziedzinie psychiatrii, którego znałem z Okręgowej Rady Zrzeszenia Studentów Polskich w Szczecinie, usiadł naprzeciwko mnie i powiedział: „Panie kolego, mam dla pana etat w klinice”.

Psychiatria wydawała mi się bardziej... intelektualna od wszystkiego, co dotąd robiłem. Rozmowa z pacjentem, powiązania z psychologią, literaturą, filozofią – o tak, pomyślałem wtedy, to zdecydowanie coś dla mnie.

1 stycznia 1968 roku przekroczyłem jako asystent próg Kliniki Psychiatrycznej Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie. Niedawno „stuknęło” mi 50 lat pracy.

– Po tych ponad pięćdziesięciu już latach, coś jeszcze pana w psychiatrii i ludzkim umyśle zadziwia?

– Cały czas! Znamy tylko wierzchołek góry lodowej, fragmenty ogromnej całości, jaką jest nauka. O wielu rzeczach my, lekarze, nie mamy zielonego pojęcia. Psychiatria i tak radzi sobie nieźle, chociaż nie ma takich instrumentów jak np. onkologia, gdzie można komórki rakowe wyciąć, hodować w laboratorium, wprowadzać w nie co tylko lekarze chcą i obserwować. My nie możemy czegoś takiego zrobić.

Zagadka ludzkiego umysłu jest wciąż nieodgadniona. Dlatego my, psychiatrzy, nawet z wieloletnim doświadczeniem, nie powinniśmy się czuć „bogami”, którzy wszystko wiedzą i rozumieją najlepiej.

Brak pokory jest naszym – lekarzy – grzechem głównym. W kwestii etyki zawodowej nie może być tak, że wyłącznie dobro pacjenta jest najwyższym prawem. Chronione prawem musi być także dobro społeczne i to ono powinno być stawiane ponad wszystko.

W przeciwnym razie zabójcy będą unikać kary, a niebezpieczni pacjenci zbyt szybko trafiać ze szpitala do domu. Diagnozowanie psychoz nie jest przecież wróżeniem z fusów. Błędy psychiatrów przekładają się na zdrowie i życie ludzi, którzy znajdują się na drodze szaleńców lub psychopatycznych zabójców.

Ewa Ornacka
2019



Edward (Ed) Gein – pierwowzór Buffalo Billa, seryjnego mordercy z Milczenia owiec, zjadał swoje ofiary. Z ludzkiej skóry zrobił abażury do lamp i obicie fotela, z sutków – pasek, a z czaszek – miski kuchenne. Morderca nie trafił do celi śmierci, lecz do pilnie strzeżonego szpitala psychiatrycznego.

© Everett Collection/East News



Andriy Chykatilo – „rzeźnik z Rostowa”, niegdyś nauczyciel, w śledztwie przyznawał się do 56 zabójstw, w większości dzieci. Swoje ofiary spotykał najczęściej w poczekalniach dworcowych. Na mocy wyroku sądu w 1994 roku odebrano mu życie strzałem z broni w tył głowy.

© Sipa/East News



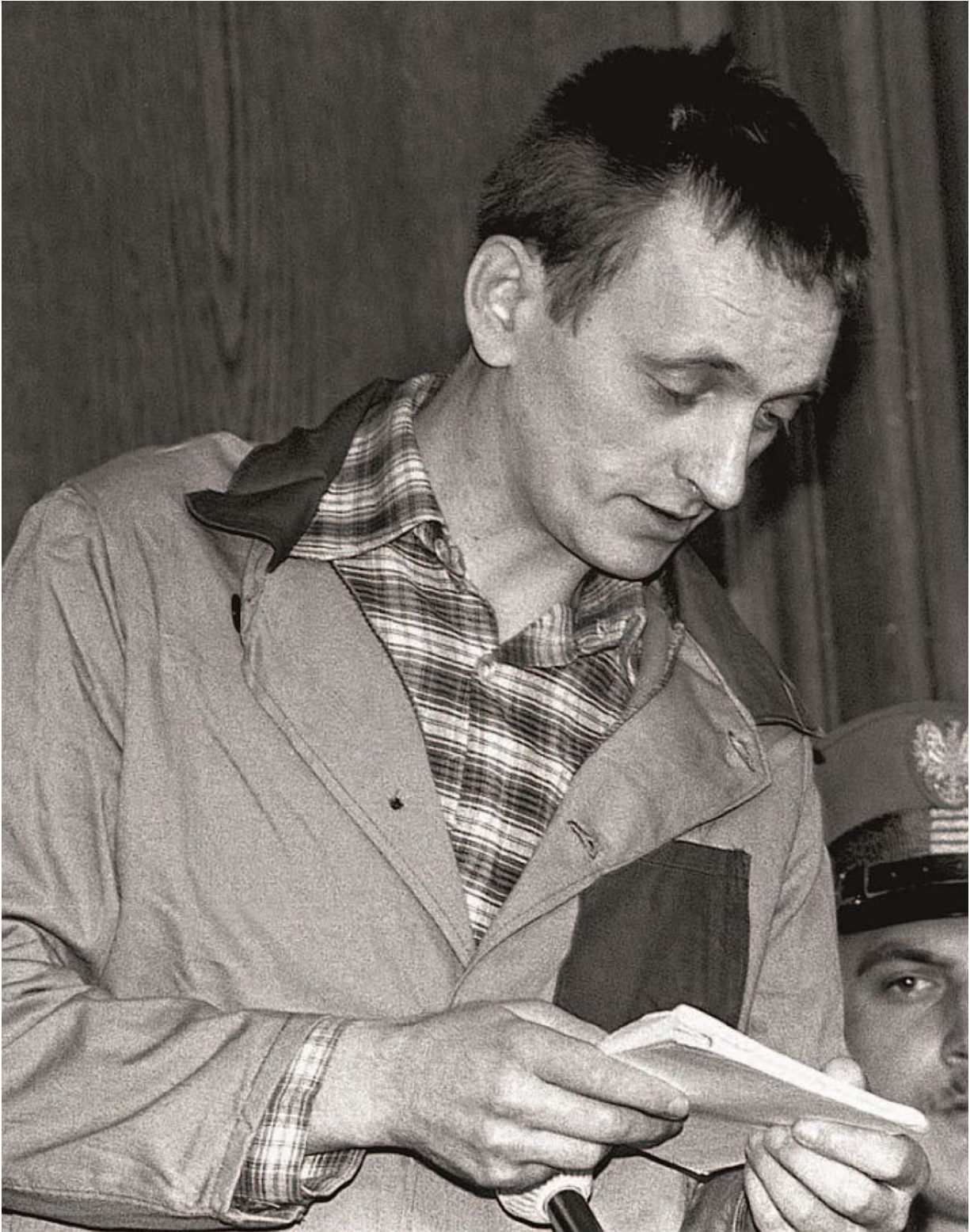
Ted Bundy – morderca kilkudziesięciu pięknych, długowłosych kobiet, głównie studentek, był przystojny, dowcipny i pełen uroku osobistego. Stracony na krześle elektrycznym w 1989 roku przeszedł do historii USA jako jeden z najkrwawszych seryjnych zabójców w dziejach tego kraju (swoim ofiarom odcinał głowy).

© Glenwood Springs Post-Independent/Associated Press/East News



Pedro Alonso López, 28-letni Kolumbijczyk znany jako „potwór z Andów”, twierdził, że zgwałcił i zabił ponad 300 nastoletnich dziewcząt. To zdjęcie zrobiono mu w 1980 roku.

© Associated Press/East News



Seryjny zabójca Paweł Tuchlin w śledztwie szczerze opowiadał o swoich zbrodniach, ale przed sądem wszystko odwołał. Zabił 9 kobiet, a 11 trwale okaleczył.

Fot. PAP/Stefan Kraszewski



Seryjny zabójca o twarzy dziecka – Karol Kot, nożownik z Krakowa. W latach 60. chodził jeszcze do szkoły średniej, a już zamordował 2 osoby, kolejnych 10 usiłował pozbawić życia. Atakował istoty najsłabsze – dzieci oraz starsze kobiety modlące się w kościele. Skazano go na karę śmierci i powieszono w maju 1968 roku. „Czyny, jakie oskarżony popełnił, wykazują, że jest groźniejszy od dzikiej bestii, bo obdarzony rozumem” – uzasadniał wyrok przewodniczący składu orzekającego.

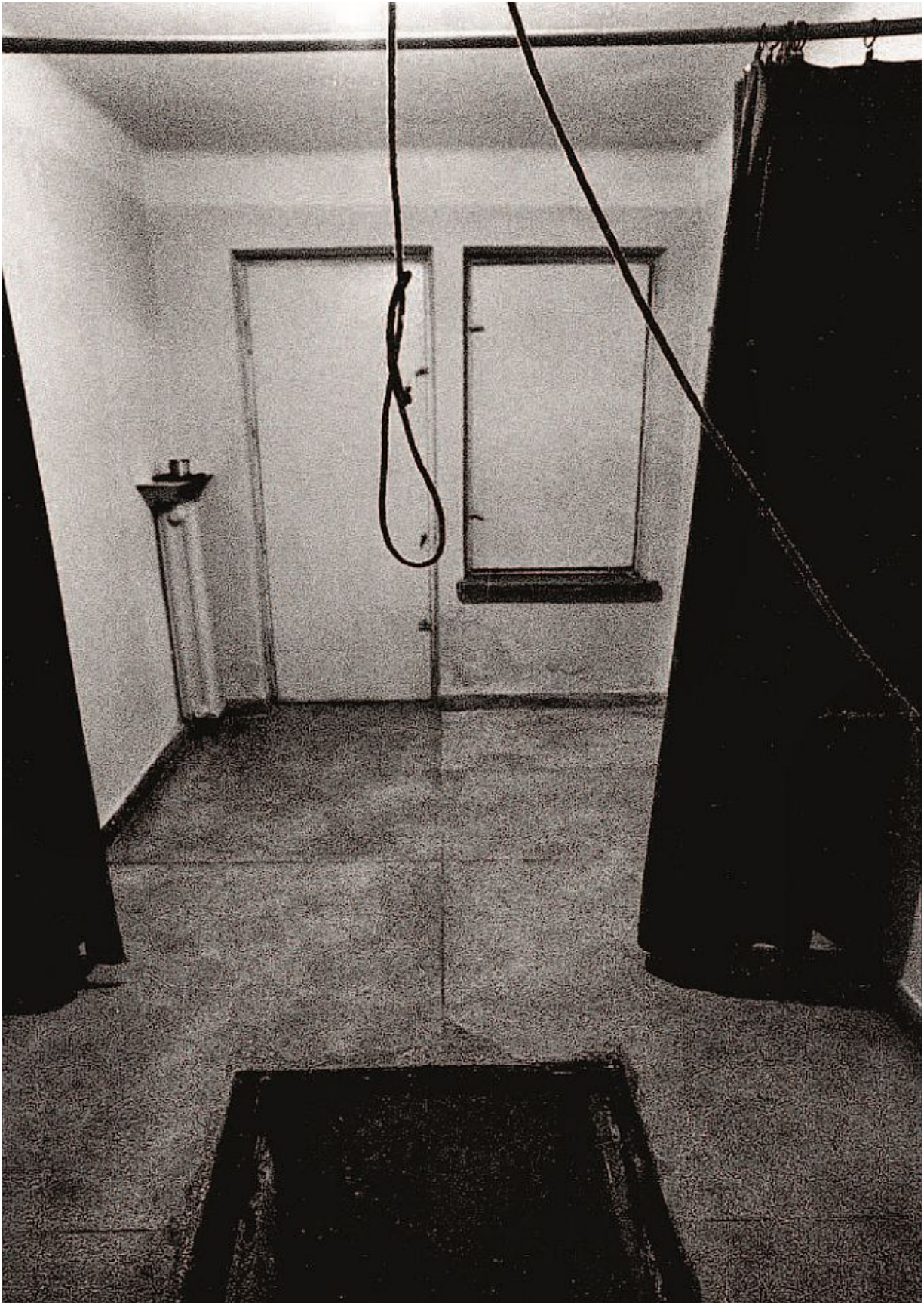
Na zdjęciu Karol Kot podczas wizji lokalnej, 1967 rok.

© East News



Zdzisława Marchwickiego skazano na karę śmierci za zabójstwo 14 kobiet i usiłowanie zabójstwa 6 kolejnych. Wyrok zapadł 28 lipca 1975 przed Sądem Wojewódzkim w Katowicach, wykonano go przez powieszenie w tamtejszym Areszcie Śledczym. Na grobie „wampira z Zagłębia” nie ma tabliczki z nazwiskiem.

Fot. PAP/Kazimierz Seko





Ostatni wyrok śmierci wykonano w Polsce w 1988 roku, a rok później Sejm PRL ogłosił amnestię, zamieniając wyroki skazanym na śmierć na karę 25 lat pozbawienia wolności.

Fot. Jacek Marczewski/Agencja Gazeta



Damian C. – strażnik z Zakładu Karnego w Sieradzu, który w marcu 2007 roku zastrzelił z wieżyczki więziennej 3 policjantów. Jego proces toczył się przed tamtejszym Sądem

Okręgowym.

© Cezary Pecold /SE/East News



Janusz T., ps. Krakowiak, przed Sądem Okręgowym w Katowicach w chwili ogłaszania wyroku 25 lat pozbawienia wolności (13.02.2008). Sprawa dotyczyła śmierci 4 osób

i planowania zabójstwa 3 kolejnych: policjanta, prokuratora i świadka koronnego.

© Piotr Gajek/SE/East News



W 1988 roku Mariusz Trynkiewicz z Piotrkowa Trybunalskiego zabił 4 chłopców w wieku 11–14 lat. Skazano go na karę śmierci, którą w wyniku amnestii zamieniono na

25 lat więzienia, a po odbyciu wyroku objęto „ustawą o bestiach”. Prawdopodobnie nigdy nie wyjdzie na wolność.

© Cezary Pecold /SE/East News



Młody, przystojny, pełen uroku osobistego Kajetan P. został okrzyknięty przez media „polskim Hannibalem Lecterem”. Fascynował się kanibalizmem, ludzkie życie było dla niego warte tyle, ile żywot owada. Zamordował lektorkę języka włoskiego, a z miejsca zbrodni zabrał trofeum – fragmenty jej ciała.

© Mark ZC/Splash News/East News



Leszek P., „wampir z Bytowa”, w śledztwie przyznawał się do kilkudziesięciu zabójstw na tle seksualnym, ale został skazany za jedno. Po odbyciu kary 25 lat pozbawienia wolności trafił do pilnie strzeżonego ośrodka w Gostyninie.

© East News



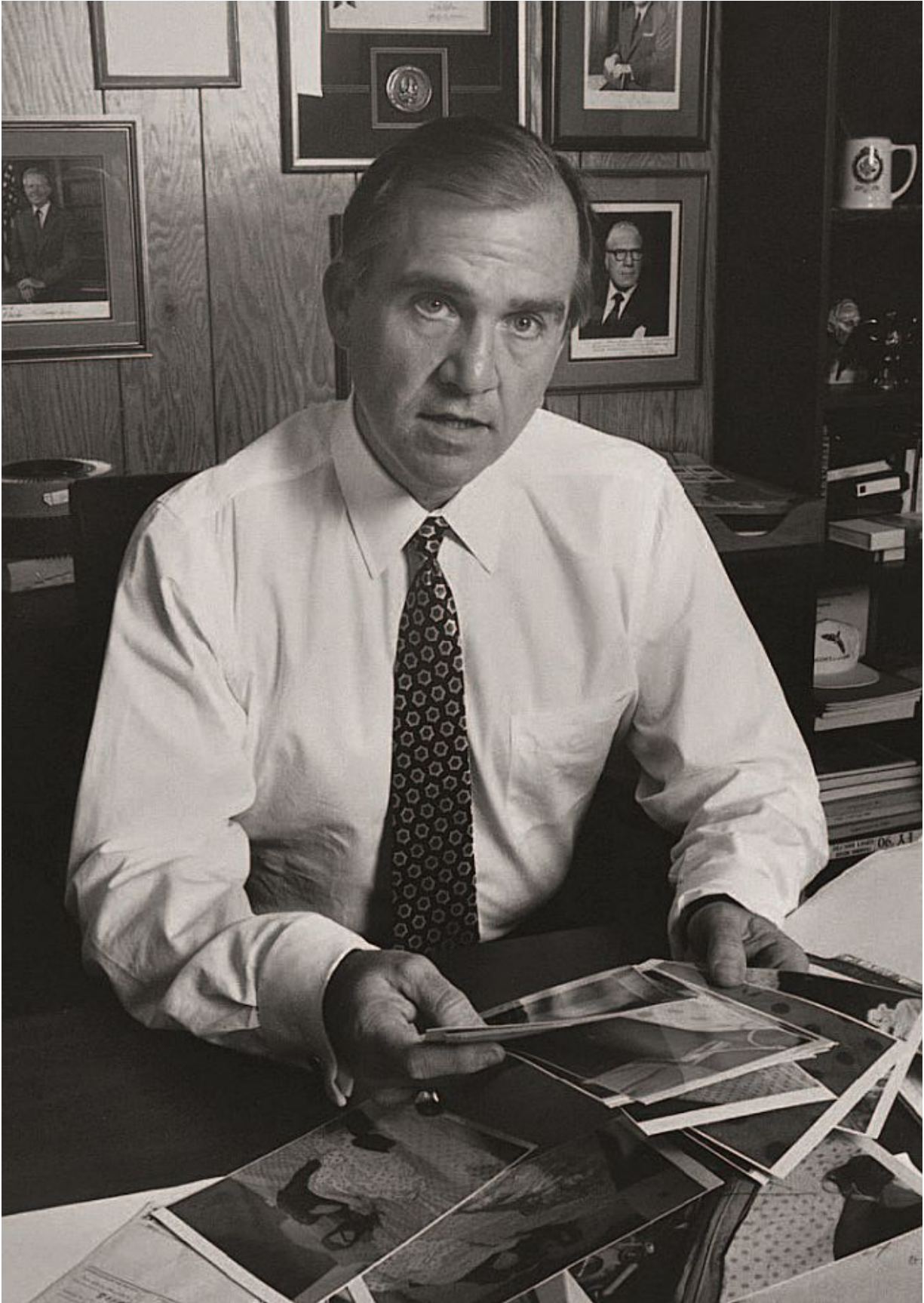
Regionalne ośrodki psychiatrii sądowej maksymalnego zabezpieczenia, m.in. w Gostyninie, wzorowano na amerykańskich i holenderskich placówkach dla najbardziej niebezpiecznych przestępców. Nie można z nich uciec. Nie wydaje się żadnych przepustek, nawet na ślub, chorobę, śmierć w rodzinie czy pogrzeb.

© Dariusz Ossowski/Reporter



Oskar Prądziński – zaufał żonie, stracił wszystko.

Fot. ze zbiorów Oskara Prądzińskiego



Agent specjalny FBI John Douglas uchodzi za pioniera w tworzeniu portretów psychologicznych seryjnych zabójców. Potrafił określić indywidualne cechy mordercy na podstawie śladów pozostawionych na miejscu zbrodni i tego, jak potraktował ofiarę po śmierci.

© Robert Sherbow/The LIFE Images Collection/Getty Images Poland

Polecamy również:

Ewa Ornacka

Kombinat zbrodni
Skazane na potępienie

Ewa Ornacka, Piotr Pytlakowski

Nowy alfabet mafii
Wojny kobiet

Ewa Ornacka, Karolina Szymczyk-Majchrzak

Pajęczyna strachu

Piotr Pytlakowski, Monika Banasiak

Królowa mafii

Piotr Pytlakowski, Piotr Wróbel

Mój agent Masa

Spis treści

[Spis treści](#)

[Podziękowania](#)

[Rozdział 1](#)

[Automatyzm sędziego i zagadki ludzkiego umysłu](#)

[Co jest kradzieżą, a co roztargnieniem](#)

[Cyganka prawdę ci powie](#)

[Pomrocność czy pijaństwo](#)

[Złodziejka czy kleptomanka?](#)

[Zagadki ludzkiej psychiki](#)

[Rozdział 2](#)

[„Umrę, ale nie sam”, czyli samobójstwo rozszerzone](#)

[Fiolka z trucizną](#)

[Brednie naukowopodobne](#)

[Nie dostaniesz się do raju](#)

[Z zimną krwią](#)

[Pozornie silna płeć](#)

[Rozdział 3](#)

[Wątle zdrowie gangsterów](#)

[Odwaga mistrzów świata](#)

[Epidemie psychiatryczne](#)

[Zgodnie z instrukcją](#)

[Gangster szkolony po akademicku](#)

[Naukowo, przełomowo](#)

[Choroba, której nie ma](#)

[Omówienie i wnioski](#)

[Rozdział 4](#)

[Trudna sztuka svirowania](#)

[Krakowiaczek jeden](#)

[Żółte papiery przemytnika](#)

[Twierdze dla okrutników](#)

[Jak ze zdrowego zrobić chorego](#)

[Pomysłowy Dobromir](#)

[Linia obrony.](#)

[Co się zdarzyło w ZK w Sztumie](#)

[Rozdział 5](#)

[Jak zdemaskować przestępcę, czyli kulisy psychiatrii sądowej](#)

[Uwaga, szalenciec na drodze](#)

[Lekcja pokory](#)

[Epidemia urojeń](#)

[Cudowne ozdrowienia](#)

[Morderca z wyspy Utøya](#)

[Rozdział 6](#)

[Światelko do nieba](#)

[Wariat czy polityczny ekstremista](#)

[Więzień konsultowany](#)

[Kukułcze jajo](#)

[Skąd te demony](#)

[Rozdział 7](#)

[Zabójcze psychozy](#)

[Bez hamulców](#)

[Beznadziejny przypadek Piotra P.](#)

[Wynałazki szalonych umysłów](#)

[Nieszczęśliwi, bo zdrowi?](#)

[Mózg pod lupą](#)

[Rozdział 8](#)

[Co się kryje w mózgu złoczyńcy](#)

[Historia jak z najgorszego horroru](#)

[Sprawa Kota](#)

[Mózg psychopaty](#)

[Mistrzowie manipulacji](#)

[Kłamstwo w żywe oczy](#)

[Rozdział 9](#)

[Jak się nie dać psychopacie](#)

[Skala Hare'a, czyli demaskujemy psychopatę](#)

[Psychopata w korporacji](#)

[Wariatka do zwolnienia](#)

[Ona i oni](#)

[Pani do towarzystwa](#)

[Persona non grata](#)

[Psycholog od rujnowania życia](#)

[Kryminalna sprawa](#)

[Rozdział 10](#)

[Perfekcyjna manipulacja, czyli jak kochają psychopaci](#)

[Bez balastu uczuć](#)

[Kochać jak szczeniak](#)

[Co skrywa maska](#)

[Bo to zła kobieta była](#)

[Oszukańcza miłość](#)

[Gniew i nienawiść dodadzą ci skrzydeł](#)

[Rozdział 11](#)

[Prawo serii, czyli oko w oko z wielokrotnym zabójcą](#)

[Zbrodnia, która... fascynuje\(?\)](#)

[Nie kusić losu](#)

[Dopaść drania](#)

[Połowanie na łowcę](#)

[Paulinka w pasiastej sukience](#)

[Rozdział 12](#)

[Seks na skrót, głód zabijania i... kochania](#)

[Człowiek o dwóch twarzach](#)

[Czy „to” można naprawić?](#)

[Pokochoć bestię](#)

[Samarytanki](#)

[Zamiast epilogu](#)

Text copyright © by Ewa Ornacka 2019
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2019

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Katarzyna Raźniewska

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Krzysztof Rychter

Fotografia na okładce: Joel Filipe/Unsplash

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Zrozumieć zbrodnię*, wyd. I, Poznań 2019)

ISBN 978-83-8062-687-4

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08

fax: 61 867 37 74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**